

KIR BUŁYCZOW

WAKACJE W KOSMOSIE

CZYLI PLANETA PIĘĆ-CZTERY

(Przełożyła: Anna Walenko)

KIR BUŁYCZOW

WAKACJE W KOSMOSIE

CZYLI PLANETA PIĘĆ-CZTERY

(Przełożyła: Anna Walenko)

GAJ-DO I JEGO PANI

W naszej Galaktyce jest wiele planet zamieszkałych przez istoty rozumne. W większości przez ludzi. Są też istoty podobne do nich, ale również i takie, które z wyglądu wcale nie przypominają człowieka.

Pewnego razu dyrektor moskiewskiego Kosmicznego Ogrodu Zoologicznego zabrał swoją córkę, Alicję, na konferencję kosmozoologów. Zjechali tam uczeni z trzystu czterdziestu dwóch planet.

Sala obrad urządzona była nader osobliwie.

Amfiteatr zajmowali ludzie oraz istoty podobne do nich wyglądem, przynajmniej na tyle, że mogły siedzieć w fotelach lub na podłodze. Cały parter zamieniono w wielki basen, w którym pływali i pluskali się delegaci przystosowani do życia w wodzie. Balkony przerobiono na akwaria, gdzie ulokowali się delegaci, którzy oddychają metanem, amoniakiem i innymi gazami. A tuż pod sufitem unosili się fruważący delegaci.

W jednych kwestiach kosmozoologowie dochodzili do całkowitego porozumienia, nad innymi wiedli tak żaźarte spory, że Alicję ogarniał strach – co będzie, jeśli nagle zrobią użytek ze swoich zębów, pazurów, macek, igieł i dziobów. I rozpocznie się pierwsza zoologiczna wojna.

Do wojny jednak nie doszło.

W konferencji uczestniczył także delegat z planety Wester. Alicja nie zwróciła na niego uwagi, ponieważ mieszkańcy planety Wester różnią się od Ziemiaków tylko tym, że mają fiołkowe oczy i sześć palców u stóp.

Gdyby wówczas Alicja wiedziała, jaką rolę odegra w jej życiu planeta Wester, podeszłaby oczywiście do profesora z tej planety i spytała, czy nie zna on wynalazcy Samaona Gaja. Profesor zaś by odparł, że spotkał się z nim tysiące razy, ponieważ jest jego najbliższym sąsiadem, i może opowiedzieć wiele interesujących rzeczy o Samaonie i jego córce Irii.

Samaon Gaj mieszkał na przedmieściu, w obszernej willi, której większą część zajmowały laboratorium i pracownia. Zapraszano go do pracy w różnych instytutach, oferowano biura projektowe. „Nie – odpowiadał. – Kiedy obok pracują inni ludzie, nie potrafię się skupić. – I dodawał: – Jak tylko urodzi mi się syn, wychowam sobie pomocnika i we dwóch skonstruujemy statek, który wprawi w podziw całą Galaktykę”.

Samaon marzył o synu. Wymyślił już nawet dla niego imię – Irij, czyli Słoneczny. Samaon zawczasu kupował dla syna zabawki, przede wszystkim zaś przeróżne narzędzia, żeby od razu, ledwie się urodzi, zacząć go przygotowywać do zawodu konstruktora.

Nad pracownią urządził pokój dla syna, gdzie wszystko, od przyrządów gimnastycznych do małego wyciągu i miniaturowej sztangi, wykonał własnymi rękami.

Czekało go jednak wielkie rozczarowanie: żona Samaona urodziła córkę. Normalne, zdrowe, wesołe dziecko. Ale niestety dziewczynkę!

Samaon Gaj uznał, że żona zrobiła to z premedytacją, ponieważ nigdy go nie kochała. Nie omieszkał jej zresztą tego powiedzieć. Co prawda dopiero po dwóch miesiącach, kiedy w ogóle zaczął się do niej odzywać.

W ciągu tych dwóch miesięcy Samaon Gaj doszedł do wniosku, że nie wszystko jeszcze stracone. Skoro nie ma syna, jego miejsce musi zająć córka.

Dał jej na imię Irija, co oznacza, jak się domyślacie, Słoneczna, szybko odizolował ją od matki i umieścił w pokoju nad swoją pracownią. Sam zajął się wychowaniem córki, nikogo do niej nie dopuszczając. Nie podarował jej nigdy żadnej lalki i nie pozwolił nawet tknąć igły do szycia. Zabraniał jej zbierać kwiaty i bawić się z innymi dziewczynkami. Natomiast od dziecka Irija umiała prowadzić samochód, trenowała podnoszenie ciężarów, boks, wolnoamerykankę i skoki ze spadochronem, uczyła się liczyć w pamięci i obsługiwać komputery, a w wolnym czasie piłowała, heblowała i lutowała. Nawet do szkoły jej nie posłał, żeby nie uległa jakimś kobiecym słabostkom.

Matka Irii rzadko widywała córkę. Wolno jej było jedynie zajmować się gotowaniem, szyciem i praniem. Kilkakrotnie zwracała się do męża: „Proszę cię, zdecydujmy się na drugie dziecko!” Ale on odpowiadał: „Wystarczy mi to jedno”. Nic więc dziwnego, że wkrótce matka Irii zmarła ze zgryzoty. Samaon Gaj stał się jedynym opiekunem córki.

Irija nie przypuszczała nawet, że istnieje jakieś inne życie, że są dziewczynki, które nie ćwiczą podnoszenia ciężarów, nie skaczą z dachu na ziemię, nie prowadzą samochodów wyścigowych i nie trenują boksu. Była przekonana, że w ten sposób żyją wszystkie dziewczynki we Wszechświecie.

Z upływem czasu ojciec zaczął przyuczać Iriję do zawodu konstruktora statków kosmicznych. Trudno oczywiście w pracowni zbudować duży pojazd kosmiczny, toteż Samaon Gaj robił tylko makiety, nawiasem mówiąc, tak doskonałe, że wszystkie fabryki zabiegały o nie, aby wykorzystać je do produkcji prawdziwych statków kosmicznych.

Kiedy Irija skończyła dziesięć lat, przypominała bardziej chłopca niż dziewczynkę. Odciski na dłoniach, połamane paznokcie, włosy króciutko ostrzyżone, ruchy kanciaste i energiczne. Największą przyjemność sprawiało jej wycinanie szerokim zakrzywionym nożem drewnianego modelu statku czy miniatutki blastera. Po zajęciach lubiła pływać, nurkowała z akwalungiem w lecie, a zimą w przeręblu.

Ojcu sprawiało to ogromną satysfakcję. Irija była po stokroć lepsza od każdego chłopca. W dodatku posiadała tak znakomitą pamięć, że miała w głowie całą tablicę logarytmiczną i potrafiła w ciągu dwóch sekund wyciągnąć pierwiastek szóstego stopnia z dziesięciocyfrowej liczby, znała też na pamięć wszystkie podręczniki projektowania, a dystans stu metrów pokonywała w niespełna dziesięć sekund, toteż Samaon Gaj miał wszelkie podstawy uważać, że dopisało mu szczęście.

Ojciec tak starannie separował córkę od świata, że w domu nie było radia ani telewizora, bo przecież czasami mówią tam o miłości. Irija nie chodziła też na uniwersytet. Wykłady prowadzono dla niej w domu. Profesorów wybierał osobiście Samaon i wybierał, rzecz jasna, najstarszych, których nie interesowało nic innego poza nauką.

Największym marzeniem Samaona Gaja było skonstruowanie myślącego statku. Nie, nie robota. Zwykłych robotów, pojazdów kosmicznych, które same obierają kurs, same docierają do wyznaczonej planety, same załadowują się i rozładowują, niemało już krąży we Wszechświecie. Gaj chciał zbudować statek, który miałby rozum człowieka. Zwrotny, zwinny, obdarzony duszą. Taki statek byłby najbardziej przydatny dla niewielkich ekspedycji. Sam dowoziłby naukowców do celu i utrzymywał łączność z bazą, udzielał rad i w razie konieczności sam wykonywał różne zadania.

A co najważniejsze, miał być mądrym i życzliwym rozmówcą, oddanym przyjacielem, gotowym poświęcić się dla ratowania załogi. Taki statek, mimo niewielkich rozmiarów, powinien być całkiem samodzielny i oprócz zwyczajnych silników posiadać silnik grawitacyjny, żeby mógł wykonywać przeskoki między gwiazdami.

Nad skonstruowaniem takiego statku naukowcy od dawna łamali sobie głowy. Uzyskiwali jednak albo kolos, albo kuter planetarny o małej mocy, albo też zwyczajny statek-robot, który w żadnym razie nie mógł być partnerem do rozmowy czy przyjacielem.

Swój statek Gaj chciał od początku do końca skonstruować własnymi rękami. Od pierwszego arkusza projektu do ostatniego przycisku na pulpicie. Utopił w tym przedsięwzięciu wszystkie oszczędności, poświęcił całą swoją wiedzę i doświadczenie. Mimo to sam, bez syna-córki nie dałby sobie rady.

Trzy lata pracowali wspólnie ręka w rękę. Kiedy Irija skończyła dziewiętnaście lat, statek już stał na pochylni w hangarze. Przez te trzy lata oboje nawet spali w hangarze, żywiąc się wyłącznie kanapkami i lemoniadą. Przez całe trzy lata Irija nie miała jednego wolnego dnia, a jedyne przerwy w pracy poświęcała na zajęcia ze starymi, zręczliwymi profesorami.

I nagle zdarzyło się nieszczęście.

Samaon Gaj pojechał do miasta, żeby odebrać z fabryki oprzyrządowanie nawigacyjne, ale po drodze miał wypadek samochodowy. W tym czasie kiedy nie ruszał się z domu, w mieście zmieniono ruch z lewostronnego na prawostronny. I jedynym kierowcą, który nie miał o tym pojęcia, był wynalazca Samaon Gaj. Wprowadził potworne zamieszanie w ruchu ulicznym, a skończyło się na tym, że wjechał na ciężarówkę. Zginął na miejscu.

Irija Gaj została sierotą.

Ojciec jednak wpoił jej, że zawsze trzeba umieć wziąć się w garść, więc dziewczyna po pogrzebie Samaona zamówiła zapas kanapek i lemoniady na pół roku, rozpędziła starych profesorów, po czym zamknęła się w hangarze i sama kontynuowała pracę nad budową statku.

Aż wreszcie odniosła sukces. Marzenie jej ojca urzeczywistniło się.

Stateczek, który nazwała „Gaj-do”, co oznacza w języku westerskim „Brat Gaja”, pewnego dnia wzbił się nad planetą.

Był tak szybki, że nawet krążownik patrolowy z trudem by go doścignął. Mógł swobodnie przelecieć pół Galaktyki i wylądować, nie łamiąc nawet źdźbła trawy, na polance wielkości boiska do piłki nożnej. Ale co najważniejsze – był wiernym i jedynym przyjacielem Irii. Rozumieli się w pół słowa. Gaj-do tak dobrze znał swoją panią, że właściwie mógłby zamiast niej chodzić do biblioteki czy do sklepu. Oczywiście tylko teoretycznie, ponieważ mimo wszystko był przecież statkiem kosmicznym.

Przedstawiciele różnych nauk – geologii, archeologii, paleontologii, ekologii i botaniki – z planety Wester byli tak zachwyceni stateczkiem, że prosili Iriję, aby skonstruowała dla nich drugi, identyczny. Ale ona wiedziała, że takiego statku jak Gaj-do nikt nigdy nie zbuduje – zostało w niego włożone całe życie jej ojca i część jej własnego życia.

Nie chcąc jednak rozgniewać naukowców odmową, wyjaśniła, że najpierw nieodzowne są loty próbne.

W rzeczywistości loty próbne wcale nie były konieczne – wiedziała, że Gaj-do umie wykonywać wszystko, co trzeba. Ale atmosfera niesłychanej sensacji, jaką wywołał stateczek, zniechęciła i zmęczyła Iriję. Zrozumiała, że odwykła od ludzi i nie potrafi już z nimi obcować.

Załadowała więc na statek ekwipunek niezbędny do długiej podróży, uzgodniła z geologami, że zbada kilka planet w pustynnym sektorze Galaktyki, i odleciała.

Cały rok latali od jednej planety do drugiej. Dokonali wielu interesujących odkryć, dużo widzieli, ale Gaj-do zauważył, że jego pani staje się coraz bardziej osowiała. Pewnego wieczoru spytała go:

– I co dalej?

– Dalej? – zdziwił się statek. – Będziemy latać od gwiazdy do gwiazdy i nadal badać planety.

– A potem? – spytała Irija.

– Nie rozumiem cię – rzekł statek. – Na pewno z czasem oboje zestarzejemy się i umrzemy. Taki jest los wszystkich ludzi i statków. I to cię gnębi?

– Nie, nie to. Po prostu nie rozumiem, po co to robimy.

– Dla dobra nauki – odparł statek. – Przypomnij sobie swojego ojca. Był człowiekiem godnym najwyższego uznania. Całe życie poświęcił pracy naukowej i w rezultacie stworzył właśnie mnie.

– Tylko że ciebie nawet nie zobaczył, moją mamę wpędził do grobu, sam zginął tragicznie, a ze mnie zrobił dziwoląga.

– Co ty opowiadasz! – żywo zaprotestował stateczek. – Przecież jesteś najsilniejszą i najdzielniejszą kobietą we Wszechświecie!

– I to mnie właśnie dręczy – odparła Irija. Stateczek nie zrozumiał jej, ale zamilkł, ponieważ kiedy ona była w złym nastroju, on także natychmiast tracił humor. Niestety, od tej pory Irija coraz częściej wpadała w przygnębienie.

NA PLANECIE PIĘĆ-CZTERY

Mieli zbadać tylko jeszcze jedną planetę. Potem czekał ich już powrót do domu. Ale prawdę mówiąc ani Irija, ani stateczek nie byli przekonani, czy rzeczywiście tego pragną.

W takich nastrojach zbliżali się do ostatniej planety. Nie miała nazwy. Jedynie numer 456-75-54. Mogli sami wymyślić dla niej nazwę. Temu, kto pierwszy zbada nieznaną planetę, przysługuje takie prawo. Ale planeta okazała się na tyle brzydka i odstręczająca, że nie mieli nawet ochoty wymyślać dla niej nazwy. Między sobą mówili o niej planeta Pieć-cztery, co, oczywiście, nie sposób uznać za prawdziwą nazwę.

Na planecie buchało lawą tysiące czynnych wulkanów, a wygasłe ziały otchłanią kraterów, często wypełnionych gorącą wodą. Tryskały z nich gejzery lub unosiły się pęcherze gazów. Najwidoczniej planetę nawiedzały także trzęsienia ziemi, bo w dolinach zalegały szczątki wulkanów i lawa. Na planecie Pieć-Cztery morza usiane były kamiennymi wyspami i wysepkami, które wyłaniały się spod wody jak owoce z kompotu. Rzeki żłobiły koryta w skałach, niknęły pod ziemią i wytryskały fontannami pośrodku jezior. Dolin właściwie nie było – trudno przecież nazwać dolinami usypiska skał, głazów, kamieni. Ten bezładny, przygnębiający świat oświetlały cztery niewielkie czerwone słońca, tak że nie istniała tam noc, ale też nigdy nie było całkiem jasno. Cienie gór wędrowały po kamieniach i wodzie, zmieniały się w zależności od tego, które słońce świeciło mocniej. Żywych stworzeń było tutaj niewiele, a i te kryły się między skałami lub w morzach, trwożnie oczekując kolejnego trzęsienia ziemi czy wybuchu wulkanu.

Tę planetę mieli zbadać Irija i Gaj-do.

Sporządzić mapę ogólną, mapę geologiczną, wodną i termiczną, pobrać próbki minerałów i fauny...

Postanowili nie lądować, tylko wejść na orbitę. Ponieważ zaś Gaj-do nigdy nie sypia, mógł pracować przez całą dobę. Irija przede wszystkim naszykowała sobie kanapki. Tak przywykła żywić się kanapkami, że zapomniała już nawet, jak smakuje zupa.

Nagle usłyszała głos Gaj-do:

- Na tej planecie niedawno ktoś był.
- Dlaczego tak sądzisz?
- Stosowano tu materiały wybuchowe, a nawet przebijano kopalnie.
- Dziwne – rzekła Irija. – Według wszelkich dostępnych danych, to my pierwsi jesteśmy na Pięć-cztery. A więc ci, co tu byli, nie chcieli, aby dowiedziano się o tym.

Gaj-do wysypał na stół fotografie, które zdążył zrobić, i Irija przekonała się, że jej stateczek jak zwykle ma rację. Niedoświadczone oko nie dojrzałoby zapewne, gdzie kończy się naturalny chaos, a zaczynają ślady ludzkiej ingerencji, ale dla fachowca wszystko było jasne.

Mniej więcej po godzinie dokonali jeszcze bardziej zdumiewającego odkrycia.

Przelatywali właśnie nad posepnym wąwozem, zawalonym skalnymi głazami, gdzie na dnie płynął, to znikając pośród kamieni, to znów pojawiając się na powierzchni, gorący strumień. Nie opodał spokojnie posapywał wulkan.

– Uwaga – odezwał się Gaj-do. – Widzę tu jakiś niezidentyfikowany obiekt.

Irija doskoczyła do ekranu.

Koło strumienia w cieniu skały widniała pomarańczowa plama.

Szybko zniżyli lot.

Pomarańczowa plama okazała się zmiętym, porwanym namiotem.

Gaj-do ostrożnie wylądował w wąwozie. Irija wybiegła na zewnątrz, żeby obejrzyć namiot z bliska.

Zrozumiała, że doszło do katastrofy. Najwidoczniej na planetę przyleciał jakiś badacz lub turysta i trafił na trzęsienie ziemi.

Irija poszła w górę wąwozu i po chwili zobaczyła szczątki roztrzaskanego kutra planetarnego.

Nie znalazła tam jednak śladu człowieka, ruszyła więc dalej z biegiem strumienia, buchającego kłębamii pary. I nagle zamarła.

Pod nawisem skalnym leżał młody ciemnowłosy mężczyzna.

Nie poruszał się.

Irija podbiegła do niego, nachyliła się i przytknęła ucho do jego zakrwawionej i poparzonej piersi. Serce młodego człowieka ledwie biło.

– Gaj-do! – zawołała. – On żyje!

W mgnieniu oka Gaj-do znalazł się obok Irii i z jego pomocą dziewczyna przeniosła rannego do wnętrza statku.

Irija umiała udzielać pierwszej pomocy. Obejrzała dokładnie mężczyznę, umyła, opatrzyła rany, dała zastrzyki wzmacniające, ale nic więcej zrobić nie mogła – na pokładzie Gaj-do nie było przecież szpitala.

Podczas gdy Irija krzątała się koło rannego, Gaj-do wspierał ją ramami, ponieważ w jego pamięci zakodowana była encyklopedia medyczna. Jednocześnie uważnie rozglądał się po wąwozie, usiłując odgadnąć, co przytrafiło się młodemu człowiekowi. Dlaczego jest ranny i poparzony? Przecież znajdował się dość daleko od roztrzaskanego kutra. Pewnie wylądował w wąwozie, rozbił namiot, po czym udał się w dół wąwozu. I wtedy widocznie musiało się coś wydarzyć. Gaj-do ogarnęły niedobre przeczucia.

– Myślę – odezwał się – że lepiej stąd odlecieć. I to jak najprędzej.

– Dobrze – zgodziła się szybko Irija. – Daj mi tylko jeszcze dziesięć minut: przez ten czas podziałają zastrzyki, a ja przygotuję rannego do lotu,

Gaj-do posłusznie czekał, nadal rozglądając się po wąwozie.

Raptem spostrzegł w zagłębieniu skały dziwny znak: wyryte w kamieniu dwa kółka połączone dwiema liniami.

– Irija! – zawołał Gaj-do.

– Nie przeszkadzaj – odparła Irija.

– Widzę rysunek – oznajmił Gaj-do.

– Milcz, nie zawracaj mi teraz głowy – rzekła Irija. – On może w każdej chwili umrzeć.

Gaj-do zamilkł. Ale nie przestał myśleć.

Wiedział, co to za znak. Był to znak tułaczy. Owych tajemniczych tułaczy, którzy kiedyś oblecieli

całą Galaktykę. Ślady ich obecności pozostały na wielu planetach. Czasami były to ruiny gigantycznych baszt, czasami wielkie puste podziemia lub rozległe kopalnie. Niekiedy – bazy zaopatrzeniowe.

Sami tułacze zniknęli, według obliczeń uczonych, sto tysięcy lat temu. Zniknęli bez śladu, przypuszczalnie odlecieli poza granice Galaktyki.

Uczonych i poszukiwaczy skarbów najbardziej fascynowały bazy tułaczy. Podobno były tam ukryte niezmierzone bogactwa tej potężnej cywilizacji.

Dotychczas nikt jednak nie natrafił na skarby tułaczy.

Znakiem wskazującym na bliskość bazy były dwa kółka połączone dwiema liniami. Kiedy odkryto taką bazę po raz pierwszy, okazało się, że jest pusta – tułacze wszystko stamtąd wywieźli.

Drugą bazę znaleziono nietkniętą. Ledwie jednak zaczęto otwierać wejście prowadzące do wnętrza, baza natychmiast wyleciała w powietrze. Szczęściem nikt nie został ranny. Za trzecim razem badacze byli już bardziej ostrożni. Nie ruszali nawet wejścia, tylko wydrążyli w skale tunel, przez który dostali się do środka. Ujrzeni tam prawdziwe cuda i nawet zdążyli zrobić parę zdjęć, ale raptem rozległ się sygnał alarmowy, tak donośny i przerażający, że badacze zawiodły nerwy i wszyscy co tchu uciekli. Zaledwie ostatni z nich opuścił bazę, rozległ się wybuch i baza jakby zapadła się pod ziemię. Uczeni nieraz jeszcze organizowali ekspedycje na najbardziej odległe i dzikie planety, licząc, że natrafiają gdzieś na połączone liniami dwa kółka, ale bez rezultatu.

Kiedy Gaj-do spostrzegł ów znak, zaczął omiatać swoimi elektronowymi oczami pobliskie skały w nadziei, że zobaczy wejście do bazy. Był bowiem ogromnie dociekliwym statkiem.

Po chwili ujrzał w głębokiej rozpadlinie czarną wyrwę, a obok kamienną płytę. Zrozumiał, że kiedyś, wskutek trzęsienia ziemi, wejście do bazy zawaliło się, ale wtedy nie było już tutaj tułaczy, którzy mogliby naprawić szkody. Gaj-do skierował promień reflektora na czarną wyrwę i zobaczył mglisty zarys kulistej cysterny. Z relacji uczonych wiedział, że w takich cysternach tułacze przechowywali superpaliwo do statków kosmicznych, które pozwalało osiągać zawrotne szybkości. Gaj-do pomyślał nawet: „Poproszę Iriję, żeby wzięła dla mnie trochę tego paliwa. Przecież dla statku takie paliwo to prawdziwy rarytas”.

Ale w tym samym momencie usłyszał głos swojej pani:

– Gaj-do, natychmiast startujemy.

– Irija – odezwał się Gaj-do – czy nie moglibyśmy jeszcze chwilę tu zabawić? Widzę wejście do bazy tułaczy. Może znajdziemy coś ciekawego.

– Chyba oszalałeś – ostro zaprotestowała Irija. – Od nas zależy życie człowieka. To ważniejsze niż wszystkie bazy tułaczy. Rozkazuję ci startować.

Rzecz jasna, Gaj-do bezzwłocznie wystartował.

Okazało się jednak, że powrót wcale nie będzie taki prosty.

Zaledwie Gaj-do zaczął oddalać się od planety, spostrzegł, że ściga go rakietą bojowa.

– Alarm! – oznajmił Irii. – Zostaliśmy zaatakowani!

– Działaj sam – odparła Irija. – Z naszym rannym jest bardzo źle.

Gaj-do i tak zaczął już działać. Błyskawicznie zwiększył szybkość i zmienił kurs. Rakietą nie odstępowała go. W ślad za nią pędziła następna. Nieznani wrogowie nie zamierzali dopuścić do tego, by statek uszedł cało.

Na szczęście nie wiedzieli, jak znakomity statek skonstruowali Samaon Gaj i jego córka. Każdy inny dawno by już przepadł, ale Gaj-do zwinnie wymykał się drapieżnym rakietom.

– Ostrożnie! – krzyknęła Irija.

– Nie mam innego wyjścia – odparł Gaj-do włączając silniki grawitacyjne i szykując się do przeskoku między gwiazdami.

I w ostatniej chwili, gdy rakieta już niemal go dosięgała, Gaj-do zniknął. Jakby się rozpułnął, przestał istnieć, ale oczywiście jego precyzyjna aparatura nadal pracowała, wyliczając ten ułamek sekundy, kiedy trzeba będzie wyłączyć silniki grawitacyjne, żeby stateczek znów pojawił się wśród gwiazd, u granicy swojego układu planetarnego.

Po kilku godzinach dalszego lotu na ekranach Gaj-do pojawiła się znajoma planeta Wester.

ZNIKNIĘCIE IRII GAJ

Gaj-do wylądował koło szpitala i wezwał lekarzy. Rannego zaraz przeniesiono do sali reanimacyjnej. Irija chciała mu towarzyszyć, ale lekarze stanowczo zaprotestowali. Musieli czym prędzej poddać rannego bardzo skomplikowanej operacji, aby ratować mu życie.

Ku zdziwieniu Gaj-do Irija nie zamierzała wracać do domu. Pozostała w szpitalu, na korytarzu, do wieczora, aż operacja się skończyła i chirurg oznajmił jej, że życiu mężczyzny nie zagraża niebezpieczeństwo.

Dopiero wtedy Gaj-do odwiózł Iriję do domu. Zjadła dwie wyschnięte kanapki, które znalazła w lodówce, popiła wodą z kranu i położyła się spać, nie omawiając ze stateczkiem tajemniczych wydarzeń na planecie Pięć-Cztery.

Nazajutrz skoro świt Irija znów pospieszyła do szpitala.

Gaj-do przekonywał swoją panią, że to niemądre. W niczym nie może pomóc młodemu człowiekowi. Lepiej więc zająć się przekazaniem wszystkich zebranych materiałów do zarządu geologicznego i napisać sprawozdanie z wyprawy. Ale Irija ani myślała go słuchać.

Tak minęło kilka dni. Z rana Irija biegła do szpitala, a Gaj-do przez cały dzień czekał w parku otaczającym szpital, podczas gdy ona karmiła chorego łyżeczką i zmieniała mu opatrunki.

Kiedy młody człowiek odzyskał przytomność, Irija dowiedziała się, że ma na imię Tadeusz, jest biologiem, specjalistą od bezkręgowców. Zajmował się problemem pochodzenia życia, a wylądował na planecie Pięć-Cztery, bo wydała mu się niezwykle intrygująca. Postanowił zatrzymać się w dzikim wąwozie, przyniósł ze statku namiot, potem mikroskop i spiwór i zaczął badać strumień. Był tak pochłonięty pracą, że nie widział niczego dokoła. Nie zauważył nawet znaku dwóch kółek wrytego w skałę, tuż nad jego głową.

Nagle rozległ się straszliwy wybuch. Tadeusz obejrzał się i zobaczył, że z jego statku pozostały jedynie dymiące szczątki. Następny wybuch odrzucił go na bok. Więcej nic nie pamiętał, ocknął się dopiero w szpitalu na planecie Wester. Obok niego siedziała dziwna dziewczyna, którą w pierwszej chwili wziął za chłopaka – krótko ostrzyżone włosy, umięśnione ręce, kształt brody świadczący o stanowczym charakterze, na policzku blizna. Ubrana jak mężczyzna, ruchy miała kanciaste, głos niski. Tadeusz dowiedział się, że właśnie ta dziewczyna uratowała mu życie, i był zdziwiony, kiedy usłyszał od lekarzy, że przez dwa tygodnie nie odstępowała jego łóżka. Ale wtedy spojrzał w ogromne fiołkowe, ocienione czarnymi długimi rzęsami oczy tej ni to dziewczyny, ni chłopaka. I od razu zrozumiał, że wszystko inne to maska, puste pozory. Prawda – to łagodne fiołkowe oczy.

Wyrzekł tylko jedno słowo „dziękuję” – był jeszcze zbyt osłabiony. Resztę dopowiedział spojrzeniem. I Irija Gaj, najdzielniejsza kobieta Galaktyki, nagle poczuła, jak serce jej na chwilę zamarło, a potem zaczęło walić jak karabin maszynowy. Odezwała się:

– Zmienię panu opatrunek, dobrze?

O tym wszystkim stateczek Gaj-do, który posłusznie stał w parku, nic nie wiedział. I nie podejrzewał, jak okrutnie doświadczy go los.

Dwudziestego dnia po operacji Irija oświadczyła:

– Gaj-do, lecę na Ziemię.

– Po co?

– Trzeba odwiedzić Tadeusza do jego kraju. Tutejszy klimat nie jest dla niego odpowiedni.

A człowiek najszybciej dochodzi do zdrowia u siebie w domu.

– Ale po co masz z nim lecieć? – zdziwił się Gaj-do. – Życiu Tadeusza nic nie zagraża, a my nie zrobiliśmy jeszcze sprawozdania z wyprawy.

– Nic nie rozumiesz – z rozdrażnieniem odparła Irija. – Może to, co robię dla Tadeusza, jest tysiąc razy ważniejsze niż sprawozdania ze wszystkich wypraw razem wziętych.

– Uczyniłaś dla niego wszystko, co było możliwe – rzekł statek. – Niech teraz troszczą się o niego lekarze na Ziemi. I te różne sentymentalne kobietki, które nie nadają się do tego, by prowadzić skuter, trenować boks i zapuszczać się w kratery wulkanów.

– Głupi żelazny bałwan! – wykrzyknęła Trija. – Ty nie rozumiesz, jak teraz żałuję, że trenowałam boks, a nie potrafię ugotować zupy? A Tadeusz, okazuje się, lubi zupę z kluskami. Znam na pamięć tablicę logarytmiczną, ale nie mam zielonego pojęcia, jak przyszyć guzik, i nie umiem zbierać poziomki. A Tadeusz lubi poziomki.

– Tadeusz, Tadeusz – gderliwie powtarzał stateczek. – Świat się nie kończy na tym Tadeuszu! Zwykły biolog od bezkręgowców. Do pięt ci nie dorasta. Założę się, że na sto metrów jesteś lepsza od niego o trzy sekundy.

– Co za beznadziejny żelazny dureń! – zawołała Irija. – Czy naprawdę jeszcze niedawno ja też byłam taka?

– Właśnie dlatego się przyjaźnimy – rzekł stateczek z urazą. – Chociaż nigdy nikomu nie narzucałem się z przyjaźnią.

Tak skończyła się ich rozmowa. Gaj-do zrozumiał, że Irija nie zmieni swojego postanowienia, by odwiedzić Tadeusza na Ziemię. Pogodził się z tym i nawet zaproponował, że polecą z nimi, ale Irija oświadczyła – coś podobnego! – że Tadeuszowi niewygodnie będzie w takim małym statku, gdzie nie ma dużej łazienki i wygodnego łóżka.

Przed odlotem Irija uzgodniła z geologami, że podczas jej nieobecności Gaj-do będzie z nimi pracował. Obiecała wrócić, gdy tylko Tadeusz wyzdrowieje, i Gaj-do, chociaż był przygnębiony i urażony, nie dał nic poznać po sobie i poleciał wraz z geologami na sąsiednią planetę badać pokłady rud cynku.

Upłynęło pół roku. Irija wciąż nie wracała. Nawet listu od niej nie było. Gaj-do cierpiał w milczeniu. Podczas wyprawy nie miał słodkiego życia. Geologowie wiedzieli oczywiście, że jest rozumnym statkiem, ale nie zawracali sobie głowy jego uczuciami. Traktowali go jak zwyczajny kuter zwiadowczy. Woził pocztę, zbierał próbki, badał doliny i wąwozy, pracował uczciwie, ale bez serca. I z każdym dniem rósł jego niepokój. Wyobrażenia nasuwała mu przeróżne obrazy: jego panią spotykały wszelkie katastrofy, ginęła, tonęła, rozbijała się. Dręczyły go koszmary, a nie miał nikogo, komu mógłby się zwierzyć. Kiedy prosił znajomych geologów, by zasięgnęli na Ziemi informacji, co stało się z Iriją, tylko się uśmiechali. Uważali, iż to zabawne, że statek niepokoi się o człowieka. Mówili, że Irija czuje się dobrze, ale Gaj-do im nie wierzył. I wreszcie się zdecydował.

Kiedy geologowie wrócili z wyprawy i zostawili go na kosmodronie, Gaj-do namówił znajome

roboty, żeby przywiozły mu paliwo. Roboty zatankowały go do lotu. Gaj-do miał mapy nawigacyjne i orientował się, gdzie leży Ziemia. Pewnego dnia przed świtem, w deszczową wietrzną noc cichutko wystartował z kosmodromu i wziął kurs na Ziemię. Kiedy nabrał odpowiedniej szybkości, włączył silniki grawitacyjne i wykonał wielki przeskok w kierunku Układu Słonecznego.

Gaj-do był podekscytowany. Miał głęboką nadzieję, że jego pani żyje i tęskni za nim tak samo, jak on za nią. Tylko nie może dać o sobie znać. Już cieszył się na myśl o spotkaniu. Co prawda, jego radość mącił lęk, że natknie się na krążownik patrolowy czy duży statek. Od razu wzbudziłoby podejrzenia, co robi w kosmosie statek bez załogi. Może jego załoga zginęła, a on chce to ukryć?

Kiedy już przekraczał granice Układu Słonecznego, spostrzegł, że ściga go jakiś statek, zwiększył więc szybkość, starając się ujść prześladowcy.

Ale statek nie pozostawał w tyle. Gaj-do skręca w lewo, statek także, Gaj-do przyspiesza, statek także. Gaj-do usiłował dostrzec jego nazwę, ale statek nie miał ani nazwy, ani żadnych znaków rozpoznawczych. I wtedy Gaj-do podjął decyzję – czym prędzej dotrzeć do Ziemi, a później się zobaczy. Włączył silniki na maksymalne obroty i począł się oddalać od prześladowcy. Tamtemu najwyraźniej było to nie w smak. Wypuścił na Gaj-do raketę bojową. Gaj-do, nie spodziewając się ataku, o ułamek sekundy spóźnił się z podjęciem decyzji...

To było ostatnie, co pamiętał. Straszliwe uderzenie rozerwało mu z boku poszycie. Powietrze w mgnieniu oka uleciało ze statku i Gaj-do bezradnie popłynął w przestrzeni kosmicznej.

Prześladowca zamierzał jeszcze zbliżyć się do niego, ale wybuch zwrócił uwagę krążownika patrolowego, który leciał z Plutonu. Nieznany statek czym prędzej zawrócił i zniknął w przestworzach Kosmosu.

POTRZEBNY STATEK KOSMICZNY!

Wakacje to najlepsza pora, żeby popracować sobie dla przyjemności. Nikt ci nie przeszkadza, nie zagania do lekcji i nie każe kłaść się o dziewiątej, bo nazajutrz trzeba rano wstać.

Pierwszego dnia wakacji Arkasza Sapożkow zwrócił się do Alicji Sielezniewej:

– Potrzebuję twojej pomocy.

Arkasza już od trzech miesięcy nosił się z pewnym pomysłem. Otóż kosmonauci na dalekich rejsach i pracownicy baz kosmicznych nie jadają arbuźów, są one za duże i niewygodne do przewozu. A przecież wszyscy lubią arbuzy. Jaka na to rada? Arbuzy powinny być małe i najlepiej w kształcie sześcianu. Później, po włożeniu do wody musiałyby szybko pęcznieć i nabrzmiwać, odzyskując kształt normalnych arbuźów. Do opracowania tego wynalazku Alicja i Arkasza zasiedli pierwszego czerwca w laboratorium stacji młodych biologów na bulwarze Gogoła w Moskwie.

Było to interesujące i trudne zadanie. Przez pierwszy tydzień biologom udało się otrzymać arbuź wielkości orzecha włoskiego i nawet powiększał się w wodzie, ale, niestety, nie miał żadnego smaku. Na tym praca utknęła.

Był posepny, deszczowy dzień. Jednoroga żyrafa Hultaj wsunęła głowę w otwarte okno laboratorium i głośno kichnęła, skarżąc się na niepogodę, Z pyska sterczała jej gałązka bzu.

– Chcesz aspirynę? – spytała Alicja.

Zaczynała już żałować, że zgodziła się pomagać Arkaszy – zanosilo się na to, że doświadczenia przeciągną się na całe lato, ponieważ Arkasza jest najbardziej upartym człowiekiem na świecie. Tylko z pozoru wydaje się taki cichy i nieśmiały – w rzeczywistości tkwi w nim nieugięta, żelazna natura młodego człowieka, który nie uznaje słabości i porażek.

Żyrafa odmownie pokręciła głową i położyła gałązkę bzu na stole przed Alicją.

Raptem drzwi do laboratorium otworzyły się i do środka wpadł przemoczony Paszka Gieraskin. Oczy mu błyszczały, włosy miał rozwichrzone.

– Siedzą sobie! – wykrzyknął. – Ślepią nad mikroskopami i przegapili sensację stulecia!

– Nie przeszkadzaj – cicho powiedział Arkasza.

– Będę przeszkadzać – odparł Paszka. – Dlatego, że jestem waszym przyjacielem. Jeśli was nie uratuję, niedługo całkiem zdrętwiejecie przy tych mikroskopach.

– Co się stało? – spytała Alicja.

– Zapisalem was – oznajmił Paszka i usadowił się na brzegu stołu.

– Dziękujemy – rzekł Arkasza. – Nie trzęś stołem.

– Zapisalem was do udziału w wyścigu Ziemia-Księżyc-Ziemia – mówił dalej Paszka majtając nogami. – Jak wam to odpowiada?

– Absolutnie nam to nie odpowiada – odparł Arkasza – ponieważ nie zamierzamy się z nikim ścigać.

– To będzie wspaniała załoga – ciągnął dalej Paszka, jakby nie słysząc słów Arkaszy. – Paweł Gieraskin, kapitan, Alicja Sielezniewa, nawigator, Arkadij Sapożkow, mechanik i obsługa całosci. Start drugiego sierpnia z pustym Gobi.

– Teraz się do reszty przekonałem – rzekł Arkasza – że nasz przyjaciel Gieraskin zwariował. Złaż wreszcie ze stołu!

Paszka uśmiechnął się z politowaniem, stanął i powiedział:

– Nie liczcie na to, że odczepicie się ode mnie. Jestem przecież waszym kapitanem. Interesują was zasady wyścigu?

– Nie – uciął Arkasza.

– Opowiedz – odezwała się Alicja. – Co to za wyścig?

Paszka poklepał żyrafę po pysku.

– Pierwsza linia waszej obrony już zdobyta – stwierdził. – Wiedziałem, że ciekawość Alicji będzie moim sprzymierzeńcem. Słuchajcie. Ogłoszono wyścig dla młodzieży. Udział mogą brać dowolne statki, własnej konstrukcji i zwykle planetarne kutry. Załoga – do czterech osób. Główna nagroda to podróż do Starożytnej Grecji na pierwszą Olimpiadę.

– Jedno małe pytanko. – Arkasza oderwał twarz od mikroskopu. Wiadomo było, że Paszka i tak się nie odczepi, dopóki nie opowie wszystkiego. – A gdzie masz statek? Może go przez miesiąc zbudujesz?

– To drobiazg – rzekł Paszka. – Najważniejsze, że się zgadzacie. Z taką załogą zwycięstwo murowane.

– Nikt jeszcze się nie zgodził – zauważyła Alicja. – Zadawaliśmy tylko pytania.

– Czego nas uczą w szkole? – powiedział Paszka. – Uczą nas podejmować ryzyko, myśleć i działać. Dlaczego nie chcecie podjąć ryzyka? Przecież możemy wziąć jakiś spisany na straty kuter planetarny i wyremontować go.

– Bzdura! – wykrzyknął Arkasza. – To nie takie proste. Inni na pewno już z pół roku się przygotowują.

– Masz rację – przyznał Paszka. – Skontaktowałem się z Lu, moim przyjacielem z Szanghaju. Już od zimy konstruują statek.

– No widzisz – wtrąciła Alicja.

– Potem połączyłem się przez wideofon z Rezo Cereteli, który mieszka w Tbilisi. Powiedział, że wzięli zwykły pasażerski kuter, zostawili tylko obudowę, a całą resztę przerabiają.

– No widzisz! – powiedział Arkasza. – I na co ty liczysz?

– Na wasz rozsądek i swój zapał. Już jesteście zaciekawieni. To połowa sukcesu.

– Wcale nie jesteśmy zaciekawieni – zaprzeczył Arkasza. – Chcemy po prostu, żebyś wygadał się i wreszcie sobie poszedł. A masz jakiś pomysł?

– Jasne – roześmiał się Paszka. – Najważniejsze było doprowadzić do tego, żebyś ty się oderwał od mikroskopu, a w oczach Alicji pojawił się znajomy błysk. Swoje osiągnąłem. No, to lecimy na złomowisko.

– Tak, teraz ostatecznie się przekonałem – rzekł Arkasza – że nasz przyjaciel Gieraskin zwariował. Po pierwsze, na złomowisko nikt nas nie wpuści. Po drugie, przed nami byli tam inni, więc nic odpowiedniego już nie znajdziemy. Po trzecie, i tak nie zdążymy.

– Cha, cha, cha! – ryknął triumfalnie Paszka. – Połknęliście haczyk! Po pierwsze, mam pozwolenie na obejrzenie złomowiska, nie pytajcie tylko, jak to załatwiłem. Po drugie, nic nie

ryzykujemy. Może akurat wyszperamy coś, na co inni nie zwrócili uwagi? Lecimy?

– Nie mam zamiaru nigdzie lecieć – oznajmił Arkasza. – Alicja również.

– Patrz, on ci rozkazuje! – perfidnie zauważył Paszka.

– A ja z nim polecę – zwróciła się do Arkaszy Alicja. – Właśnie chciałam się trochę przewietrzyć. Tam i z powrotem.

– Tam i z powrotem – potwierdził Paszka. – Arkasza, słyszysz, tam i z powrotem!

– Dzisiaj wrócimy? – spytał Arkasza. – Mama może się denerwować.

– Nie ma obawy – zapewnił Paszka.

Alicja już wkładała płaszcz.

Arkasza popatrzył na przyjaciół, westchnął i zaczął odłączać aparaturę. Nie miał za grosz zaufania do dzikich pomysłów Paszki, nie chciał nigdzie lecieć, zostawiać swoich sześciennych arbuzów, ale najwyżej na świecie Arkadij Sapożkow cenił przyjaźń.

Flajer Paszki stał tuż przed laboratorium. Mżyło. Deszczowa mgiełka osiadła na gałązkach brzoź, duże krople wody zbierały się na długich liściach palmy i ciężko spadały na ziemię. Pod świerczkami kryły się smardze. Żyrafa Hultaj odprowadziła przyjaciół do flajera i ze smutkiem patrzyła, jak znikają w środku, jakby się domyślała, że lecą do Afryki.

Paszka wybrał kod złomowiska, flajer ostro wystrzelił w górę i nabierając szybkości pomknął na południowy zachód.

ZŁOMOWISKO NA SAHARZE

Na zachodzie olbrzymiej pustyni Sahara, na płaskowyżu Tassili, jednym z najbardziej dziewiczych i suchych miejsc na Ziemi, kilka kilometrów kwadratowych kamiennego pustkowia wydzielono na złomowisko: tutaj zwozi się statki kosmiczne, którym nigdy już nie sędzone wzbić się w niebo.

Są tam stare, bardzo wysłużone pojazdy kosmiczne, nieudane modele odrzucone przez konstruktorów, statki uszkodzone w katastrofach, a także pojazdy kosmiczne, które w ogóle nie wiadomo jak tutaj trafiły. W sumie jest ich na złomowisku kilka setek.

Po co takie złomowisko jest potrzebne? Czy nie lepiej przetopić cały ten złom zamiast zagracać pustynie?

Tylko że to wcale nie jest złom! To wspaniałe laboratorium.

Nazwę „złomowisko” wymyślił jakiś dureń. Ale przyjęła się i nikt nie widział w niej nic niestosownego.

Odwiedzających jest tutaj wielu. Są to projektanci maszyn, którzy chcą nauczyć się na błędach swoich kolegów bądź znaleźć odpowiedź na skomplikowany problem konstrukcyjny. Historycy piszący prace o podboju kosmosu. Ekipy filmowe, które kręcą tu sceny startu prawdziwego statku. Metalurgowie badający właściwości różnych metali, które trafiały w kosmos. I wreszcie turyści ze wszystkich stron świata.

Właśnie tutaj zmierzał flajer Paszki Gieraskina.

Lecieli długo, około półtorej godziny. Najpierw w dole przepłynęły zielone pola Ukrainy, potem, za Odessą, flajer skierował się nad Morze Czarne i zniżył lot nad Warną. Morze było ciepłe, szafirowe i całą trójkę ogarnęła nieprzeparta chęć, aby się wykąpać, ale niestety musieli z tego zrezygnować – do Moskwy wróciliby w nocy, dopiero rodzice by się niepokoiili. Po paru minutach flajer zatoczył krąg nad Atenami. W Atenach rozpoczął się już sezon turystyczny – niebo nad miastem było dosłownie nabite flajerami, autobusami powietrznymi i glajderami. Największy tłok panował nad słynną świątynią, Panteonem.

Paszka okrążył Ateny od zachodu i niebawem flajer zbliżył się do Morza Śródziemnego. Włochy widzieli tylko na horyzoncie, ale za to obejrzel z bliska krater wygasłego wulkanu Etna na Sycylii. Od Sycylii był już tylko krok do Afryki.

Niebawem ich oczom ukazał się rdzawy brzeg Ałżynu usiany zielonymi punkcikami drzew pomarańczowych, pokryty prostokątami pól pszenicy i sadów. Flajer zboczył na południe i stopniowo zieleń stawała się coraz uboższa, zaczynały się obszary pustynne, i tylko szmaragdowe szeregi palm wzdłuż kanałów i dróg świadczyły o tym, że na Saharze mieszkają ludzie.

Alicja obserwując przyjaciół pomyślała, że mimo wszystko są podobni do siebie. Bywa tak czasami – całkiem różni, a jednak podobni. Trudno by znaleźć dwóch bardziej odmiennych ludzi.

Paszka ma oczy niebieskie, Arkasza – piwne. Paszka ma jasne włosy, proste i bardzo niesforne, Arkasza ciemnokasztanową czuprynę, skręconą jak u baranka. Kiedy był dzieckiem, babcia mówiła nawet do niego „mój baranku”. Cerę ma bardzo jasną, niemal przezroczysta, i pełno piegów. Jaka karnację ma Paszka, nie sposób określić, bo jego twarz nieustannie zmienia kolor. To nagle się czerwieni, to znów w mgnieniu oka blednie, opala się szybko i wtedy jego zadarty nos staje się malinowy. Paszka ani chwili nie usiedzi na miejscu – cały czas w ruchu, ciągle gdzieś pędzi, często najpierw coś zrobi, a dopiero później pomyśli, dlatego co rusz wpada w tarapaty. Arkasza jest rozważny, spokojny, rzadko podnosi głos i kiedy się nad czymś zamyśli, może godzinę tkwić bez ruchu. Obaj lubią dokonywać wynalazków, tylko, że Paszka ma dziesięć pomysłów naraz – może wymyślać jednocześnie perpetuum mobile, niewidzialne ściągacze i samoprzerzucacz do naleśników. Łamie sobie nad tym głowę z piętnaście minut, i już leci na mecz hokejowy. Arkasza rozważa tylko te problemy, które postanowił rozwiązać. I rozwiązuje, nawet jeżeli musi pół roku spędzić w laboratorium. Nic więc dziwnego, że Paszka i Arkasza wiecznie o wszystko się sprzeczą, kłócąc się zażarcie, mało do rękoczynów nie dochodzi. A zarazem są przecież najlepszymi przyjaciółmi.

Flajer począł zniżać lot ku płaskowyżowi, zamkniętemu z trzech stron posepnymi skałami. Z góry robiło to wrażenie, jakby zbliżali się do ogródka jordanowskiego jakichś olbrzymów. Dzieci olbrzymów bawiły się tutaj kolorowymi stateczkami i kulkami, a potem odeszły, zostawiając rozrzucone zabawki. „Lokatorami” złomowiska były pojazdy kosmiczne najprzeróżniejszych kształtów i rozmiarów, od niewielkich kutrów ratunkowych i zwiadowczych do liniowców pasażerskich. Jedne lśniące metalem lub jaskrawo pomalowane, inne pociemniałe ze starości, po rozlicznych kosmicznych perypetiach.

Flajer wylądował obok wartowni, która znajdowała się w niedużym latającym talerzu. Za ledwie dotknął ziemi, rozległ się dzwonek i luk w talerzu otworzył się na oścież. Pojawiła się w nim kędzierzawa główka dziewczyny pilnującej złomowiska i zaraz usłyszeli słowa powitania,

– Dzień dobry – odparł Paszka, pierwszy wyskakując z flajera.

– Witajcie – powiedziała dziewczyna po rosyjsku.

Zobaczyła moskiewską rejestrację flajera i od razu przeszła na rosyjski. Nic w tym dziwnego – wszyscy pracownicy międzynarodowych organizacji muszą znać dziesięć podstawowych języków naszego globu, nie licząc kosmolingwy, której używa się w Galaktyce. Dżamila знаła trzydzieści sześć ziemskich i siedem galaktycznych języków, a chciała się uczyć kolejnych, więc żeby mieć spokój i ciszę, specjalnie wybrała pracę na pustyni.

– Telefonowano do pani w naszej sprawie – odezwał się Paszka. – Jesteśmy z Moskwy i szukamy statku kosmicznego na wyścig.

– Chwileczkę – odparła dziewczyna.

Zobaczyli, że włączyła display.

– Paweł Gieraskin – odczytała – i towarzyszące mu dwie osoby: Alicja Sielezniewa i Arkadij Sapożkow. Wchodźcie.

Alicja i Arkasza otworzyli ze zdziwienia usta i w milczeniu wkroczyli za Paszką na teren złomowiska.

Dopiero po kilku minutach Alicja ochłonęła i spytała Paszkę:

– Gieraskin, co to wszystko znaczy?

– O co ci chodzi?

– Nie dość, że od razu cię wpuścili – powiedział Arkasza – to wiedzieli jeszcze, że i my

przylecimy z tobą. A przecież od momentu, kiedy wszedłeś do laboratorium na bulwarze Gogola, nie rozstawaliśmy się ani na chwilę.

– Genialnie proste – rzekł pobłażliwie Paszka. – Znam się na ludziach, to wszystko. Rano dowiedziałem się o wyścigu. Po godzinie byłem już zdecydowany wziąć w nim udział. Potem przemyślałem skład załogi i od razu zadzwoniłem na złomowisko.

Było upalnie, wiał suchy wiatr. Paszka skrył się w cieniu olbrzymiego kosmicznego liniowca i ciągnął dalej:

– Gdybyśmy po prostu sobie tutaj przylecieli i jak dzieci zaczęli prosić: „Proszę pani, niech nas pani wpuści!”, nic byśmy nie wskórali. Dlatego powiedziałem jej przez telefon: „O godzinie szesnastej według czasu lokalnego przybędzie do was grupa z Moskwy w składzie: Gieraskin i towarzyszące mu osoby. Zanotowała pani?”. I co ona na to? „Tak jest, zanotowałam” – powiedziała. Reszta to sprawa taktyki.

– Jakiej znowu taktyki? – spytała Alicja.

– Przyszedłem do was i oznajmiłem, że bierzemy udział w wyścigu. A wy z miejsca zostawiliście te swoje arbuzy i popędziliście na Saharę. Jasne jak słońce.

– Arkasza, ja go zabiję! – wykrzyknęła Alicja. – Jeszcze sobie z nas kpi w żywe oczy.

– Ale on, niestety, ma świętą rację – rzekł Arkasza. – Wziął nas podstępem, skusił, wystrychnął na dudka, cały czas nami sterował i z góry wiedział, że jak potulne baranki polecimy na Saharę.

– Dość już tej pustej gadaniny! – przerwał Paszka. – Nie mamy czasu. Ukochani rodzice czekają na nas z kolacją, a my nawet nie zaczęliśmy jeszcze szukać statku. W drogę, kapitanowie!

Cóż było robić. Alicja i Arkasza uśmiechnęli się i ruszyli przez upalną pustynię na poszukiwanie statku kosmicznego.

Słońce paliło tak wściekle, że pędem biegali od statku do statku, byle szybciej schronić się w cieniu.

Przyjemnie oglądać sobie złomowisko z nieba – skład zabawek. Z bliska wszystko było inne; trójkę przyjaciół otaczały zewsząd kadłuby olbrzymich statków. Zaledwie mijali jeden, już wyrastał przed nimi następny olbrzym. Całość tworzyła przedziwne baśniowe miasto, bez ulic, z jedną tylko drogą wijącą się między gigantami i karzełkami, między lśniącymi kosmicznymi elegancikami i posepnymi gruchotami.

Isć przez to miasto wraz z Paszką, który miał bzika na punkcie kosmonautyki, było niełatwo, bo co rusz, ledwie uszedł ze sto kroków, zatrzymywał się i wykrzykiwał na przykład:

– Patrzcie! Przecież to „Titanus”. Cześć, staruszkule! No co, odpoczywasz po ostatnim rejsie do Czarnej Dziury? Zajrzymy na chwilę do środka?

– Zgadza się, „Titanus”, i co z tego – potwierdził wszechwiedzący Arkasza. – Transportowo-pasażerski statek kosmiczny drugiej klasy, wystrzelony przez grecką fabrykę na Księżycu 16 listopada 2059 roku, kursował do pasma asteroidów. Odbił tylko jeden rejs poza granice Układu Słonecznego, po czym został spisany na straty. Jeśli zaczniemy go oglądać, wrócimy do domu jutro.

– Nie ma w tobie za grosz fantazji! – pieklił się Paszka. – Lepiej byś siedział w domu i hodował te swoje kwadratowe arbuzy!

– Ja się tutaj nie pchałem.

– Rób, jak uważasz, ale ja muszę zobaczyć mostek kapitański „Titanusa”. Przecież właśnie tam stał kapitan Sinos, kiedy zabierał z Ganimeda załogę Wiżeka.

Nietrudno odgadnąć, że koniec końców Paszka namówił przyjaciół, aby zajrzeli do „Titanusa”.

Mostek kapitański rozczarował ich. Wszystkie cenne przyrządy były wyjęte, w szybach tkwiły nieczynne windy, działało jedynie oświetlenie awaryjne, w korytarzach panował półmrok, było posępnie i wszędzie unosił się kurz.

Nagle tuż przed nimi przemknął spłoszony nietoperz. Przestraszony Paszka aż przysiadł, a kiedy Alicja roześmiała się, wyjaśnił urażony, że pochylił się tylko z obawy, by nie uczynić krzywdy temu rzadkiemu okazowi fauny.

Na mostku Paszka zatrzymał się przed ciemnym pustym ekranem i oznajmił, że widzi na nim ślad gwiazdzistego nieba, Alicja i Arkasza nawet już nie oponowali.

Kiedy wyszli na zewnątrz, słońce poczęło się chylić ku łańcuchowi skał, wiatr ucichł i upał doskwierał jeszcze bardziej. Przeszli z pół kilometra, ale nie znaleźli nic odpowiedniego, skryli się więc w cieniu skały. Wtedy Alicja powiedziała:

– Tylko takie głupie dzieciaki jak my mogły nie przewidzieć, że na pustyni zachce się pić.

– Otóż to, właśnie głupie dzieciaki – ponuro stwierdził Arkasza. W zadumie spoglądał w dal, myślami był już z powrotem w swoim laboratorium.

Paszka otarł rękawem pot, podniósł kamyk i rzucił go w szczelinę między skałami. Raptem wyturlał się stamtąd szary spłaszczony walec, podobny do hokejowego krążka, tylko dwukrotnie większy, potoczył się żwawo i zaraz zniknął im z oczu.

– Arkasza, co to było?! – zawołał Paszka.

– Nie wiem – odparł Arkasza bez większego zdziwienia. – Na Saharze czegoś takiego się nie spotyka.

– Na pewno pochodzi z innej planety – rzekła Alicja. – Na pokładzie jakiegoś statku zostały zarodniki, no i rozplenił się.

– Co ty pleciesz! – wykrzyknął Paszka, – Czy ty rozumiesz, co mówisz? To by znaczyło, że jakiś statek niedokładnie zdezynfekowano i teraz Ziemi zagraża straszne niebezpieczeństwo. Te krążki się rozmnożą i trzeba będzie z nimi walczyć. Musimy go złapać!

Paszka pobiegł tam, gdzie skrył się krążek, ale niczego nie znalazł. Zasapał się tylko i spocił.

Powlekli się dalej.

Wokół stały najprzeróżniejsze statki, okrągłe, w kształcie sześciątów, długie i krótkie, o kształtach cylindrycznych i wrzecionowatych, całe i rozbite. Dwukrotnie natrafili na niewielkie kutry, jakich szukali, ale jeden był bardzo stary i wolnobieżny, drugi zaś okazał się w takim stanie, że łatwiej byłoby zbudować nowy, niż go remontować.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, statki rzucały długie cienie. Wreszcie Arkadij zatrzymał się przy kolejnym kosmicznym kolosie i powiedział:

– Dostyc. Wracamy. Kolejny pomysł Paszki okazał się niewypałem.

– Arkadij ma rację – zgodziła się Alicja. Czula pragnienie, w ustach tak jej zaschło, że ledwie mogła mówić.

Paszka milczał, nie protestował. Stał nieruchomo, spoglądając ponad ramieniem Arkaszy, jakby zobaczył widmo.

Alicja odwróciła się.

Ujrzała nieduży planetarny statek, zupełnie inny niż wszystkie, które dotąd widzieli.

Podobny był do zgnieczonego żołędzia przeżartego przez robaki – w dole kadłuba tuż przy ziemi czerniała dziura o średnicy blisko dwóch metrów,

– Na tym wspaniałym statku – rzeki Paszka – wygramy wyścig.

– Dostałeś porażenia słonecznego – powiedział Arkasza. – Za długo byłeś na słońcu.

ROZUMNY STATEK

Arkasza z początku nie chciał nawet spojrzeć na statek, a co dopiero wejść do środka. Był wyczerpany, dręczyło go pragnienie i marzył tylko o jednym: czym prędzej wrócić do domu. Alicja podzielała jego zdanie. Paszka jednak nie dawał za wygraną.

– Lecieliśmy przez całą Europę, żeby wybrać jakiś statek. Trzy godziny włączymy się po Saharze. I po co to wszystko? Tylko po to, żeby zawrócić o krok od celu? Na pewno nigdy sobie nie wybaczymy, że nie obejrzeliliśmy tego statku. A może uda się go naprawić? Spójrzcie, przecież on jest fantastycznie niezwykły! O czymś podobnym nie ma wzmianki w żadnym informatorze! Dobra, zostańcie sobie tutaj, a ja zajrzę do środka. Na chwilę. Strasznie mi się podoba.

– Co tu jest do podobania? – zdziwił się Arkasza. – Równie dobrze można się zachwycać zardzewiałym parowozem.

Paszka zdecydowanym krokiem ruszył w stronę stateczku, chwycił za nadtopione brzegi wyrwy, podciągnął się na rękach i zniknął w środku.

– Ja też rzucę okiem – powiedziała Alicja – nudno tak sterczeć.

– Idź – ponuro odparł Arkasza. – To wszystko głupota.

Alicja zajrzała w czarną otchłań dziury.

– Paszka! – zawołała. – No, jak tam?

– Nic nie widzę – odkrzyknął Paszka. – Latarka została we flajerze.

– Wychodź – przykazała Alicja. – Jeszcze nogę złamiesz.

I w tym momencie na przodzie, tam skąd dobiegał głos Paszki, rozblysnął plafon na suficie, oświetlając postać Paszki, który stał wśród pogruchotanych szczątków sprzętu i aparatury.

– No, zobacz – odezwał się Paszka – jeszcze nie wszystko stracone.

– Ciekawe, jakim cudem zapaliło się światło – zainteresowała się Alicja, wdrapując się do wnętrza statku.

– Nie wiem – odparł Paszka, idąc dalej przed siebie. – Popatrz, pulpit sterowniczy jest prawie nie uszkodzony. Tylko napisy w jakimś dziwnym języku.

Alicja podeszła do Paszki. Odrzuciła na bok połamany fotel pilota i spojrzała na pulpit. Rzeczywiście, prawie nie zniszczony. Były na nim napisy w języku jakiejś obcej planety. Zresztą nic w tym dziwnego. Na złomowisko trafiały statki z innych planet. Te, które uległy katastrofie w pobliżu Układu Słonecznego lub zostały opuszczone przez załogę, a potem zabrane przez holownikiczysciściele.

– Trzeba obejrzeć silniki – stwierdził Paszka.

– Jeśli to statek z innej planety – zauważyła Alicja – to szkoda czasu. Nie wiadomo przecież, jak nim sterować.

Z trudem przedostali się do komory silnikowej. Zastali tam Arkaszę. Naturalnie, nie wytrzymał

i też wszedł na statek. Niestety, komora silnikowa znajdowała się w opłakanym stanie. Główny silnik grawitacyjny był oderwany od kadłuba i miał duże wgniecenie. Dobrze przynajmniej, że silniki planetarne pozostały nie uszkodzone.

– No, wszystko już jasne? – spytał Arkasza. – Teraz możemy wracać?

– Nic nie jest jasne – odpowiedział z uporem Gieraskin. – Przecież warunkiem wyścigu jest korzystanie ze zwykłych planetarnych silników. Grawitacyjnych nie wolno używać. A zwykle są w porządku.

– Dość tego – przerwał zdecydowanie Arkasza. – Rozstajemy się, i to na zawsze. Nie mogę się przyjaźnić z lekkomyślnym awanturnikiem.

– Arkasza ma rację – wtrąciła Alicja – nie da się zreperować tego statku. Nadaje się tylko na złom.

I pierwsza skierowała się ku wyjściu.

W ślad za nią ruszył Arkasza. Paszka zatrzymał się jeszcze na moment w komorze silnikowej. Ale najwidoczniej i on zrozumiał, że sprawa jest beznadziejna. Powiedział, jakby zwracając się do statku:

– Wybacz, przyjacielu. To nie nasza wina.

I też poszedł do wyjścia.

Nagle usłyszeli cichy, niski głos:

– Proszę was, nie odchodźcie.

– Kto to powiedział? – wzdrygnął się Paszka.

– To ja, statek – zabrzmiała odpowiedź. – Proszę was, poczekajcie, ludzie. Odniosłem wrażenie, że zamierzaliście wykorzystać mnie do lotu, tylko odstraszył was mój opłakany stan.

– Coś podobnego! – zawołał Paszka. – Hej, zaczekajcie! To mówiący statek!

– Słyszymy – odparła Alicja, nie mniej zresztą zdziwiona niż Paszka. Miała do czynienia z robotami, z wszelkiego rodzaju rozumnymi maszynami, ale nigdy dotąd nie zdarzyło jej się rozmawiać ze statkiem.

– Jestem nie tylko statkiem mówiącym – ciągnął dalej głos. – Jestem statkiem rozumnym. I mój mózg pozostał całkowicie nie naruszony. Ja wam pomogę wyremontować mnie.

Nikt nie wiedział, co odpowiedzieć. I wtedy Paszka zadał głupie pytanie. Chociaż usprawiedliwione.

– Posłuchaj – odezwał się – czy nie masz przypadkiem wody? Strasznie chce się nam pić.

– Nie – odrzekł stateczek. – Wody niestety nie mam. Syntetyzator też się zepsuł.

– Szkoda – powiedział Paszka,

– A gdzie cię zbudowano? – spytała Alicja.

– Opowiem wam wszystko, tylko nie opuszczajcie mnie. Dłużej tu nie wytrzymam. Wiem bardzo wiele. Jestem unikatem, a padłem ofiarą nieszczęśliwej miłości – powiedział stateczek.

Wszyscy byli zdumieni, nawet Paszka się nie roześmiał.

– Proszę nam wybaczyć – odezwał się wreszcie Arkasza – ale na nas już pora, inaczej wrócimy do domu w nocy.

– Chcecie mnie porzucić? – spytał statek i Alicja odniosła wrażenie, że głos mu zadrzał.

Nagle przyszło jej na myśl, że ta żywa istota – a jeśli posiada rozum, jest żywą istotą, choćby nawet była z metalu – okropnie boi się zostać sama tutaj, na pustyni, na tym cmentarzysku. Zrobiło jej się żal rozbitego stateczku. Odezwała się w imieniu wszystkich:

– Na pewno wrócimy do ciebie.

– Jutro – dodał Paszka.

Arkasza milczał, ale było oczywiste, że nie zostawi przyjaciół.

– Do widzenia, stateczku – rzekła Alicja zeskakując na kamienie.

– Nazywam się Gaj-do – cicho powiedział stateczek.

Słońce powoli kryło się za spiczastymi wierzchołkami skał, zrobiło się nieco chłodniej. Cała trójka pobiegła w stronę wartowni. Byli wycieńczeni, języki przyschły im do podniebienia i wszyscy marzyli już tylko o tym, by czym prędzej opuścić to martwe miasto.

Na ostatnich nogach dowlekli się do wartowni.

– Ale długo – rzekła Dżamila. – Miałam już posłać po was robota. Nie dalej jak w ubiegłym roku pewien chłopiec schował się na statku – myślał, że uda mu się samemu polecieć w Kosmos. Zabawne, prawda? Chce się wam pić?

– Strasznie – odrzekł Paszka.

– To wejdźcie do mnie.

Kiedy przyjaciele wdrapali się do wnętrza latającego talerza, Dżamila otworzyła puszki z zimnym sokiem pomarańczowym i postawiła je na stoliku. Widząc, jak goście łapczywie piją, powtarzała:

– Proszę, pijcie pomału, bo się zaziębicie.

Przyszli uczestnicy wyścigu dopili sok, odstawili puste puszki na stół i popatrzyli na Dżamilę takim wzrokiem, że bez słowa otworzyła lodówkę i wyjęła stamtąd trzy następne puszki. Teraz pili już wolniej. Dżamila spytała:

– Znaleźliście to, o co wam chodziło?

– Sami nie wiemy – rzekła Alicja.

– W zeszłym tygodniu byli tutaj chłopcy z Francji – powiedziała Dżamila – ale niczego nie znaleźli.

– Słuchaj – Paszka zabełtał resztkę soku w puszcze – czy możesz nam powiedzieć, jak trafił tu jeden z tych statków?

– Naturalnie – odparła Dżamila. – Jeśli tylko wiem.

– Kuter planetarny w szóstym sektorze – rzekł Arkasza. – Ten z wielką dziurą z boku.

– Biedaczek – powiedziała Dżamila, – Zabrano go z okolic Plutonu. Całkiem niedawno, jakieś pół roku temu. Dziennika pokładowego nie znaleziono i według wszelkich oznak został porzucony lub zgubiony w kosmosie.

Dżamila włączyła display, pojawiła się sylwetka statku, który przedstawił się im jako Gaj-do.

– Badali go eksperci. Na aparaturze są napisy w języku westeriańskim. Zwróciliśmy się na planetę Wester o bliższe informacje, ale jak dotąd nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Ten stateczek otacza tajemnica. W każdym razie jest tak rozbity, że nie nadaje się już do remontu.

– A gdybyśmy spróbowali? – spytał Paszka.

– O pozwolenie musicie zwrócić się nie do mnie – uśmiechnęła się Dżamila. – Chcecie jeszcze soku?

Alicja i Arkasza podziękowali, ale Paszka wypił jeszcze, na zapas. Kiedy zbierali się do odejścia, Alicja spytała:

– Czy ten stateczek... mówi?

– Co takiego? – zdziwiła się Dżamila. – Statki nie mówią.

– Nie zwracaj uwagi na Alicję – wtrącił Paszka. – Trochę za długo była na słońcu. Do widzenia, jutro tu przylecimy.

– Zapraszam – odparła Dżamila. – A gdybyście w domu znaleźli przypadkiem rosyjsko-chiński słownik, byłabym wam niezmiernie wdzięczna.

– Nawet trzy słowniki! – oświadczył Paszka i zaczął popychać przyjaciół do wyjścia.

Kiedy już wzbili się w powietrze i wzięli kurs w kierunku nadciągającej ze wschodu nocy, Paszka powiedział:

– Oj, Alicja, ale ty masz jęzor!

– A co ja takiego powiedziałam?

– Ze statkiem Gaj-do wiąże się jakaś tajemnica i jeśli on sam nie chce zdradzić się z tym, że jest rozumny, musi mieć jakieś powody. A ty od razu zaczynasz wypytywać Dżamilę.

– Mnie się to nie podoba – oświadczył Arkasza. – Maszyna nie może oszukiwać ludzi,

– A te dziwne słowa o nieszczęśliwej miłości – westchnęła Alicja, patrząc, jak daleko w dole, nad brzegiem morza zapalają się wieczorne światła.

GAJ-DO OPOWIADA

Nazajutrz raniem Alicja i jej przyjaciele znów polecili na Saharę.

Arkadij zabrał z laboratorium sprzęt potrzebny do zbadania statku, aby ustalić, jak poważne są uszkodzenia, Paweł wioził narzędzia, żeby naprawić oświetlenie i wentylację. Alicja wzięła zapas jedzenia dla wszystkich i słownik rosyjsko-chiński. Po drodze wylądowali jeszcze na przedmieściach Aten, nie opodal targowiska, gdzie kupili pomarańcze, oliwki i całą skrzynkę nowalijek i owoców.

Dżamila powitała gości z Moskwy jak starych znajomych. Nawet nie jadła jeszcze śniadania – czekała na nich. Owoce z Aten bardzo się więc przydały. A słownik rosyjsko-chiński wprowadził ją w prawdziwy zachwyt. Naturalnie Dżamila nie wierzyła, że statek można wyremontować, ale ceniła w ludziach upór w dążeniu do celu. Zgodziła się nawet, by podlecieli na flajerze do samego statku, na co zwykle tutaj nie zezwalano.

Flajer miękko wylądował tuż koło Gaj-do.

Alicja wyskoczyła pierwsza.

Panował jeszcze chłód, słońce dopiero wynurzało się zza skał i przygrzewało łagodnie, pogoda prawie jak w Moskwie. Po niebie wolno płynęły pierzaste obłoki. Wśród kolczastych krzewów, które rosły między statkami, szczebiotały ptaki.

– Dzień dobry, Gaj-do – powiedziała Alicja. – Wróciliśmy.

– Witajcie odparł stateczek. – Cieszę się, że was widzę.

Alicja nie zauważyła niczego dziwnego w odpowiedzi stateczku. Arkasza był jednak bardziej spostrzegawczy.

– Ho, ho! Kiedy to nauczyłeś się po rosyjsku? – spytał.

„Rzeczywiście! – uświadomiła sobie Alicja. – Przecież jeszcze wczoraj rozmawiał z nami w kosmolingwie”.

– Miałem czas, by przeanalizować wasze wczorajsze rozmowy – odparł statek. – Wypowiedzieliście dostatecznie dużo słów, żebym się nauczył. Czegóż to nie można zrobić przez jedną długą pustynną noc!

– Brawo! – rzekł Paszka, wylądowując z flajera sprzęt. – A ja ciągle nie mogę się nauczyć angielskiego.

– Na pewno masz inne zainteresowania – uprzejmie zauważył statek.

– On ma milion zainteresowań – uśmiechnęła się Alicja.

Arkasza włączył kamerę laserową i obszedł statek dokoła, filmując go ze wszystkich stron, żeby zrobić potem kopię holograficzną.

Ledwie znikł im z oczu, przechodząc na drugą stronę statku, usłyszeli jego okrzyk:

– A to co znowu!

Z cienia wytoczył się szary krążek i, turlając się szybko, przepadł bez śladu.

– To znów on! – powiedziała Alicja. – Nie ugryzł cię?

– On chyba wcale nie ma ust.

– Koniecznie trzeba będzie pomówić z Dżamilą – stwierdziła Alicja. – To jakiś mutant.

– Wchodzę do środka – rzekł Paszka, wyciągając z flajera całą furę narzędzi. – Zobaczymy, co się da zrobić.

– Chwileczkę – odezwał się statek. – Czy wy naprawdę chcecie mnie stąd zabrać?

– Jeszcze nie wiemy – odparła Alicja. – Zależy, czy w ogóle zdołamy cię uruchomić.

– Tak bym chciał, żeby się wam udało – powiedział statek. – Postaram się pomóc. Wejdźcie na mostek. Pokażę, jak zreperować informacyjny display. I opowiem wam smutną historię mojego życia.

Alicja i Paszka przedostali się do pulpitu sterowniczego i Gaj-do wyjaśnił im, jak otworzyć szafkę pokładową, gdzie leżała zapasowa rurka do rozbitego displaya. We dwójkę zreperowali display w ciągu pół godziny.

– Popatrzcie – rzekł Gaj-do, kiedy display zapłonął zielonym światłem. Pojawiła się na nim twarz starszego łysego mężczyzny z fiołkowymi oczami.

– Oto wybitny konstruktor, Samaon Gaj z planety Wester... – zaczął opowiadać Gaj-do. – Bardzo pragnął mieć syna...

Gaj-do zakończył swoją długą opowieść pytaniem:

– Ludzie, wyjaśnijcie mi: dlaczego ona tak bez słowa mnie porzuciła? A może zginęła?

– Przypuszczam – rzekł Arkasza – że Irija Gaj żyje i cieszy się dobrym zdrowiem. Ale jest stracona dla nauki. Zamiast badań naukowych i ciebie wołała zwykłego mężczyznę.

– Przecież to zdrada! – wykrzyknął statek z niedowierzaniem.

– Nie powinieneś mieć do niej pretensji – oderwała się Alicja. – Może to miłość. Czytałam, że z miłości ludzie robią przedziwne rzeczy. Słyszałeś o Romeo i Julii?

– Nie – odparł statek. – Też konstruktorzy?

– To zdarzyło się bardzo dawno temu – wyjaśniła Alicja. – Oboje zginęli.

– Nie zwracaj głowy – przerwał jej Paszka. – Czy można z powodu jakiejś tam miłości zapomnieć o przyjacielu i o pracy? Cała ta Irija zasługuje tylko na pogardę. Najlepiej o niej zapomnieć.

– O, nie! – zaprotestował statek. – Nigdy jej nie zapomnę!

– Musisz wziąć się w garść – odezwał się rozsądny jak zwykle Arkasza. – Jeśli tu chodzi tylko o miłość, to szybko ci przejdzie.

– Jesteś naiwny, Arkasza – rzekła Alicja. – Widać, że nigdy jeszcze nie kochałeś.

Arkasza spojrzał uważnie na Alicję i zapytał:

– Czy twoje imię, nadobna dziewczeczko, nie brzmi przypadkiem Julia?

Paszka zaczął chichotać, statek zaś urażony zamilkł, bo to nic przyjemnego słyszeć śmiech, kiedy mówi się o swoich uczuciach.

– Ocknąłeś się dopiero tutaj? – zwróciła się Alicja do Gaj-do.

– Tak.

– A dlaczego ukryłeś przed ludźmi, że jesteś rozumnym statkiem?

– W pierwszych tygodniach straciłem zdolność mówienia. Mój umysł ledwie, ledwie funkcjonował. Byłem ciężko ranny. Oglądali mnie różni inżynierowie, aż w końcu uznano, że miałem katastrofę gdzieś daleko w kosmosie, a trafiłem na Ziemię przyniesiony przez prądy gwiazdne. No

więc tkwię tutaj jako niezidentyfikowane szczątki, które nie posiadają żadnej wartości naukowej.

– A kiedy mogłeś już mówić, dlaczego nadal milczałeś? – spytał Paszka.

– Wiele rozmyślałem. Nie wiem, kto na mnie napadł i z jakiego powodu. Może u was na Ziemi istnieją źli ludzie, którzy niszczą obcych przybyszów?

– Zwariowałeś! – wykrzyknął Paszka.

– A jeśli to był spisek przeciwko mojej pani? Może ktoś nie chciał, żebym ją odnalazł? Najpierw miałem zamiar się wykurować, aby czym prędzej przystąpić do działania. Na razie zacząłem zbliżniać tę dziurę z boku. Jeszcze przed tygodniem była dwa razy większa. Nie próżnuję, nie poddaję się losowi.

– A kiedy zjawiliście się tutaj – rzekł Paszka – postanowiłeś nas wykorzystać.

– To wy postanowiliście wykorzystać mnie. Nie przeczę, miałem szczęście. Jeśli mnie naprawicie, zrobią wszystko, co zechcecie, a później polecę szukać mojej pani, Irii.

– Zgoda – powiedział Paszka.

– Żadna zgoda – obruszył się Arkasza,

– O co ci chodzi?

– Czy nie rozumiesz? – odezwała się Alicja. – My musimy odnaleźć Iriję Gaj, i to jak najszybciej.

– Co ja słyszę! – wyszeptał stateczek. – Naprawdę jesteście tacy szlachetni?

– Przecież to naturalne – odparł Arkasza. – Masz zmartwienie, więc naszym obowiązkiem jest ci pomóc.

– Ale wy przecież wcale mnie nie znacie, a w dodatku nie jestem człowiekiem, tylko statkiem.

– Co za różnica! – zawołała Alicja. – Martwisz się tak, jak najprawdziwszy człowiek.

– Chwila, chwila – przerwał im Paszka. – Bez pośpiechu! A gdzie gwarancja, że ten kuter nie opuści nas, kiedy tylko znajdzie swoją panią? My będziemy się tu wysilać, harować, a na wyścig zostaniemy bez statku.

– Jak ci nie wstyd! – oburzyła się Alicja.

– Pasza ma rację – odezwał się statek. – Chociaż to przykre, że tak źle o mnie myśli. Daję słowo, że będę wam uczciwie służyć.

– Nie słuchaj Paszki – uspokoiła go Alicja. – Opowiedz nam lepiej wszystko o Irii, to ułatwi poszukiwania.

Na displayu pojawiła się twarz młodej kobiety. Twarz była ładna, stanowcza, króciutkie włosy, na policzku niewielka blizna.

– Bardzo łatwo odróżnić ją od innych kobiet – powiedział Gaj-do. – Zawsze chodzi w męskim ubraniu, mówi bardzo mało, ale rzeczowo, czasami używa nawet dosadnych wyrażen. Krok zamaszysty, plecy proste, ulubione zajęcia to strzelanie z pistoletu, konna jazda, boks i podnoszenie ciężarów... Na dłoniach ma odciski, świetnie radzi sobie z heblem i siekierą, opanowała wszystkie chwytaki walki wej-ko. To najdzielniejsza kobieta w całej Galaktyce i tylko przypadek zrządził, że nie urodziła się mężczyzną.

– To rozumiem! – zawołał Paszka. – Chciałbym mieć taką siostrę.

– A co wiesz o Tadeuszu? – spytała Alicja.

– Tadeusz to po prostu Tadeusz – w głosie statku zabrzmiało lekceważenie. – Zwyczajny biolog, tacy jak on powinni siedzieć w domu, a nie wybierać się w kosmos. Nie potrafi nawet działać we własnej obronie.

Na displayu ukazał się sympatyczny młody mężczyzna, z kędzierzawą czupryną. Miał twarz o wystających kościach policzkowych i smutnych, błękitnych oczach.

– Jest całkiem zwyczajny – rzekł statek. – Taki zwyczajny, że nie warto mu się nawet przyglądać.

– Tadeusz – powtórzył Arkasza. – Chyba Polak.

– Wszystko jedno – twardo odparł stateczek. – On nie jest godzien mojej pani.

SAD POD WROCŁAWIEM

Nazajutrz rano Paszka i Arkadij znów polecili na Saharę, Alicja zaś udała się do centrum informacyjnego, aby odszukać Iriję Gaj.

Okazało się to jednak nie takie proste.

Po pierwsze, na Ziemi w ogóle nie było żadnej Irii Gaj.

Natomiast kobiet o imieniu Irina, Irija, Ira i Iraida żyło na naszej planecie całe mnóstwo. I jak zgadnąć, która jest właśnie tą?

Zaczęto więc poszukiwać Tadeusza.

Ale dane wykazały, że w Polsce mieszka trzysta dwadzieścia tysięcy osiemset czterech Tadeuszów w najprzeróżniejszym wieku, a kilka tysięcy z nich latało w kosmos, ponieważ, jak wiadomo, Polacy lubią podróżować.

Wówczas dziewczyna, która zajmowała się poszukiwaniem Irii, poprosiła Alicję, żeby poczekała, ona tymczasem połączy się z Zarządem Wywiadu Kosmicznego. Alicja poszła do automatu z lodami, wybrała sobie śmietankowe z galaretką ananasową na wierzchu i cienką chrupiącą landrynkową polewą. Zanim zdążyła zjeść lody, dziewczyna zawołała ją z powrotem.

– Coś niecoś zaczyna się wyjaśniać – powiedziała. – W Zarządzie poinformowano mnie, że jakiś Tadeusz Sokół figuruje w wykazach kosmobiologów, specjalistów od bezkręgowców. Był na wyprawie w systemie Prokla, został ranny, leczyl się, półtora roku temu wrócił na Ziemię. Obecnie mieszka niedaleko Wrocławia, w miejscowości Strzelce. Oto bliższe informacje.

Dziewczyna przycisnęła guzik i display wyrzucił wydruk ze wszystkimi danymi. Było tam napisane, jak dolecieć z Moskwy do miejscowości Strzelce w województwie wrocławskim, z rozkładem jazdy kolei podziemnej, aerobusu i rozmieszczeniem stacji flajerów.

Alicja dokończyła lody i poszła na postój flajerów. Oczywiście podróż flajerem trwa nieco dłużej niż koleją podziemną. Ale kolej jedzie tylko do Wrocławia, potem trzeba się przesiadać. Na flajerze zaś można spokojnie dolecieć prosto na miejsce. Wystarczy podać otrzymany w centrum informacyjnym wydruk i flajer sam trafi, gdzie trzeba.

Alicja była w świetnym humorze – oczyma wyobraźni widziała już, jak ucieszy się Irija na wieść, że jej stateczek znajduje się na Ziemi.

Flajer zatoczył krąg nad miasteczkiem. Z prawej strony widać było wieżowce i kościoły Wrocławia, dalej zaczynał się pas zieleni – drzewa wypuściły już liście, las był jasny, prześwietlony słońcem. Alicja osadziła flajer na polanie i ruszyła przez las w kierunku domu Irii. Nie spieszyła się. Wokoło było tak ładnie. Leśne powietrze pachniało świeżością, z trawy wyzierały konwalie. Alicja zrywała zajęczą kapustę i żuła kwaskowate miękkie listki. W trawie zaszurgotał malutki jeż i nie zważając na Alicję śmiało wszedł na ścieżkę. Na jego igielkach tkwiły zabawnie nadziane liście. Alicja dogoniła języka i powiedziała:

– Jak ty nieporządnie wyglądasz!

Jeżyk fuknął urażony i w okamgnieniu skrył się w trawie.

Alicja wybuchnęła śmiechem.

Świeciło słońce, wiał rześki, ale łagodny wiatr, szumiały brzozy.

Dróżką z naprzeciwka szła kobieta w powiewnej sukience. Pchała przed sobą dziecięcy wózek. W wózku leżał niemowlak, trzymał w ręku grzechotkę i wpatrywał się w nią tak uważnie, jak gdyby rozwiązywał zadanie matematyczne. Niemowlę spodobało się Alicji, grzecznie ukloniła się kobiecie i spytała po rosyjsku, jak dziecko ma na imię.

– Wanda – odparła kobieta. Możliwe, że wcale nie знаła rosyjskiego, ale każda matka zrozumie, o co ktoś pyta, jeśli przy tym patrzy z uśmiechem na jej dziecko.

– Przepraszam – Alicja wyjęła kartę informacyjną – czy może mi pani powiedzieć, jak trafić do domu Tadeusza Sokoła?

– Tadeusza Sokoła? – powtórzyła kobieta cichym, bardzo łagodnym głosem.

Alicja przyglądała jej się z zachwytem, Kobieta była taka zwiewna i delikatna. Długie puszyste włosy sięgały opalonych ramion, suknia miękko się układała, przylegając do zgrabnej sylwetki. Kobieta miała oczy dziwnego fiołkowego koloru, osłonięte długimi czarnymi rzęsami.

– Och – rzekła – Tadeusz Sokół to mój mąż.

„Ojej! – przeraziła się w duchu Alicja. – Czy to możliwe, by doszło do takiej tragedii? A więc Tadeusz pokochał inną i pozbył się tej dzielnej kobiety, której szuka stateczek Gaj-do. A jeśli Irija z rozpaczy odebrała sobie życie?”

– Zaprowadzić cię? – spytała kobieta.

Zawróciła wózek i ruszyła przed siebie. Alicja szła za nią. Kobieta raz czy dwa odwróciła się, z obawą spoglądając na Alicję, jakby i jej udzielił się nastrój Alicji.

Po jakichś stu krokach zagajnik skończył się, dalej rozciągało się ciche osiedle małych kolorowych domków z ogródkami. Kobieta skierowała się ku ostatniej działce, gdzie opalony mężczyzna w podwiniętych do kolan spodniach bielił w sadzie pnie jabłoni.

– Tadeusz! – zawołała kobieta.

Mężczyzna się wyprostował i radośnie uśmiechnął się do niej.

Spytał o coś po polsku, kobieta odpowiedziała. Potem odwrócił się do Alicji. Alicja odezwała się:

– Dzień dobry. Przepraszam, nie znam polskiego, ale muszę koniecznie pomówić w bardzo ważnej sprawie z Tadeuszem Sokołem.

– Dobrze, dziecko – odparł Tadeusz, wkładając pędzel do wiadra i wycierając ręce. – Możemy rozmawiać tutaj?

– Wolałabym – rzekła Alicja, czując się dość niezręcznie – porozmawiać z panem na osobności.

– Zgoda – skinął głową Tadeusz. – Chodźmy do domu.

Powiedział coś do swojej żony, która została w sadzie, i poszedł z Alicją na werandę. Niewiele przypominał Tadeusza z displayu Gaj-do. Alicja nie poznałaby go na ulicy. Trudno się zresztą dziwić – Gaj-do widział go tylko podczas choroby, bliskiego śmierci.

Tadeusz wskazał Alicji wiklinowy fotel. Sam usiadł w drugim.

– Napijesz się mleka? – spytał.

– Nie, dziękuję – odparła Alicja. – Ja tylko na chwilę.

– Skąd jesteś?

– Nazywam się Alicja Sielezniewa. Mieszkam w Moskwie, ale przyleciałam tutaj prosto ze złomowiska.

– Bardzo mi przyjemnie – rzekł Tadeusz, lecz był wyraźnie zdziwiony. – A co porabiałaś na złomowisku?

Alicja spojrzała w stronę sadu. Młoda kobieta odejmowała ze sznurka śpioszki.

Alicja czuła się tak skrępowana, że zaczęła, mówić bez ładu i składu.

– On ją kocha i dla niej pokonał pół Galaktyki. On uważa, że to pan jest wszystkiemu winien. Ale teraz zrozumiałam już całą prawdę: nic mu nie powiem. Tylko co pan z nią zrobił?

– Nic z tego nie rozumiem – odezwał się Tadeusz. – Wyjaśnij mi wszystko spokojnie.

– Co tu wyjaśniać? Myślę, że aż za dobrze pan rozumie. Dokąd ona poleciała? Wróciła do siebie? A może zrobiła sobie coś złego?

– Przynieść ci waleriany? – spytał Tadeusz.

– Proszę, niech pan się nie wykręca i nie próbuje mnie zwodzić – powiedziała Alicja. Zaczęła ją już złościć ten biolog. W końcu to wszystko z jego winy, a on jakby nigdy nic siedzi sobie na werandzie i jeszcze proponuje jej walerianę. – Obejdzie się bez waleriany.

Tadeusz rzucił niespokojne spojrzenie na żonę, ale ona nie patrzyła w ich stronę.

– Co ja mu powiem? – odezwała się znów Alicja. – Przecież on jest bliski śmierci. Ma w boku taką wielką dziurę.

– Dziurę? – Tadeusz zerwał się. – Kto ma dziurę?

Powiedział to tak głośno, aż usłyszała go żona i zrozumiała, że na werandzie dzieje się coś niedobrego.

Przybiegła w mgnieniu oka i zastygła w bezruchu spoglądając to na Tadeusza, to na Alicję.

– Nic nie pojmuję – rozłożył ręce Tadeusz. – Ktoś ma dziurę w boku, ktoś inny z mojego powodu zginął, a kogoś, o ile dobrze zrozumiałem, zabiłem.

Biolog przeszedł na kosmolingwę, którą Alicja doskonale знаła.

Młoda kobieta patrzyła z niepokojem na Alicję.

„No cóż – pomyślała Alicja. – Byłam delikatna i nie chciałam ranić ich uczuć. Ale teraz... Sami do tego doprowadzili”.

– Powiem całą prawdę – zaczęła stanowczym tonem. – Pani mąż był na planecie Wester. Już dawno, prawie dwa lata temu.

– Wiem – potwierdziła młoda kobieta.

Tadeusz wszedł na chwilę do domu i wrócił, trzymając w jednej ręce buteleczkę z walerianą, w drugiej – szklankę wody.

– Był wtedy ranny i pielęgnowała go pewna kobieta, która nazywała się Irija Gaj. Całkiem niezwykła. Może nawet bardziej męczyzna niż kobieta. To ona wymyśliła i skonstruowała statek Gaj-do.

– Wiem – krótko odparła kobieta.

Jej długie, prześwieczone łagodnym słońcem włosy, opadały miękko na ramiona. Alicji wydała się ona piękna jak królewna z bajki. Było jej przykro, że musi zmartwić tę sympatyczną kobietę. Ale skoro zaczęła mówić, teraz już nie mogła się wycofać.

– Potem Irija poleciała z Tadeuszem na Ziemię. Może go kochała, a może tylko mu współczuła. Nie wiem.

– Kochała – powiedziała młoda kobieta.

– Tym gorzej – westchnęła Alicja. – Szukam tej kobiety, a on, jak widzę, ożenił się z panią. Wszystko się pogmatwało i naprawdę sama nie wiem, co teraz zrobić. Muszę jednak odnaleźć Iriję Gaj. Chociaż może on – Alicja wskazała na Tadeusza – nic pani o niej nie opowiadał.

– Masz rację – przyznała młoda kobieta i nagle się uśmiechnęła. – Nic mi o niej nie opowiadał, ponieważ to właśnie ja jestem Irija Gaj. I ze mną się ożenił.

– To nieprawda! – wykrzyknęła Alicja. – Pani nie może być Iriją Gaj. Ona jest całkiem inna. Przypomina raczej mężczyznę, bo tak wychował ją ojciec. Ugania się na skuterach i ćwiczy podnoszenie ciężarów. Uwielbia też rąbać drzewo.

– Trochę się zmieniłam – odrzekła Irija Gaj.

– Naprawdę się zmieniłaś? – zdziwił się Tadeusz i sam zażył waleriany. – Dziwne, nic nie zauważyłem.

– Ale pani jest zupełnie inna. On mi opowiadał... i pokazywał pani portret. Nawet spojrzenie ma pani inne.

– Kto o mnie opowiadał? – spytała Irija.

– A kto ma dziurę w boku? Kto tak kocha moją żonę? – nerwowo zapytał Tadeusz.

– To przecież jasne, Gaj-do – odparła Alicja.

– Statek? – zdumiała się Irija. – A gdzie go widziałaś?

– Tak bardzo się niepokoił, że poleciał na Ziemię szukać pani. Znaleźliśmy go na złomowisku.

– Gdzie?

– Na złomowisku statków kosmicznych. Na Saharze. W drodze na Ziemię ostrzelali go, tak że o mały włos nie zginął. Ale jednak doleciał. Wszystko przez to, że chciał panią odnaleźć.

– Głupiutki stateczek – powiedziała Irija Gaj z zamyśleniem.

W tym momencie w sadzie zapłakało dziecko. Irija zerwała się z werandy, podbiegła do niemowlęcia, wzięła je na ręce i zaczęła kołysać.

– Nareszcie rozumiem – powiedział Tadeusz. – Porządnie mnie nastraszyłaś.

– Przepraszam, poplątałam wszystko, ale Irija zmieniła się nie do poznania. Teraz, kiedy się przyjrzałam, widzę, że to rzeczywiście ona, chociaż taka inna.

– Tadeusz – dobiegł z sadu głos Irii – podgrzej kaszkę.

– Już idę – odkrzyknął Tadeusz i pospieszył do kuchni.

Alicja została na werandzie sama.

Wszystkiego mogła się spodziewać, tylko nie tego. W sadzie płacze niemowlę, Tadeusz podgrzewa kaszkę... A co z kosmosem? Gdzie się podziała bohaterka, która przypominała bardziej mężczyznę niż kobietę?

Bohaterka weszła na werandę. Niosła na rękach maleństwo.

– Popatrz – zwróciła się do Alicji. – Wandeczka to nadzwyczajne dziecko. Już wyrzyna jej się ząbek.

Alicja spojrzała na niemowlę. Dziecko jak dziecko.

– A co będzie z Gaj-do? – spytała.

– Z kim? – zdziwiła się kobieta. – Ach, ze statkiem? No przecież sama powiedziałaś, że jest na złomowisku.

– A nie żal go pani?

– Żal? Ależ oczywiście. Tadeusz, gdzie jest ta kaszka?

– Idę, idę – odezwał się Tadeusz. Wbiegł na werandę, trzymając za uchwyt czerwony rondel.

– Gaj-do przyleciał tu specjalnie dla pani. I o mały włos nie zginął – podjęła znów Alicja.

– Pamiętam go – powiedział Tadeusz. – Bardzo zabawna konstrukcja cybernetyczna. Twój ojciec był okropnym dziwakiem.

– Mój ojciec był wspaniałym dziwakiem – odparła Irija. – Co prawda, nie miałam przez to normalnego życia. Straciłam dzieciństwo. Podczas gdy moje szczęśliwe rówieśnice bawiły się lalkami, ja uczyłam się logarytmów i heblowałam. Aż strach wspominać!

– A Gaj-do mówił, że pani to lubiła.

– Kochałam ojca – odrzekła młoda kobieta – i byłam posłuszną córką. A poza tym nie znałam przecież innego życia.

– Dzielny staruszek Gaj-do – powiedział Tadeusz, mieszając kaszkę, żeby dziecko się nie oparzyło. – Pamiętasz, jak mnie znaleźliście? Tyle mu zawdzięczam.

– Raczej mnie powinienesz być wdzięczny – sprostowała Irija. – Przecież to ja zbudowałam ten kuter.

– Tobie jestem wdzięczny za wszystko – odparł Tadeusz. – A jemu za to, że wyciągnął nas z tej przeklętej planety, kiedy próbowano nas zabić.

– Ale to nie on przez dwa miesiące siedział przy łobie w szpitalu.

Alicja odniosła wrażenie, że Irija jest trochę zła na Tadeusza. Tak to już bywa, pomyślała. Kiedy człowiek ma poczucie winy, zwykle złości się na innych.

– Może polecimy na złomowisko, odwiedzimy go? – zaproponował Tadeusz.

– Niech lepiej Alicja przyśle nam jego fotografię – odparła Irija. – Nie chciałabym zostawiać Wandeczki. W końcu statek to tylko statek. Nic więcej. A poza tym to już przeszłość. I prawdę mówiąc, wydaje mi się ona koszmarnym snem. Lepiej gdyby w ogóle nie istniała. Dopiero tutaj zrozumiałam, że jestem stworzona nie do przygód i boksu, ale do tego, żeby niańczyć dzieci i haftować. Okazało się, że świetnie mi to idzie. A ty umiesz haftować, Alicjo?

– Nie – rzekła Alicja. – Ja uczę się strzelać z łuku.

– Są w życiu ważniejsze rzeczy niż strzelanie z łuku – roześmiała się Irija, przytulając do siebie dziecko.

– Nie wiem – powiedziała Alicja. – Osobiście wydaje mi się, że najważniejsze w życiu to nauka i przygody.

– Kiedyś też byłam taka niemądra. Ale teraz nic nie odciągnie mnie od domu. Zjesz z nami obiad? Ugotowałam zupę z kluskami. Bardzo smaczna,

– Nie, dziękuję – odmówiła Alicja. – Czekają na mnie przyjaciele. Mamy zamiar uruchomić Gaj-do.

– Po co? Lepiej zbudujcie nowy statek. Gaj-do już dość się nalatał.

– Nie – zaproponowała Alicja. – Drugiego takiego statku nie ma. A on tak się martwił o panią!

– Wiesz co – odezwała się gniewnie Irija – na waszym miejscu wyłączyłabym jego mówiącą aparaturę. To bez sensu, żeby statek rozmawiał.

– Nigdy tego nie zrobimy. Właściwie już zaprzyjaźniliśmy się z nim. A co mam powiedzieć, kiedy Gaj-do mnie zapyta, czy panią odnalazłam?

– Co? – Irija zamyśliła się. Potem poprosiła: – Tadeusz, potrzyмай małą. I poszła szybko do pokoju.

Tadeusz odezwał się:

– Mówiłaś, że ma dziurę w boku. Co się stało?

– Ktoś napadł na Gaj-do, kiedy zbliżał się do Układu Słonecznego.

– Napadł? I strzelał?

– Tak. Nie wiadomo kto i dlaczego. Znalazł go nasz krążownik patrolowy i Gaj-do ocknął się dopiero na złomowisku.

– Dziwne – rzekł Tadeusz.

W tym momencie na werandę wróciła Irija.

Wręczyła Alicji małą płaską kasetę.

– Oddasz tę wideotaśmę Gaj-do. On sam ci powie, gdzie ją włożyć. Przesyłam mu tutaj pozdrowienia... mówię, że u mnie wszystko w porządku, i proszę, żeby o mnie zapomniał. Nigdy więcej nie będę latać. Jestem szczęśliwa na Ziemi.

Irija i Tadeusz odprowadzili Alicję do furtki,

Alicja pobiegła przez las do flajera.

Po dwóch godzinach była już na Saharze.

SAMOBÓJCA

Alicja opowiedziała o wszystkim przyjaciółom i włożyła kasetę do wideofonu.

Gaj-do był kompletnie przybity.

Całkiem zamilkł, nie wspomagał już Paszki i Arkaszy swoimi radami. Jakby go nagle przestał interesować własny los.

Ale w pracy nie przeszkadzał – po prostu raptem stał się najzwyklejszym w świecie statkiem kosmicznym.

Alicja szczerze mu współczuła. To naturalne, że każdy człowiek układa sobie życie, i statek nie jest zdolny pojąć, jakie więzy mogą łączyć ludzi. Alicji jednak Gaj-do przypominał dobre, wierne psisko, którego pan przeprowadził się do nowego mieszkania i uznał, że obejdzie się bez psa, bo jeszcze gotów mu zabrudzić dywan. Biega teraz psiak po ulicy i nie może zrozumieć, dlaczego go tak skrzywdzono.

Arkasza przywiózł z Moskwy zaczyn koralitu. Jest to materiał, z którego na Ziemi często buduje się domy. Składa się z żywych koralu, które w zwykłych warunkach atmosferycznych mogą powiększać swoją objętość. Wystarczy zrobić formę czy szalunek, włożyć koralit i połączyć go roztworem odpowiedniej pożywki, a wtedy mikroskopijne korale zaczynają się gwałtownie rozmnażać, wypełniając formę spoistą masą, mocniejszą od betonu i lżejszą od waty.

Paszka i Arkasza zrobili z arkuszy plastiku łatę na kadłubie Gaj-do, po czym nałożyli na nią warstwę koralitu. Koralit szybko pokrył całą wyrwę. Wyglądało to niezbyt ładnie, ale było wystarczająco mocne, chociaż na pewno lepsza byłaby łata z metalu. Tylko żeby ją zrobić, trzeba najpierw polecieć na Gaj-do do Moskwy, do warsztatu szkolnego, gdzie są odpowiednie narzędzia i obrabiarki. Tam dopiero będzie można przeprowadzić porządny remont.

Przygotowania do przelotu zajęły jeszcze trzy dni.

Przez cały ten czas Gaj-do uporczywie milczał.

Odezwał się dopiero rankiem czwartego dnia, kiedy moskwiczanin przylecieli, żeby zabrać statek ze złomowiska.

Podczas gdy Arkasza i Paweł siedzieli u Dżamili załatwiając formalności – przecież wszystkie statki na złomowisku są zarejestrowane i żadnego nie można stąd tak po prostu wziąć sobie – Alicja włączyła odkurzacz przywieziony z domu, żeby posprzątać na mostku i w kajucie.

Odwykła już od tego, że Gaj-do mówi, i aż drgnęła, gdy usłyszała jego głos.

– Alicjo – odezwał się statek – odradzam wam lecieć do Moskwy.

– Oj! – zawołała Alicja. – Przemówiłeś! Jak to dobrze!

– Postanowiłem skończyć z sobą. I nie chcę, żebyście w tym momencie znajdowali się na moim pokładzie.

– Oszalałeś! – wykrzyknęła Alicja. – To niemożliwe! W historii kosmonautyki nie było jeszcze

takiego przypadku, żeby statek popełnił samobójstwo.

– Więc będzie to pierwszy przypadek – powiedział Gaj-do – ponieważ ja jestem pierwszym na świecie rozumnym statkiem, który został tak okrutnie oszukany. Nie chcę dłużej żyć.

– Z powodu Irii, prawda?

– Życzę jej szczęścia – rzekł Gaj-do. – Ale nie jestem już jej potrzebny. I wcale tego przede mną nie ukrywa. Nawet nie chce o mnie myśleć. Chce wymazać z pamięci wszystko, co ma związek z jej dawnym życiem. To znaczy, że powinienem zniknąć. A jeżeli kiedyś przypomni sobie o mnie i zacznie się miotać między mną a tym przeklętym Tadeuszem? zniszczy rodzinę, zostawi swoje dziecko. I wszyscy będą cierpieć. Nie, nie mogę do tego dopuścić. Dlatego muszę zginąć.

– Jak chcesz to zrobić? – spytała Alicja.

– Nic prostszego – odparł ze smutkiem statek. – Wezmę kurs na najbliższą asteroidę, rozpędzę się i z prędkością przewyższającą prędkość światła, wpadnę na nią. Nawet śladu po mnie nie zostanie.

– Czy to twoja ostateczna decyzja? – spytała Alicja i nieoczekiwanie dla samej siebie rozplakała się.

– Ostateczna! – potwierdził stateczek.

– Tak mi żal!

– Mnie też nie jest lekko.

Alicja nie mogła się opanować. Płakała bardzo rzadko, a już naprawdę nie wypada płakać komuś, kto wkrótce kończy dwanaście lat i obleciał połowę Galaktyki. Ale wyobraźcie sobie, jak mały, nikomu niepotrzebny statek Gaj-do leci ku pustej, zimnej, najeżonej skałami asteroidzie, żeby znaleźć tam natychmiastową śmierć.

W tym momencie wrócili weseli, zasapani Paszka i Arkasza. I zobaczyli, że Alicja siedzi w fotelu pilota, trzyma odkurzacz i ryczy jak najęta. A wtóruje jej dochodzący z dynamika nad pulpitem cichy płacz.

– Kto cię skrzywdził? – Paszka doskoczył do Alicji. – Powiedz, a zabiję go!

– Skorpion cię ukąsił?! – spytał Arkasza.

– Nie, tylko jest mi okropnie smutno.

– Dlaczego?

– Dlatego, że Gaj-do nie chce dłużej żyć. Postanowił się rozbić o asteroidę.

– Kompletna bzdura – powiedział Paszka. – To niemożliwe.

– Dlaczego niemożliwe? – rzekł Arkasza, który w lot wszystko zrozumiał. – Jeśli dałeś maszynie rozum, jeśli nauczyłeś ją kochać, to ponosisz za nią odpowiedzialność. A co zrobiła Irija? Wyszła za maż, żyje sobie szczęśliwie i ani pomyśli, że kogoś skrzywdziła. Sam nie wiem, co bym zrobił na miejscu Gaj-do.

– Dziękuję – powiedział Gaj-do. – Jak to dobrze, kiedy ktoś cię rozumie.

– Gaj-do, najukochańszy, błagam, nie umieraj – odezwała się Alicja połykając łzy. – Będę się troszczyć o ciebie.

– Ona rzeczywiście tak bardzo się martwi? – spytał Gaj-do.

– A co ty myślisz! – wykrzyknął Paszka. – Tej całej Irii głowę bym ukręcił.

– Posłuchaj, Gaj-do – zaproponował trzeźwo Arkasza – może zamiast rozbijać się o asteroidę, znajdziesz sobie inny cel w życiu. Jesteś jeszcze młody, tyle lotów przed tobą...

– Nie wiem – zaszlochał statek. – Nie widzę żadnego celu.

– Nieprawda – zaprotestował Paszka. – Jest cel. Musimy wszyscy razem zwyciężyć w wyścigu.

– A potem? – spytał stateczek.

– Potem coś wymyślimy. Polecimy sobie w Galaktykę. Będziemy walczyć z piratami kosmicznymi, znajdziemy tułaczy. Roboty starczy na całe życie.

Gaj-do milczał. Zamyślił się.

Alicja otarła łzy. Było jej głupio wobec chłopców, chociaż żaden jej nie potępiał. Wszyscy troje w ciągu tych minionych dni przywiązali się do stateczku jak do żywej istoty.

– Słuchajcie, polecę do tej Irii – zaproponował Paszka. – Porozmawiam z nią po męsku.

– Szkoda zachodu – powiedziała Alicja. – Ona nie zrozumie. To nie ma sensu.

– Nie ma sensu – powtórzył stateczek. – Ale trzeba pomyśleć. Łzy... łzy dziecka... Znów zamilkł.

– Co teraz? – spytał Arkasza. – Wracamy do domu?

– Nie – stanowczo zaprzeczyła Alicja. – Nie zostawię go tutaj. Albo poleci z nami do Moskwy, albo ja nie ruszę się stąd na krok.

– I umrzesz z głodu i pragnienia.

– Nie umrę – zapewniła Alicja. – Dżamila mnie zrozumie.

– Poczekajcie! – zawołał stateczek. – Alicja nie może tu zostać. Lecę z wami do Moskwy.

Postanowiłem żyć dalej, bo z mojego powodu płakała ta wspaniała dziewczynka. To znaczy, że mimo wszystko nie jestem sam na świecie.

– Nie jesteś sam – z przekonaniem potwierdził Paszka, który już się przestraszył, że cały pomysł z wyścigiem wziął w łeb. – Ja i Arkasza też cię nie zostawimy. Będiesz czwartym członkiem załogi. Słowo honoru.

– Dziękuję – powiedział Gaj-do.

Chwilę pomyślał i dodał:

– Kiedy wylatujemy? Trzeba mi zmienić w mózgu szesnaście kryształków.

– Im szybciej, tym lepiej – odparł Arkasza.

– A więc do roboty! – z zapalem zdecydował statek.

JA Z WAMI NIE POLECE!

Pożegnali się z Dżamilą, u której siedzieli dwaj biolodzy – specjalista od przypadkowych mutacji i specjalista od szkodników upraw rolnych. Przylecieli z Londynu, aby odnaleźć ten tajemniczy szary krążek, który dzieci widziały na złomowisku. Paszka był już o krok od tego, by zostać tutaj i razem z nimi polować na szary krążek, lecz Arkasza spojrział na niego tak surowo, że Paszka się zmieszał i wyjaśnił, że oczywiście tylko żartował.

Nad Morzem Śródziemnym lecieli powoli, niewysoko, żeby Gaj-do mógł obejrzeć Ziemię. Przecież w gruncie rzeczy dotąd jej nie widział. Morze Śródziemne spodobało mu się, ale wspaniałości Panteonu nie docenił. Posiadał własne pojęcie piękna, które nie miało nic wspólnego z gustami starożytnych Greków.

Moskwę jednak zaakceptował. I drapacze chmur, i czystość na ulicach, i mieszkańców.

Oto przyszkolny plac techniki położony między budynkiem szkoły a boiskiem. Na placu znajdują się warsztaty, niewielki hangar dla latających maszyn, poligon i magazyn. Kiedy Gaj-do lądował, właśnie kręcili się tam pierwszoklasiści, którzy w ramach praktycznych zajęć z historii kosmonautyki rozkładali na części stary sputnik. Malcy podnieśli harmider, otoczyli stateczek – spodobał im się i nie ukrywali swojego zachwytu. Okazało się, że Gaj-do nie jest pozbawiony próżności. Powoli obracał się wokół własnej osi, żeby maluchy mogły go lepiej obejrzeć. Alicja o mało nie wybuchnęła śmiechem, ale pohamowała się, by nie urazić Gaj-do. On zaś powiedział:

– Sympatyczne dzieci, będzie z nich pożytek. Kiedyś się nimi zajmę.

Potem przyszedł Łukjanycz, dawny mechanik na statkach transportowych, okropny zrzęda, ale przy tym najlepszy człowiek. Trudno by zliczyć, ile roczników uczniów wprowadził już w arkana techniki kosmicznej. Teraz jego słowo miało być decydujące. Paszka aż zbladł, tak pragnął, żeby werdykt okazał się pomyślny,

Łukjanycz długo oglądał Gaj-do ze wszystkich stron, zajrzał do środka, usiadł w fotelu pilota. Gaj-do milczał, umówił się z Alicją, że na razie nie będzie się z niczym zdradzał – dopiero zaczęto by bez końca debatować, wypytywać... Zresztą dla Łukjanycza to obojętne, czy statek mówi, czy nie. Łukjanycza obchodzi stan techniczny.

Łukjanycz wynurzył się z Gaj-do i rzekł, podkreślając siwego wąsa.

– Robota mistrza!

Była to wielka pochwała dla konstruktora statku. Ale zaraz dodał:

– Sami nie uporacie się z remontem.

– Dlaczego?

– Wyścig odbywa się nie tylko w otwartym kosmosie, ale częściowo w atmosferze. W tym cały szkopuł. Korpus jest obity, pogięty, dziurę załataliście prowizorycznie. Nie zdołacie nabrać odpowiedniej szybkości.

– Czy pan nam pomoże? – spytała Alicja.

– Nie – odparł Łukjanycz. – Pojutrze wyjeżdżam na praktykę z siódmymi klasami. A remontować statek trzeba w fabryce. Chyba rozumiecie.

Po czym Łukjanycz odszedł, pozostawiając kosmonautów pogrążonych w czarnej rozpacz. Jeśli Łukjanycz orzekł, że sami nie wyremontują kadłuba, to znaczy, że jest to naprawdę niemożliwe.

Weszli do Gaj-do i Arkasza zapytał:

– Słyszałeś, co on powiedział?

– Słyszałem – odrzekł Gaj-do. – Ale ja się postaram.

– Co ty możesz! – wykrzyknął z rozdrażnieniem Paszka. – Nie trzeba się było pakować pod tę raketę!

– Pleciesz bzdury – osadził go Arkasza. – Skąd miał wiedzieć, że będą do niego strzelać?

– A może by porozmawiać w fabryce statków kosmicznych? – zaproponowała Alicja. – Poprosić ich.

– To na nic – powiedział Arkasza. – Mają swój plan i z tym się nie wyrabiają, tyle potrzeba statków! A tu raptem przychodzą dzieci i proszą: zreperujcie nam zabawkę.

– Ja nie jestem zabawką – oburzył się Gaj-do. – Słyszeliście, jak profesor Łukjanycz powiedział o mnie, że to robota mistrza?

– Tak, ale teraz wymagasz kapitalnego remontu zauważył Paszka. – A nasi rywale wychodzą już na ostatnią prostą. Dzwoniłem dziś rano do Szanghaju. Van i Lu mówią, że są już prawie gotowi.

– Przecież doleciałem tutaj aż z Sahary! – argumentował Gaj-do.

– Z małą szybkością. I w dodatku zbaczałeś z kursu, sam wiesz.

– Wiem – przybitym głosem potwierdził Gaj-do. – A tak chciałem wam pomóc.

– Nie mamy do ciebie pretensji! – powiedziała Alicja. – Po prostu nie udało się.

– Niestety, kółko się zamyka – stwierdził Arkasza. – Gdybyś był całkiem sprawny, prześcignęlibyśmy wszystkich na zwykłym paliwie. Gdybyśmy natomiast mieli jakieś specjalne paliwo, żeby nabrać rozpędu w atmosferze, prześcignęlibyśmy wszystkich i żaden wielki remont nie byłby potrzebny.

– Paliwo... – powtórzył Gaj-do. – A gdyby tak... Nie, te wspomnienia są zbyt bolesne.

– Jakie wspomnienia? – szybko zapytał Paszka.

– Wspomnienia o planecie Pięć-Cztery, na której moja pani, Irija, spotkała tego Tadeusza.

– Co tam było?

– Może to nic godnego uwagi.

– Gaj-do – surowo przemówił Paszka – albo zaraz wszystko opowiesz, albo zostajesz na zawsze na tym placu i niech się tobą bawią pierwszaki.

– Przecież już wam mówiłem – odezwał się niechętnie Gaj-do – że znaleźliśmy Tadeusza obok bazy tułaczy.

– Bazy tułaczy! – Paszka aż podskoczył w fotelu i o mały włos nie wyrzucił głową w sufit.

– Baza jest bardzo stara.

– One wszystkie są stare – rzekł Paszka. – I nigdy do żadnej nie zdołano się dostać.

– Ależ wy macie krótką pamięć, moi drodzy – westchnął statek. – Przecież widziałem tam cysterny z paliwem. A skoro je widziałem, to znaczy, że można się było do nich dostać.

– Faktycznie – przypomniał sobie Arkasza – mówiłeś, że wejście zostało zniszczone przez trzęsienie ziemi.

– To znaczy – ciągnął Gaj-do – że mechanizm alarmowy, który niszczy bazę, chroniąc ją przed intruzami, został uszkodzony.

– Powtórz – rzekł Paszka uroczystym tonem.

– Został uszkodzony.

– I ty milczałeś! – wrzasnął Paszka. – Natychmiast lecimy na planetę Pięć-Cztery, bierzemy paliwo tułaczy i... może jeszcze jakieś skarby!

– Nie – zaproponował Arkasza – kategorycznie się sprzeciwiam. Musimy poinformować o tym Najwyższą Radę Ziemi. Zorganizują wyprawę na tę planetę. Takimi sprawami powinni zajmować się dorośli.

– Bardzo rozsądnie – pochwalił stateczek. – Chylę czoło przed twoim rozsądkiem, Arkasza.

– Ja też chylę czoło – powiedział Paszka. – Uważam, że najwyższy czas, by Arkasza wrócił do swoich botanicznych doświadczeń. Kwadratowy arbuz – to cel jego życia!

– Niby dlaczego? – obraził się Arkasza. – Nie można powiedzieć słowa prawdy, żebyś od razu nie napadał na człowieka.

– I o żadnym wyścigu, rzecz jasna, nie ma mowy – dodał Paszka.

– Dlaczego?

– Bardzo proste – odpowiedziała zamiast Paszki Alicja. – Dlatego, że przede wszystkim będziemy zmuszeni oddać Najwyższej Radzie Ziemi naszego Gaj-do. Tam zaczną go wypytywać i sprawdzać. Może jest chory. Może rakietą tak go uszkodziła, że puścił wodze fantazji.

– Właśnie! – podchwycił Paszka. – A potem, naturalnie, rozbiorą Gaj-do na części.

– Przestańcie! – wykrzyknął stateczek.

– I wtedy oczywiście nigdy już nie wzniesie się w kosmos.

– Przestańcie!

– A potem na planetę Pięć-Cztery zorganizują wyprawę, na którą nie wezmą przecież żadnych lekkomyślnych dzieciaków. Polecą tam profesorowie i akademicy i napiszą potem milion artykułów o możliwościach zastosowania poszczególnych eksponatów... A my przeczytamy sobie o tym w gazetach.

– Więc co proponujesz? – spytał Arkasza.

– To przecież jasne – powiedziała Alicja. – Paszka proponuje, żebyśmy polecieeli tam sami.

– Rzucić tylko okiem na skarby tułaczy. Żyje się raz! – Paszka przybrał dumną pozę, żeby wszyscy pojęli, że on nie żyje na próżno. – Nie wiem, ile wielkich czynów i odkryć zdążę dokonać. Ale kiedy mówią mi: „Gieraskin, ty potrafisz!”, rzucam wszystko i idę.

– Podoba mi się to, co powiedział Paszka – odezwał się stateczek. – Rozumiem go. Ale niestety muszę zaprotestować: ta wyprawa może okazać się bardzo niebezpieczna.

– I skończy się na tym, że w ogóle nie dolecimy – dodał Arkasza. – To przecież prawdziwa podróż kosmiczna z wielkim przeskokiem. Takich rzeczy kategorycznie zabrania się ludziom, którzy nie posiadają dyplomu kosmonauty. A pomyśleliście, jak zareagują nasi rodzice?

– Odpowiadam po kolei – rzekł Paszka. – Po pierwsze, dolecimy, ponieważ wybieramy się tam nie na zwyczajnym, bezmyślnym statku, ale na naszym przyjacielu Gaj-do. On zrobi wszystko, co trzeba, zrobisz, Gaj-do?

– Zrobię – obiecał stateczek.

– Punkt drugi. Nikomu o niczym nie powiemy. To jasne, że zabroniono by nam lecieć. A nasi rodzice oszaleliby ze strachu o swoje maleństwa. Mają swoje zalety, ale są kompletnie zacofani, jak

to rodzice.

– Ja wyłączam się z tej zabawy – oznajmił Arkasza.

– Z góry wiedziałem, że się nie zgodzisz – rzekł Paszka. – Tu potrzeba odwagi, a to nie każdemu jest dane. Ale musisz nam obiecać, że będziesz trzymać język za zębami.

– Nie mogę wam tego obiecać.

– Więc będę zmuszony cię unieszkodliwić – zagroził Paszka.

– Spróbuj tylko.

– Znajdę odpowiednie lochy, do których wtrączę de na czas naszej nieobecności.

– Dość już, chłopcy – przerwała Alicja. – Przestańcie się kłócić. Nagadacie głupot, a potem przez cały miesiąc będziecie się boczyć na siebie.

– Powiedz, Alicjo – włączył się do rozmowy stateczek – czy Pasza rzeczywiście ma zamiar wprowadzić w życie swój potworny plan i zamknąć Arkadija w lochu?

– Nie – Arkasza wyręczył Alicję w odpowiedzi. – Nie ma pod ręką odpowiednich lochów.

Powiedziawszy to, Arkasza obrócił się na pięcie i odszedł. Paszka w pierwszym odruchu chciał go zatrzymać, ale w końcu machnął tylko ręką.

– Pędź, zdrajco – skwitował krótko.

– On nas nie wyda – zapewniła Alicja.

– Wiem – odparł Paszka. – Ale głupio to wyszło. Chodź, Aluśka, musimy wymyślić, co powiemy naszym staruszkom.

FESTIWAL NA HAWAJACH

Pożegnali się z Gaj-do i wyszli na dwór. Był wesoły, słoneczny dzień. Na placyku, przed statkiem stał młody mężczyzna i w zamyśleniu mu się przyglądał.

Alicja spotkała już raz tego mężczyznę, ale jego obecność tutaj była tak niespodziewana, że nie od razu go poznała.

– Tadeusz! – wykrzyknęła. – Co pan tu robi? A gdzie Irija?

– Witaj, Alicjo – powiedział Tadeusz Sokół. – Irija została we Wrocławiu z dzieckiem. A ja przyleciałem do Moskwy służbowo, na konferencję. I pomyślałem sobie, że odzuję cię, poznam bliżej...

– To Pasza, mój przyjaciel – przedstawiła Paszkę Alicja. – Chcemy razem polecieć na Gaj-do.

– Wspaniale – rzekł Tadeusz.

– A więc to pan jest mężem Irii? – spytał Paszka surowo.

– Zgadza się.

– Wszystko jasne – powiedział Paszka. Tadeusz nie spodobał mu się.

W milczeniu patrzyli na stateczek. Stał tuż obok, ale nie wiadomo było, czy ich słyszał czy nie. Może nie poznał Tadeusza. W każdym razie, nawet jeśli go poznał, w ogóle nie zareagował. Uważał przecież Tadeusza za sprawcę swojego nieszczęścia.

– Głupio się czuję – wyznał Tadeusz. – Ale życie nie jest takie proste. Zrozumiecie to kiedyś.

– Ja rozumiem już teraz – powiedział Paszka.

Tadeusz tylko się uśmiechnął.

Alicja pomyślała, że to wcale nie on jest tu najbardziej winny. O wszystkim przecież zdecydowała Irija. Żeby przerwać milczenie, spytała:

– Czy na planecie Pięć-Cztery widział pan bazę tułaczy?

Paszka szturchnął Alicję w bok – milcz!

– Bazę tułaczy? – zdziwił się Tadeusz. – A ona tam w ogóle jest?

– Nie – zaprzeczył szybko Paszka. – Udowodniono, że nie ma tam żadnej bazy tułaczy.

– Nawiasem mówiąc – powiedział Tadeusz – gdybym miał wybrać najbardziej dzikie miejsce, żeby ukryć bazę, nie znalazłbym nic lepszego niż planeta Pięć-Cztery.

– A kto pana właściwie zaatakował? – spytała Alicja.

– Nie wiem. Stało się to tak nagle. Chociaż pamiętam, że tego dnia miałem dziwne wrażenie, jakby ktoś mnie śledził. Nieprzyjemne uczucie. Widziałem tam szare spłaszczone walce podobne trochę do... hokejowego krążka. Jeden taki krążek dosłownie nie odstępował mnie na krok.

Tadeusz zamilkł. Alicja nagle przypomniała sobie krążek na złomowisku.

– Tej wielkości? – pokazała rękami.

– Tak, mniej więcej... Wybaczcie, na mnie już czas. Do widzenia, dzieci. Napiszcie mi, jak udał

się wyścig. Do widzenia, Gaj-do.

Gaj-do nie odpowiedział.

Pożegnali się z Tadeuszem przy szkolnej bramie. Czekał tam na niego flajer.

Tadeusz pomachał im z góry ręką. Alicja też mu pomachała. Paszka nawet nie drgnął.

– Skąd by tu zdobyć jakąś broń? – zaczął się zastanawiać Paszka. – Lecieć bez broni na taką wyprawę to szaleństwo.

Alicja tylko wzruszyła ramionami. Zostawiła Paszkę na skrzyżowaniu i poszła do domu.

Nie można powiedzieć, że była zadowolona z siebie. Doskonale wiedziała, że Arkasza ma rację: to głupia dziecinada lecieć na nieznaną planetę w poszukiwaniu bazy tułaczy. Musi o wszystkim opowiedzieć ojcu. Ale wtedy – żegnaj, Gaj-do, żegnaj, wyścigu, żegnaj, Wielka Przygodo. Niełatwo z tego zrezygnować! A jeżeli Arkasza zdradzi ich plany?

Wtedy ona niczemu nie będzie winna. Wszystko rozwiąże się samo. Nie, lepiej już, żeby Arkasza milczał. W końcu cóż w tym takiego nadzwyczajnego? I ona, i Paszka nieraz bywali w kosmosie, nie są już dziećmi, mają po dwanaście lat. Gaj-do nie jest zwykłym statkiem. A gdyby tak odkryli skarby tułaczy – to dopiero byłaby sensacja!

Alicja poczuła za sobą czyjąś obecność. Szybko się odwróciła i spostrzegła, że po ścieżce, tuż za nią, toczy się szary krążek.

Widząc, że go odkryto, krążek błyskawicznie zmienił kierunek i poturlał się w krzaki.

– Stój! – krzyknęła Alicja. – Tego już za wiele!

W krzakach zaszeleściło. Alicja rozgarnęła je, ale nic nie zobaczyła.

Może to złudzenie? Tadeusz opowiadał o szarym krążku i stąd teraz jakieś głupie przywidzenia.

Alicja nie zauważyła, że szary krążek jakby się rozpląnął, przemienił w szarą błonę i oblepił pień drzewa zlewając się z korą.

„Pójdę do domu – zdecydowała. – Trzeba coś wymyślić, dokąd by można pojechać na kilka dni, żeby nie wzbudzić podejrzeń rodziców”. Wieczorem okazja nadarzyła się sama.

Zadzwoiła znajoma ojca z wiadomością, jaki to wspaniały festiwal tańców narodowych całej planety odbędzie się na Hawajach. Szczebiotła pół godziny, wreszcie spytała:

– Może by pan polecił?

– Nie mam czasu – odparł profesor Sielezniew, znudzony już tym szczebiotaniem.

– To może Alusia?! – wykrzyknęła znajoma. – Przecież ma wakacje.

– Wątpię. O ile wiem, poważnie zainteresowała się wyścigiem kosmicznym – rzekł ojciec.

– Nie, dlaczego? – zaprotestowała Alicja. – Wyścig jest dopiero w sierpniu. Z przyjemnością polecę na festiwal.

Kiedy opowiedziała o tym Paszce Gieraskinowi, Paszka oznajmił, że od dzieciństwa jego największym marzeniem był właśnie festiwal tańców.

Matka puściła go na Hawaje, błagając jedynie, żeby nie walczył tam z rekinami.

Nazajutrz rankiem przyłapała go, jak czynił właśnie spustoszenie w lodówce. Patrząc swymi uczciwymi błękitnymi oczami, Paszka wyjaśnił matce, że nie znosi hawajskiej kuchni i dlatego musi ze sobą zabrać cały worek suszonej kielbasy, sera, masła i konserw.

– A nie rozboli cię brzuch? – spytała mama.

– Mam żelazne zdrowie – odparł Paszka.

DWÓCH PASAŻERÓW NA GAPE

Oczywiście przygotowanie wyprawy pozostawiało wiele do życzenia. Alicja i Paszka liczyli jednak, że potrwa ona niedługo. Tam i z powrotem. Zresztą czy tak wiele potrzeba dwojgu kilkunastoletnim kosmonautom?

Z Arkaszą w ciągu ostatnich dwóch dni przed odlotem nie spotykali się. Co prawda, Alicja zajrzała raz do laboratorium, gdzie Arkasza siedział samotnie nad mikroskopem. Pogadali chwilę, ale tej głównej, najbardziej drażliwej sprawy nie poruszali.

Start miał nastąpić w dzień. Na oczach wszystkich. Paszka wyczytał gdzieś, że doświadczeni przestępcy zawsze tak postępują. Przypuśćmy, że chcesz obrabować staruszkę milionerkę. Przebierasz się wtedy za mleczarza czy listonosza i zwyczajnie, w biały dzień pukasz do jej drzwi. Nikt niczego nie podejrzewa, nawet sama staruszka.

Alicja poprosiła Paszkę, żeby to on pomówił z Łukjanyczem. Rzecz w tym, że Alicja nie cierpi kłamać. Bywa jednak, że dzieci zmuszone są do kłamstwa, głównie dlatego, że dorośli ich nie rozumieją. Alicja zawsze wolała wtedy nic nie powiedzieć niż skłamać. A ponieważ Paszka nie miał takich skrupułów, spokojnie oznajmił Łukjanyczowi, że postanowili odbyć na Gaj-do próbny lot w atmosferze i przy okazji polecieć na festiwal tańców narodowych.

Łukjanycz osobiście sprawdził, jak działa pulpit sterowniczy, pochwalił dzieci, że doprowadziły go do porządku, sprawdził trwałość koralitowej łąty i wyraził zgodę na lot.

– Tylko powyżej pięciuset nie radzę się wznosić – uprzedził. – I nie wyciskajcie z niego maksymalnej szybkości. Mimo wszystko do pełnej sprawności jeszcze mu daleko.

– Załatwione – obiecał Paszka.

Alicja usiłując pozostać w zgodzie ze swoimi zasadami, milczała i układała naczynia na półkach szafy pokładowej, żeby nie potłukły się przy manewrowaniu.

Kiedy Łukjanycz opuścił statek, Gaj-do, który oczywiście przez cały czas nie pisał ani słowa, teraz odezwał się:

– Dziwne, podobno wasz Łukjanycz zna się na statkach, a nie ma zaufania do mnie.

– Mylisz się, braciszku – odparł Paszka. – Gdyby miał jakieś zastrzeżenia, nigdzie by nas nie puścił.

Ostatnimi dniami Paszka zaczął zwracać się do Gaj-do „braciszku”, a statek wcale się nie obrażał. Poczucie humoru Gaj-do miał niewielkie, ponieważ brakowało go również jego konstruktorom, ale śmiać się potrafił.

Alicja usiadła w fotelu pilota, połączyła się z dyspozytornią, otrzymała zgodę na wylot poza granice atmosfery.

– Gotowy? – spytała Paszkę.

– Gotowy – odparł, zapinając pasy.

I nagle rozległ się mrozący krew w żyłach krzyk. Dobiegał z dołu.

Alicja i Paszka dosłownie skamienieli w fotelach.

Usłyszeli straszny rumor.

Luk prowadzący do ładowni statku otworzył się na oścież i wyskoczył stamtąd blady jak śmierć Arkasza Sapożkow.

Cały się trząsał.

Ledwie Alicja i Paszka zorientowali się, że to nie żadne przywidzenie, tylko po prostu Arkasza, od razu naskoczyli na niego.

– Mało nie umarłam ze strachu – oświadczyła Alicja. – Zwariowałeś, czy co?

– A w ogóle co tu robisz? Szpiegujesz? – spytał Paszka.

– Ja sam o mało nie umarłem ze strachu – powiedział Arkasza osuwając się na fotel. – Postanowiłem, że jednak polecę. Kto wie, przecież tam może być niebezpiecznie, więc w razie czego zdołam wam pomóc. Ale nie chciałem o tym wcześniej mówić... Zakradłem się na statek i ukryłem w ładowni, żeby poczekać, aż Gaj-do wystartuje.

– A o przeciążeniu zapomniałeś? – zwróciła mu uwagę Alicja.

– On może zapomniał – usłyszeli głos Gaj-do – ale ja o takich sprawach jak bezpieczeństwo załogi nigdy nie zapominam.

– Dlaczegoś nam nic nie powiedział? – zdumiała się Alicja.

– Przecież nie pytaliście – odparł Gaj-do. – Wy nie pytaliście, a Arkasza prosił mnie, żebym zachował milczenie. Więc milczałem.

– Głupek – powiedział Paszka.

– To już za wiele, braciszku – powiedział statek urażony.

– A czego się tak przestraszyłeś? – spytała Alicja.

– Ja przestraszyłem się? – Arkasza był zdziwiony. – Wydawało wam się.

– Szkoda, żeś nie widział swojej twarzy, kiedy wyskoczyłeś z luku – roześmiał się Paszka.

– No... po prostu... Schowałem się do pustego kontenera na próbki i zasnąłem. Aż tu nagle poczułem... nie, na pewno tylko mi się wydawało, jakby dotknęło mnie coś żywego. Jak szczur. A przecież tam jest ciemno... Wtedy ocknąłem się raptownie i krzyknąłem.

– Wydawało się? – powtórzyła Alicja. – A może to jeszcze jeden pasażer na gapę? Może jakiś pierwszak się tam ukrył? Gaj-do, powiedz, czy w ładowni jest ktoś jeszcze?

– W ładowni nie ma nikogo więcej – oświadczył Gaj-do. – Gdyby ktoś dostał się na pokład, musiałbym to zauważyć. W ładowni znajdują się substancje organiczne, są to produkty żywnościowe, które zapakowali moi nowi państwo. Dziesięć pęt wędzonej kiełbasy, dwadzieścia trzy bułki paryskie i krążki sera różnej wielkości... cztery.

– Trzy krążki sera – sprostowała Alicja.

– Dość już – przerwał Paszka. – W ten sposób nigdy nie wystartujemy. Arkasza, lecisz z nami, nie rozmyśliłeś się?

– Nie – odparł Arkasza.

– Wszyscy członkowie załogi na swoje miejsca! Włączam start!

Przelecieli cały pas okołoziemskich laboratoriów i miasteczek na orbicie, potem minęli olbrzymi centralny kosmodrom w połowie drogi do Księżyca, gdzie cumowały transportowe kolosy z całej Galaktyki, wreszcie po stronie prawej burty mignął Księżyc. Widoczne tam były liczne światelka miast, fabryk i kopalni. Gaj-do stopniowo nabierał szybkości. Starał się oszczędzić swoim

pasażerom gwałtownych wstrząsów.

Wreszcie wyszli poza orbitę Księżyca. Mars pozostał gdzieś z boku. Przed nimi płynął majestatyczny pasiasty Saturn.

– Wkrótce będziemy mijać to miejsce, gdzie mnie postrzelono – oznajmił Gaj-do.

– Dziwne – powiedziała Alicja. – Ruch tutaj taki, jak na ulicy.

– Może coś przekąsimy? – zaproponował Paszka. – Dawno nie miałem nic w ustach.

– Przecież umówiliśmy się, że zjemy solidne śniadanie w domu! – oburzyła się Alicja. –

Dlaczego tui tobie nigdy nie można polegać? Musimy oszczędzać żywność. Jest nas teraz troje, a nie dwoje. Przy twoim apetycie umrzemy z głodu, zanim jeszcze dolecimy do Pieć-Cztery.

– Nie brałem pod uwagę Arkaszy – rzekł Paszka. – Dla mnie by wystarczyło.

Alicja zobaczyła, że Arkasza zbladł. Miał swój honor i rozumiał, że zawinił – nie pomyślał o prowiancie.

– Ja mogę w ogóle nie jeść – oświadczył.

– Gratuluję – drwiąco odparł Paszka.

– Milcz, mądralo! – oburzyła się Alicja. – Będę się dzielić swoją porcją z Arkasza, możesz się nie obawiać o siebie.

Teraz z kolei obruszył się Paszka.

– Aha, więc ze mnie taki zimny egoista, który zostawia przyjaciół na pastwę losu, a wy niby jesteście ci dobrzy? Teraz żałuję, że właśnie was wybrałem na swoją załogę. Tyle na świecie porządnych ludzi, a ja musiałem trafić akurat na takich niewdzięczników.

– Dziwne – zauważył Gaj-do – w rozumowaniu mojego braciszka brak jakiegokolwiek logiki.

O ile się zorientowałem, przyjaciele dobrowolnie postanowili nie uszczuplać jego racji żywnościowych, a on się na nich obraża.

– Dużo się znasz na stosunkach między ludźmi! – zezłościł się Paszka.

– Tak, to chyba rzeczywiście moja słaba strona – z żalem przyznał Gaj-do. – Ciągłe popełniam omyłki. Kiedy jestem pewien, że ludzie powinni postąpić tak, a nie inaczej, okazuje się, że oni reagują właśnie całkiem odwrotnie.

– Wybacz, Gaj-do – powiedziała surowo Alicja. – Zachowujemy się jak głupie dzieciaki, których nie powinno się puszczać w kosmos. Proponuję zapomnieć o kłótniach i przede wszystkim ustalić, ile mamy żywności. Zejdę do ładowni i wszystko spiszę.

– Mam przy sobie dwie paczki gumy do żucia – rzekł skruszonym głosem Arkasza.

– Będiesz nią częstował tubylców – nie wytrzymał Paszka, bo jak zwykle musiał mieć ostatnie słowo.

Alicja odpięła pasy, wstała i otworzyła luk. Gaj-do włączył w ładowni ostre światło. Trudno się dziwić Arkaszy, pomyślała Alicja, kiedy było tu ciemno, mógł się przestraszyć. Teraz niewielka ładownia, gdzie znajdowały się narzędzia, części zapasowe, produkty żywnościowe i wyposażenie całej wyprawy: latarki, sznurki, drabinki, świdry i urządzenia wiertnicze, które przywłókł na statek Paszka, sprawiała wrażenie zagospodarowanej pracowni. Pod ścianą stała duża lodówka. Obok na półkach – kontenery. Alicja zwróciła się do Gaj-do:

– Będę ci dyktować, a ty zapisuj, dobrze?

– Po co zapisywać? – zdziwił się statek. – Przecież wszystko zapamiętam.

– Później będę musiała podzielić żywność na ilość dni i konsumentów – wyjaśniła Alicja.

Otworzyła lodówkę i zaczęła głośno wymieniać wszystkie produkty, jakie w niej były. Potem

przeszła do zapasów znajdujących się na półkach. Na najniższej półce, przy której niedawno ukrywał się Arkasza, leżała sucha kiełbasa i krążki sera.

– Pisz dalej – dyktowała Alicja. – Kiełbasa. Dziesięć kawałków.

– Jaka waga? – spytał Gaj-do.

– Mniej więcej po pół kilo.

– Zapisalem.

– Trzy krążki sera.

– Nie – poprawił ją Gaj-do. – Cztery.

– Ale tutaj są trzy. Możesz sprawdzić.

– Nie, na pewno są cztery – upierał się statek. – Jeden potoczył się pewnie gdzieś w kąt, poszukaj.

Alicja wsunęła dalej rękę i chociaż nigdy niczego się nie bała, teraz nagle krzyknęła, ponieważ krążek sera był miękki, ciepły i pokryty śluzem. Ser drgnął pod dotknięciem Alicji, przeturlał się po półce, spadł na podłogę i pomknął w kierunku sterty narzędzi, aby tam się ukryć.

Wtedy Alicja zorientowała się, że był to ten sam wszechobecny krążek-walec z Sahary.

– Ładne rzeczy! – zawołała Alicja. – Jakim cudem nie zauważyliśmy go wcześniej?

W otworze luku pojawiły się głowy Arkaszy i Paszki – obaj usłyszeli krzyk Alicji.

– Co się stało? – spytał Paszka.

– Ten ser – zaczęła Alicja, biorąc do ręki młotek, żeby w razie czego obronić się, gdyby krążek skoczył na nią – to nie jest żaden ser, tylko jakieś ohydne stworzenie.

– Tak – potwierdził Gaj-do. – Teraz poznaję. Widziałem to świństwo na Saharze. Moja wina, że nie zauważyłem, jak dostało się ono na pokład. Ponoszę za to odpowiedzialność.

– Co mi po twojej odpowiedzialności – rzekła Alicja. – Musimy go złapać i zamknąć w jakimś pojemniku.

Zbliżyła się do krążka. Z góry zeskoczył Paszka taszcząc ze sobą duży garnek.

W momencie, kiedy Paszka dotknął krążka brzegiem garnka, krążek uskoczył w bok i zniknął.

– Gdzie on jest? – Alicja rozejrzała się. W ładowni nie było gdzie się ukryć, a mimo to zniknął.

– Jest nad wami – poinformował Gaj-do. – I powoli przesuwa się w stronę luku, żeby wydostać się z ładowni.

Alicja podniosła głowę i zobaczyła go. Tylko że teraz nie był to już krążek. Rozpłaszczył się na ścianie przybierając formę cienkiego szarego placka.

– Zaraz się z nim rozprawię – surowo rzekł Paszka. Chwycił szczotkę na kiju i groźnie ją podniósł.

– Nie, nie! – rozległ się cienki przejmujący głos. – Ja chcę żyć. Jestem niewinny!

– Ach, więc to istota rozumna? – zdziwiła się Alicja.

– Tym gorzej. Nic, tylko szpieg – zawyrokował Paszka. – Niech włązi do garnka.

– Nie jestem szpiegiem! – błagalnie odezwał się krążek. – Jestem ofiarą ślepego losu. Czy mogę opaść na podłogę? Obiecuję, że nie ucieknę. Przecież nie mam dokąd.

– Niech spada – zgodziła się Alicja.

– Tylko bez żadnych sztuczek – uprzedził Paszka.

Dziwne stworzenie klapnęło na podłogę, zwinęło się w kłębek i zamarło pośrodku ładowni.

– Przyznaj się – powiedział Paszka – szpiegowaleś nas?

– Po co miałbym szpiegować – rzekł krążek. – Posłuchajcie, to prosta i smutna historia, na pewno

mnie zrozumiecie. Jesteście przecież dobrymi ludźmi.

Walec potoczył się nieco dalej od szczotki, którą Paszka w niego mierzył.

– Pochodzę z planety, którą wy nazywacie Pięć-Cztery – zaczął walec brzęczącym jak komar głośnikiem. – Mam żonę i ośmioro małych dzieci, które nigdy mnie już nie ujrzą, jeśli wasz straszny kapitan zabije mnie tym włochatym kijem.

– Nie jestem taki straszny – rzeki Paszka i odstawił szczotkę na bok.

– Żyłem sobie spokojnie, jak wszyscy, aż pewnego razu na mojej planecie wylądował wielki statek. Była to wyprawa naukowa. Badacze obejrzelili całą planetę i pobrali próbki. I właśnie mnie wzięli jako próbkę.

– Dlaczego nie stawiałeś oporu? – spytała Alicja.

– Zgubiła mnie ciekawość. Postanowiłem udawać istotę nierozumną, bylebym tylko mógł zobaczyć inne gwiazdy. Mam naturę podróżnika. Kiedy statek wrócił na swoją planetę, wymknąłem się i przekradłem do miasta,

– Jak nazywała się ta planeta? – dobiegł z góry głos Arkaszy.

– Pataliputra – szybko odpowiedział walec.

– Byłam tam – rzekła Alicja.

– No, proszę – ucieszył się walec. – Widzicie, że mówię prawdę. Obejrzałem Pataliputrę i postanowiłem lecieć dalej. Dla mnie to nic trudnego. Mogę niepostrzeżenie dostać się na każdy statek. W ciągu pięciu lat zwiedziłem wiele planet, aż w końcu zapragnąłem wrócić do domu. Ale jak to zrobić? Przecież na moją planetę nie ma żadnych rejsów. Wybrałem się więc na Ziemię.

– Dlaczego? – spytała Alicja.

– Bo przylatują tu statki z całej Galaktyki i tutaj miałem największą szansę znaleźć ekspedycję, która wybierałaby się w moje strony. Szukając takiej okazji, obleciałem całą Ziemię. Trafiłem na Saharę, na złomowisko pojazdów kosmicznych i dowiedziałem się, że wasz szanowny statek był już kiedyś na mojej ojczystej planecie i że znów się tam wybiera. Ale przecież nie miałem pieniędzy na bilet. Cóż było robić? Skryłem się w ładowni udając krążek sera. Oto cała moja historia. Mój los zależy od was. Możecie mnie zabić albo uczynić szczęśliwym.

Oślizgły krążek zamarł w pokornym oczekiwaniu.

– Wierzyć mu? – spytał Paszka.

– Nie wiem – powiedział Sapożkow.

– Ja też nie wiem – odezwała się Alicja.

– Możecie mi nie wierzyć – powiedział walec – ale mimo to, błagam, dowieźcie mnie do domu. Tam już pewnie przestali liczyć na mój powrót... Bez waszej pomocy sądzone mi będzie umrzeć na obczyźnie.

– Gdzie go umieścimy? – spytała Alicja.

– Żal ci? – zrozumiał Paszka.

– A co poradzimy? Zawsze lepiej jest wierzyć.

– Zostanę w ładowni – powiedział krążek. – żeby nie włączyć wam w oczy. Dla was jestem szpetny, wręcz odrażający. Ale nie mam pretensji. Ulokuję się tutaj, na najniższej półce.

– Skoro pozwalacie mu zostać – wtrącił się Gaj-do – już ja będę miał go na oku.

– Żeby tylko nie ruszał żywności – uprzedził Paszka.

– Nie jadamy kielbasy i sera – odparł krążek. – Wszystko, czego potrzebuję do życia, czerpię z wody. Nie odmówcie mi łyka wody?

– Nie odmówimy – powiedział Paszka.

PODRÓŻ Z PRZYGODAMI

Stopniowo życie na pokładzie unormowało się. Szary krążek siedział spokojnie w ładowni, pokazując się tylko co jakiś czas, żeby się napić. Poruszał się nad podziw zwinnie. Wyjaśnił Alicji, że życie na planecie Pięć-Cztery jest twarde. Słabi nie mają szans na przetrwanie. Rozumne krążki umieją skakać, pływać, nurkować, rozpląszczać się na placek, a nawet przemieniać w robaki. W obawie przed trzęsieniem ziemi zamieszkują brzegi jezior, rzeczek i otwarte przestrzenie, aby w porę uciec przed niebezpieczeństwem. Żadnych miast, oczywiście, nie budują. Jeśli jezioro nagle wyschnie czy zapadnie się pod ziemię, zdążają, do innego jeziora czy rzeki. Arkasza, za zgodą krążka, dokładnie go obejrzał i stwierdził, że stworzenia te należą do świata roślin. Nie są jednak pozbawione inteligencji i posiadają rozwinięte uczucia rodzinne.

Spośród swoich pasażerów Gaj-do wyraźnie faworyzował Alicję. Kiedy pełniła wachtę, prowadzili długie rozmowy, aż Paszka się podśmiewał – o czym można godzinami rozmawiać ze statkiem? Ale Gaj-do nie obrażał się. Przywykł do Paszki i znał jego zalety. Wymyślił dla Paszki przydomek: „nasz niebezpieczny przyjaciel”. I objaśnił to. Otóż Paszka dla przyjaciół bez wahania poświęci życie. Jest szlachetny i uczciwy. Ale przez wrodzoną impulsywność może w decydującym momencie zapomnieć o swoich powinnościach i o przyjaciółach. Reaguje gwałtownie, jak byk na czerwonej płachtę. Co prawda, o byku i czerwonej płachcie Gaj-do nie wspomniał, ponieważ na planecie Wester nieznane są walki byków, ale takie właśnie porównanie nasunęło się na myśl Alicji.

Trzeciego dnia kosmonauci zajęli swoje miejsca i statek wykonał przeskok. Jak wiadomo, przyciąganie istnieje dzięki grawitonom, cząsteczkom, które zostały odkryte na początku XXI wieku przez wielkiego czeskiego fizyka Roziczka i jego żonę, Anitę Singh. Grawitony, w odróżnieniu od innych cząsteczek, poruszają się z prędkością przewyższającą prędkość światła. I kiedy ludzie zdołali opanować i podporządkować sobie grawitony, udało się stworzyć silniki grawitacyjne. Dzięki nim każdy statek może przelecieć pół Galaktyki w parę minut.

Silniki grawitacyjne są jednak skomplikowane i bardzo drogie. Montuje się je tylko w dużych statkach, i to nie wszystkich. Na mniejszych – nigdy. Gaj-do był wyjątkiem.

Przez trzy i pół godziny, kiedy Gaj-do wykonywał przeskok do planety Pięć-Cztery, kosmonauci byli pozbawieni świadomości. Alicja zamknęła oczy, a kiedy znów je otworzyła, zegar nad pulpitem wskazywał, że minęły trzy godziny i trzydzieści jeden minut. Alicja usłyszała głos Gaj-do.

– Przeskok odbył się normalnie. Na ekranach widać punkt docelowy.

Paszka ocknął się, włączył ekran. Pośrodku słabo migotało kilka gwiazdek.

– Szukaj tam, gdzie są cztery słońca – odpowiedział Arkaszka.

Alicja odpięła pasy i zeszła do ładowni, by sprawdzić, jak szary krążek zniósł przeskok,

Był cały i nietknięty, siedział w kącie na półce, chociaż właściwie trudno powiedzieć czy siedział, leżał czy też stał, skoro miał kształt walca.

– Niepokoiłaś się o mnie? – spytał Alicję.

– Naturalnie – odparła Alicja.

– Całkiem niepotrzebnie – powiedział krążek, Alicja zauważyła, że jest zdenerwowany. Kiedy się denerwował, przez jego ciało przebiegał dreszcz, co kojarzyło się Alicji z lekkimi falami na wodzie.

– Nie rozumiem cię – rzekła Alicja – przecież to oczywiste.

– Na świecie nie ma nic oczywistego – odparł przenikliwym głosem krążek. – Nie powinnaś się nade mną litować. Powinnaś raczej życzyć sobie mojej śmierci.

– Co ty wygadujesz! – oburzyła się Alicja.

– Nie znasz życia. Dziecko jeszcze z ciebie. Podobnie jak moje dzieci, myślisz, że wszyscy dorośli są dobrzy. Ale gdyby twojemu ojcu powiedziano: wybieraj, co jest ci droższe, życie własnych dzieci czy cudzych? Wybrałby swoje dzieci i zaczął zabijać cudze.

– To, co mówisz, jest dziwne i złe – odparła Alicja. – Nie rozumiem cię.

– Jak sama będziesz miała dzieci, wtedy zrozumiesz – rzekł krążek.

– Być może. – Alicja zmieniła temat. – Wybacz, znamy się już tak dawno, a dotąd nie wiem, jak się nazywasz.

– Na co ci moje imię? – powiedział walec. – Jest ono okryte hańbą.

Walec zaszył się w kąt i umilkł.

Dziwne, pomyślała Alicja, wychodząc z ładowni. Przecież sam powiedział, że tęskni do swojej rodziny. Powinien się więc cieszyć, że wraca do domu. A tymczasem jest czymś zdenerwowany i mówi o śmierci...

Gaj-do jakby odgadując jej myśli, powiedział:

– Obudziło się w nim sumienie.

– Uważasz, że dotąd postępował nieuczciwie? – pytała Alicja.

– Nie wiem – rzekł Gaj-do. – Ale mam złe przeczucia. Podejrzewam, że podaje się za kogoś innego, niż jest naprawdę.

– Myślisz, że nie pochodzi z planety Pięć-Cztery?

– Nie, nie o to chodzi...

Jeden z migocących punktów na centralnym ekranie stawał się coraz większy i jaśniejszy. Pod koniec drugiego dnia można już było rozróżnić stożki wulkanicznych skał. Alicja z niepokojem obserwowała, jak zmniejszają się zapasy żywności. Ale na razie wołała o tym nie wspominać – obawiała się, że chłopcy zaczną się denerwować. I Arkasza w ogóle przestanie jeść. A mężczyźni, jak uczyła Alicję jej babcia, muszą być najedzeni. Nawet najlepszy mężczyzna staje się nieznośny, kiedy jest głodny.

Krążek nie rozmawiał więcej z Alicją. Ale raz przypadkiem usłyszała, jak gawędził sobie z Arkaszą, który zamierzał napisać o nim artykuł.

– A po co właściwie lecicie na naszą planetę? – zwrócił się krążek do Arkaszy.

– Z ciekawości – odparł Arkasza.

– Co was tak ciekawi? – spytał krążek. – Nic ciekawego tam nie ma.

– Naukowca interesuje każdy nowy świat – wyjaśnił Arkasza.

– To znaczy, chcecie prowadzić badania? – przenikliwym głosem spytał znów krążek.

Jaki nieprzyjemny głos, pomyślała Alicja. Aż świdruje w uszach.

– A ja sądziłem, że szukacie skarbów – rozległ się głosik krążka.

– Dlaczego? – zdziwił się Arkasza.

– A po co lecieć na pustą planetę?

– Nie – zaprzeczył Arkasza – nie chodzi nam o żadne skarby.

– Kto was tam wie – rzekł krążek. Zamilkł, a po chwili spytał: – No, jaką mam temperaturę?

Alicja zajrzała do kajuty ogólnej. Arkasza badał swojego rozmówcę. Krążek siedział, a może stał czy leżał na stole. Był obłożony czujnikami. Arkasza sprawdzał dane na monitorze.

– Ciepłota ciała – rzekł Arkasza – podwyższa się lub obniża w zależności od nastroju.

– Zgadza się. Kiedyś mój wujek z całą rodziną trafił na biegun północny – zniosła ich woda. Trzy lata przespali pod lodem, dopóki wszystko nie rozmarzło. I nic, żyją. Warunki klimatyczne są u nas okropne.

– Wiem – powiedział Arkasza.

– Możecie trafić na trzęsienie ziemi. To też straszne. A więc szukacie skarbów?

– Nie szukamy żadnych skarbów.

– Nie lubię tych wszystkich poszukiwaczy skarbów. Tacy jesteście tajemniczy. Przecież wiem, że na pokładzie jest was czworo. Troje widziałem, a Gaj-do się ukrywa. Dlaczego? Gdzie?

Rozległ się śmiech Gaj-do. Pomyłka krążka rozbawiła go, ale zamiast wdawać się w wyjaśnienia oznajmił, że zaczynają wytracać szybkość.

Arkasza uwolnił krążek od przyssawek i czujników, odniósł go do ładowni, gdzie Paszka sprawdzał sprzęt, całkowicie przekonany, że będzie musiał opuszczać się na dno przepaści i wdrapywać na szczyty wulkanów.

– Typowi poszukiwacze skarbów – stwierdził krążek na widok Paszki okręconego liną, z kijem do wspinaczki wysokogórskiej w ręku i turystycznym silnikiem odrzutowym na plecach.

– Jestem alpinistą – wyjaśnił Paszka.

I nagle usłyszeli głos statku:

– Alarm! Wszyscy członkowie załogi na pokład.

Arkasza i Paszka wyskoczyli z ładowni i rzucili się do foteli.

– Co się stało?! – zawołał Paszka.

– Patrz na ekran! – powiedziała Alicja.

Po ekranie szybko przesuwał się zielony punkt.

– Widzę krater – mówił Gaj-do. – Na moje sygnały wywoławcze punkt nie reaguje.

Zielony punkt gwałtownie zmienił kurs i po kilku pełnych napięcia minutach skrył się za niewyraźną, zamgloną granicą atmosfery.

– Uważam – odezwał się Gaj-do – że najrozsądniej będzie zawrócić.

– Proponujesz się wycofać? – zdziwił się Paszka. – O krok od celu?

– Nie wiem, co nas dzieli od celu – rzekł Gaj-do. – Może rychła zguba.

– Gaj-do ma absolutną rację – poparł go Arkasza. – Mamy na pokładzie dziewczynę. Uważam, że powinniśmy wrócić i poinformować o wszystkim dorosłych. Od razu byłem tego zdania.

– Wcale nie chodzi ci o dziewczynę! – wybuchnął Paszka. – Rozgryzłem cię! Jak się boisz, to sobie siedź na Ziemi. A co do Alicji, bądź spokojny, jest odważniejsza od ciebie!

Alicja wiedziała, że Paszce tylko przygody w głowie. Już była gotowa poprzeć Arkaszę, ale dziwna rzecz.: uwaga Paszki o jej odwadze, sprawiła, że Alicja nie odezwała się ani słowem. Jakby ten spryciarz Paszka zamknął jej usta dużą czekoladką.

– Kto z nas jest bardziej odważny, to jeszcze się okaże – cicho odezwał się Arkasza. –

Wypowiedziałem tylko swoje zdanie, ale osobiście nie mam nic przeciwko lądowaniu na tej planecie.

Ach, ten Paszka, pomyślała Alicja, nawet Arkaszę przechytrył. Bo przecież jaki normalny chłopak będzie nalegać na powrót, jeśli zarzucają mu tchórzostwo.

– Wracajcie! – usłyszała Alicja natarczywy jak bzyczenie komara głosik. Okazało się, że szary krążek w jakiś sposób wydostał się z ładowni. – Nie dacie im rady. Zginiecie, tak jak zginęli wszyscy inni.

– Co ty ukrywasz? – spytał Gaj-do. – Powiedz wszystko, co wiesz.

– Nic nie wiem. Nic nie mówiłem. – Krążek przybrał postać długiej, nie kończącej się szarej nici i wślizgnął się z powrotem do luku.

– Nadal obstaję przy swoim – odezwał się Gaj-do – radzę wracać na Ziemię.

– Głosujemy – szybko powiedział Paszka. – Jestem za demokracją. Twój głos, Gaj-do, też się liczy. Kto jest za tym, żeby lądować na planecie Pięć-Cztery? Ja – to jeden, Alicja dwa, Arkasza – trzy. Kto przeciw?

– Ja jestem przeciw – rzekł Gaj-do.

– Ja też jestem przeciw – dobiegł z ładowni cieniutki głosik.

– Trzy do dwóch na naszą korzyść – powiedział Paszka. – Decyzję podjęto demokratycznie, większością głosów. Przystępujemy do lądowania.

– Dobrze – zgodził się Gaj-do. – Ale proponuję wylądować w większej odległości od bazy tułaczy.

– Dlaczego? – spytał Paszka. – Raz, dwa wylądujemy, piorunem obejrzymy podziemia, piorunem weźmiemy, co nam potrzebne i odlecimy.

– Piorunem – to niewłaściwe słowo – rzekł Gaj-do.

– Kiedy ty piorunem będziesz włóczyć się po podziemiach – odezwała się Alicja, która zrozumiała, że Gaj-do ma rację – sto razy nas zauważą, pochwycą i, jeśli zechcą, zabiją.

– Więc co proponujesz? – spytał Paszka.

– Mam pewien pomysł – rzekł Gaj-do. – Popatrzcie.

Gaj-do zapalił na pulpicie wielki ekran, pojawiła się na nim trójwymiarowa mapa. Przedstawiała labirynt skał, wąwozów, gór i kraterów.

Zapaliła się zielona strzałka, która powędrowała przez wąwóz.

– Właśnie w tym miejscu – zaczął wyjaśniać Gaj-do – znaleźliśmy Tadeusza. Obok wejścia do podziemi. Ale tam nie będziemy lądować. Tutaj... – zielona strzałka przesunęła się do sąsiedniego wąwozu – jest wychodnia kopalni rud żelaza. Pod tym urwiskiem znajduje się duża wnęka, gdzie mógłby zmieścić się statek kosmiczny. Nawis nad niszą to złoża żelaza. Jaki stąd wniosek?

– Taki – odezwał się Arkasza – że jeśli niepostrzeżenie osiadziemy w tej niszy, nikt nas od góry nie namierzy.

– Jeśli nie wyrażacie sprzeciwu, rozpoczynam manewr – powiedział Gaj-do.

– A do bazy stamtąd daleko? – spytał Paszka.

– Około dwudziestu kilometrów. Droga prowadzi przez góry.

– A bliżej nie można?

– Braciszku, jesteś niecierpliwy jak małe dziecko – rzekł Gaj-do.

– No już zgoda, jeśli nie ma innego wyjścia... – Paszka potrafi być uprzejmy.

NIEGOŚCINNA PLANETA

Gdyby ktoś z góry obserwował Gaj-do, zdziwiłby się ogromnie, że jakiś statek tak chaotycznie krąży nad planetą. Kołował, zataczał pętle długości tysiąca kilometrów, hamował tak, jakby już, już miał lądować, i za chwilę znów podrywał się do lotu. Wewnątrz statku wszystko aż trzeszczało i Alicja obawiała się, czy koralitowa łąta wytrzyma.

Naturalnie Gaj-do byłby ostatnim głupcem, gdyby sądził, że jego manewry zwiódą kogokolwiek. Przecież ten, kto go obserwował, mógł sobie spokojnie czekać, aż wyląduje. W rzeczywistości Gaj-do kręcił się nad planetą, ponieważ liczył, że sam namierzy obserwatorów.

Zataczając drugi łuk zlokalizował satelitę łączności, który krążył na orbicie planety i koordynował obserwację. Potem Gaj-do dwukrotnie przeleciał nad kraterem osłoniętym, jak mu się zdawało, specjalną zasłoną maskującą. Na wszelki wypadek zarejestrował ten krater w pamięci.

Wreszcie raptownie obniżył lot. Uczynił to w momencie, kiedy satelita łączności znajdował się po przeciwnej stronie planety. Statek dosłownie czołgał się przywierając do dna wąwozu i raz po raz ocierając się o skały, aż na pokładzie rozległo się przeraźliwe zgrzytanie. Alicja zacisnęła zęby, żeby nie krzyknąć ze strachu. Wreszcie statek znieruchomiał.

– Można wysiadać? – szeptem zapytał Paszka.

– Nie, nie można – odparł Gaj-do. – Jeżeli nie stracili nas z pola widzenia, niech myślą, że rozbiłem się tutaj.

– A ile tak będziemy czekać?

– Dopóki ich satelita znów nie skryje się za horyzontem – rzekł Gaj-do.

Zaczęły się nieskończenie długie chwile wyczekiwania.

Raptem statek znów się poderwał i poleciał dalej.

Na ekranie oglądu zewnętrznego migały potworne zębiska gór żelaznych. Ostro najeżone, czyhały zewsząd na Gaj-do, żeby go tylko dosięgnąć – statek z ledwością lawirował między nimi. W końcu zatrzymał się, ostro zbaczając w prawo, aż otworzyła się szafka na naczynia i filiżanki wypadły na podłogę. Rozległo się głucho uderzenie. Ekran y pociemniały.

– Koniec – rzekł Gaj-do. – Jesteśmy na miejscu. Na razie nic nam nie grozi. Naturalnie, oni wiedzą, w jakim rejonie się ukryliśmy, ale upłynie trochę czasu, zanim nas odszukają.

– Nie uważałeś przy lądowaniu – burknął Paszki. – Wszystkie naczynia potłukłeś.

– Nie uważałem? – powtórzył Gaj-do urażony.

– Gaj-do, nie słuchaj Paszki – szybko wtrąciła Alicja. – Byłeś wspaniały. Żaden inny statek na świecie nie zdołałby się tak ukryć.

Odpięła pasy.

– Jak tutaj jest z powietrzem? – spytał Arkasza. – Skafandry zakładać?

– Nie trzeba – odparł Gaj-do po krótkiej chwili. Najwidoczniej się zastanawiał, czy powinien

obrazić się na Paszkę, czy nie warto. – Nie ma trudności z oddychaniem.

– Można wyjść? – spytał Paszka. – Chciałbym ruszyć na rozpoznanie.

– Jeszcze nie – odrzekł Gaj-do. – Odczekajcie godzinę. Jeśli nie zobaczę i nie wyczuję nic podejrzanego, wtedy wyjdziecie.

– Zjedźmy teraz obiad – zaproponowała Alicja.

Arkasza pomógł Alicji sprzątać. Ze wszystkich filiżanek ocalały tylko dwie, ale talerze były nie tłukące, więc właściwie nic wielkiego się nie stało.

Paszka oznajmił, że zejdzie do ładowni, żeby przygotować się do wyjścia.

Otworzył luk i dopiero wtedy przypomniał sobie o szarym krążku.

Krążek tkwił na półce, wstrząsały nim dreszcze. Był zdenerwowany.

– Oj, wybacz nam! – zawołała Alicja. – Tak się spieszysz do swojej rodziny, a my cię trzymamy. Idź już, szybko. Pozdrów swoje dzieci. Krążek nie ruszył się z miejsca.

– O co chodzi? – zdziwiła się Alicja. – Potłukłeś się? Żle się czujesz?

– Jest w szoku – orzekł Arkasza. – Tak długo czekał na tę chwilę, że nerwy go zawiodły.

– Tak, nerwy zawiodły – potwierdził walec. – Chcę zostać tutaj. To znaczy, nie chcę zostawać tutaj, tylko że dla was będzie lepiej, jeśli zostanę. Nie jestem taki zły, jak myślicie, ale mogę być o wiele gorszy, niż myślicie.

Po tych zagadkowych słowach krążek znieruchomiał.

– Co on wygaduje? – zdziwiła się Alicja. – Tak mu było pilno, a teraz raptem wcale się nie spieszy!

– Zamknijcie mnie! – krzyknął walec. – Wiem, jacy jesteście dobrzy! Zamknijcie mnie tak, żebym nie mógł się wydostać, ale uprzedzam, że umiem się prześliznąć przez najmniejszą szparkę. Zamknijcie mnie, najlepiej w lodówce. Tak, najlepiej w lodówce, stamtąd na pewno się nie wydostanę.

– Coś kiepsko z logiką – zauważył Arkasza, który siedział na skraju luku. – Jeśli nie chcesz odchodzić, zostań. Jeśli chcesz odejść i nawet jesteś gotów wymknąć się przez pierwszą lepszą dziurkę, to odejdz.

– Nie – zaprzeczył Gaj-do. – Ja widzę logikę w jego słowach. I to logikę bardzo smutną dla nas. Trzeba go zamknąć w lodówce.

– Ale ja będę stawiać opór! I powiecie wszystkim, że stawiałem opór, ale zdemaskowaliście mnie i małoście nie zadreczyli na śmierć, a potem zamknęliście w lodówce.

– Dobrze – odezwał się Gaj-do – zgadzam się.

Krążek stoczył się z półki i pospieszył do lodówki.

Koło drzwiczek zatrzymał się.

– On pewnie zwariował! – krzyknął Paszka. – Przecież tam jest żywność.

– Wyjmij ją – polecił Gaj-do.

– A jak długo będzie siedział w lodówce? Wszystko może się zepsuć! I tak niewiele już zostało.

– To nie potrwa długo – rzekł Gaj-do.

– Powiedźże w końcu, o co tu chodzi! – nie wytrzymał Paszka.

– Proszę nie mówić – błagalnie odezwał się krążek. – Jeśli tamci dowiedzą się, moja rodzina zginie.

– To prawda – potwierdził Gaj-do.

– Nic nie rozumiem! – wykrzyknął Paszka. Reszta milczała.

Cóż było robić, Alicja i Paszka wyjęli z lodówki resztę zapasów: kawałek kiełbasy, pięć torebek mleka, trzy bułki paryskie, puszkę pasztetu z drobiu i mrożoną kurę.

Krażek żwawo wskoczył do lodówki, mówiąc:

– Nie obawiajcie się, wcale nie będzie mi zimno. Tylko pamiętajcie, broniłem się jak lew.

Zaszył się w kąt puste lodówki, ale Paszka miał skrupuły. Jakoś to głupio zamykać w lodówce żywe stworzenie.

– Zamykaj! – piskliwie rozkazał krażek.

– Zatrzaśnij – odezwał się Gaj-do i Paszka wreszcie usłuchał.

Alicja wzięła kurę i poszła ją upiec. Włożyła ją do piecyka i już wkrótce na statku rozszedł się smakowity zapach. Paszka pobiegł do kambuza dopilnować sprawy – przecież to ostatnia kura, a jeśli się przypali?

Przy kolacji Alicja nałożyła Paszce pół kury, a drugą połówką podzieliła się z Arkaszą. Arkasza zrozumiał, skinął głową, Paszka zaś w mgnieniu oka pochłonął swoją porcję i głodnym wzrokiem spojrzał na stół.

Wtedy Alicja odezwała się:

– Od jutra zaczynamy bardzo oszczędnie gospodarować jedzeniem.

Paszka westchnął i poszedł się położyć.

Po chwili już spał. Alicja natomiast długo nie mogła zasnąć. Przewracała się na wąskiej koi z boku na bok, aż wreszcie spytała:

– Gaj-do, czy pozwolisz mi wyjść na chwilkę? Rozejrzę się tylko i zaraz wracam, nigdzie nie będę się oddalać.

– Dobrze – zgodził się statek.

Alicja narzuciła kurtkę i otworzyła luk. Za nią wyszedł Arkasza. Też nie mógł spać.

Wieczór był chłodny, wietrzny i wilgotny. Pod olbrzymim skalnym nawisem panowała zupełna ciemność. Alicja zrobiła kilka kroków ku toczącemu się po kamieniach strumykowi. Spojrzała na niebo pokryte kłębami mknących obłoków. Było fioletowe, gdzieś tam świeciły pomarańczowe gwiazdy. Małe purpurowe słońce przeszło przez chmury. Sunęło po niebie szybko, niczym sputnik. Drugie słońce, nieco większe i bardziej żółte, wynurzało się spoza skał. Gdzieś w oddali chwiejnym blaskiem płonęła luna – pewnie od wybuchu wulkanu. Ziemia pod nogami lekko zakołysała się i długo jeszcze drgała, jakby się uspokajała po spazmatycznym szlochu.

Był to odstręczający, przeraźliwy świat. Czarne cienie czarnych skał poruszały się jak żywe, a dwa szybkie słońca porywały je w przeciwne strony, jakby chciały rozszarpać.

– W którą stronę jutro pójdziemy? – spytała Alicja. Ogarnęła ją trwoga.

Z czarnej otchłani niszy dobiegł ich cichy głos Gaj-do:

– Będziecie musieli wdrapać się na skały, które widzicie przed sobą. Szkoda, że nie mogę pójść z wami.

Zaczęło kropić, niebo zaciągnęło się stalowymi chmurami. Alicja nie miała już ochoty dłużej na to patrzeć, ruszyła z powrotem. Arkasza przez cały czas nie odezwał się słowem, nie wiadomo było, o czym myśli.

Przepuścił Alicję przodem, po czym zamknął luk.

– Dobranoc – powiedziała Alicja.

– Dobranoc – markotnie odparł Arkasza.

– Dobranoc – powiedział statek.

WYPRAWA

Rano pierwszy zerwał się Paszka.

– Do roboty! – zawołał. – Dość leniuchowania. Czekają na nas skarby tułaczy!

Wywlekał z ładowni sznury i haki, przymierzał buty alpinistyczne, sprawdzał latarki – uwijał się za dziesięciu.

Podczas gdy Alicja szykowała śniadanie. Arkasza i Paszka się ubrali.

Paszka powiedział:

– A może lepiej, żebyś nie szła z nami? Ktoś powinien zostać na statku. Nie wiadomo, co się może zdarzyć. W razie czego wrócisz i powiesz naszym rodzicom, jak zginęliśmy.

– Ani myślę! – odparła Alicja nakrywając do stołu. – Jeżeli mi wyjaśnisz, w czym ci nie dorównuję, oprócz bezczelności, to zostanę.

– No więc zostań ty, Arkasza – zdecydował Paszka.

– Dlaczego ja?

– Tak się praktykuje w każdej ekspedycji. Ktoś musi być w rezerwie. W razie potrzeby damy ci znać i razem z Gaj-do przylecisz z pomocą.

– Gaj-do sam może przylecieć na pomoc. Nie jest głupszy od nas – rzekł Arkasza.

– Ale tak się praktykuje! – upierał się Paszka.

– Natomiast nie praktykuje się wypraw na nieznane planety bez udziału dorosłych – nie dawał za wygraną Arkasza. – Tymczasem my właśnie to zrobiliśmy. Skoro jednak nalegasz, sam tutaj zostań.

– Ja nie mogę.

– Dlaczego?

– Dlatego, że jestem dowódcą statku i kierownikiem ekspedycji,

– A kto cię wybierał?

– Przecież zgodziliście się!

– On żartuje – wtrąciła Alicja.

Paszka zrozumiał, że przyjaciele nie ustąpią. Trzeba będzie iść w trójkę.

Kiedy Alicja się ubierała, Arkasza zszedł do ładowni, żeby sprawdzić, czy szary krążek nie zamarzł w lodówce. Otworzył lodówkę i oznajmił tak spokojnie, jakby chodziło o muchę:

– Zniknął.

– Jak to zniknął? – zdziwił się Paszka. – Przecież nie mógł się wydostać na zewnątrz. Statek był zamknięty. Pewnie tylko schował się głębiej.

– Nie, ręczę, że go tu nie ma – odezwał się Gaj-do. – Poczuję jego obecność.

– A może w nocy, wtedy jak wyszliśmy... – zaczęła Alicja.

– No, tak – rzekł Paszka tonem dowódcy, którego w decydującej bitwie zawiedli jego zaufani generałowie. – A więc kiedy ja spałem, wy spacerowaliście sobie po planecie. To znaczy, że Gaj-do

pozwoił wam wyjść, a w tym czasie każdy mógł dostać się na statek. Czy mam rację?!

Wszyscy czuli się tak winni, że nawet nie próbowali się tłumaczyć. Patrzyli na rozjuszonego kapitana, który stał ze zwojem liny na ramieniu i kijem do wspinaczki w ręku. Oczy jego rzucały błyskawice, włosy wymykały się spod kasku, spoza pleców sterczały rurki plecaka odrzutowego. W tej chwili Paszka budził grozę.

– Ojej, w końcu nic takiego się nie stało – odezwała się nagle Alicja. – Sami chcieliśmy go wypuścić. Ale on wolał siedzieć w lodówce.

– Widać, miał powody – rzekł Paszka. – Nikt bez powodu nie daje się zamknąć w lodówce. To oczywiste.

– Miał powody – powtórzył jak echo Gaj-do. – To moja wina. Nie zauważyłem, kiedy się wymknął.

Paszka zlustrował członków ekspedycji. Zapomniał już o gniewie.

– No, ruszajmy – ponaglił. – Dopóki nas nie wysłędzili.

Wyszli z cienia skalnego nawisu. Statek blade połyskiwał w półmroku. Było jaśniej niż wczoraj, bo po niebie sunęły jednocześnie trzy słońca, ale ich światło wyglądało niepokojąco i złowieszczo.

Musieli wdrapać się na skały po przeciwnej stronie wąwozu, potem przebyć rumowisko głazów, zejść ku niewielkiemu gorącemu jezioru, z którego co minuta wystrzelał na sto metrów w górę gejzer. Dalej rozciągał się pas kolczastych, bezlistnych krzewów, gdzie mogli nieco odsapnąć. Stąd łagodne zbocze prowadziło do następnego wąwozu, w którym była ukryta baza. Wędrowcy zamierzali dotrzeć na stok wąwozu powyżej bazy i dostać się do niej przechodząc przez strumień.

Na skały wzniesli się używając plecaków odrzutowych. Pozwalają one skakać na wysokość około pięćdziesięciu metrów. Wszyscy troje umieli się nimi posługiwać: na wycieczkach turystycznych plecaki odrzutowe stosuje się do pokonywania rzek i mokradeł.

Cały czas pamiętali o zachowaniu ostrożności. Mogli już być poszukiwani, a przecież o wiele łatwiej namierzyć obiekt, który znajduje się akurat w powietrzu.

Dlatego plecaków używali jedynie przy podejściach, a kiedy znaleźli się na szczycie i zaczęli schodzić w stronę czerwieniejącego w dole jeziora, rozproszyli się, chyłkiem przebiegając nie osłonięte miejsca.

– Hej! – zawołał Paszka. – Patrzcie!

Na brzegu jeziora w szeregu, jakby wyrzucone przez fale, tkwiły nieruchomo szare krążki. Było ich kilka, trzy duże, dokładnie wielkości krążka hokejowego, pozostałe trochę mniejsze.

– A może i nasz jest wśród nich? – wyraził przypuszczenie Arkasza. – Ze swoją rodziną.

Przyspieszywszy kroku ruszyli w stronę krążków. Na widok ludzi krążki przezornie skierowały się ku wodzie.

– Przepraszam! – krzyknęła Alicja. – Czy któryś z was nie był na naszym statku?

Krążki zapiszczały cienkimi głosikami i rzuciły się do ucieczki.

– Nie – powiedział Paszka zatrzymując się – to inne. Dlaczego nasz miałby uciekać?

Pośrodku jeziora utworzyły się bąbelki, powierzchnia wody wybrzuszyła się, podniosła i nagle nastąpił wybuch – olbrzymia fontanna rozświetlona pomarańczowym odbłaskiem nieba wytrysnęła aż po zielonkawę obłoki.

W tym samym momencie z jeziora wynurzyła się cała chmara szarych krążków. Szybko ślizgały się po wodzie w stronę odległego brzegu.

– One się nas boją – stwierdziła Alicja.

– Trzeba im wyjaśnić, że nie żyjemy wobec nich żadnych wrogich zamiarów – rzekł Paszka. –

Słuchajcie, usiądę spokojnie na brzegu, a kiedy zobaczą, że jestem niegroźny, zbliżą się do nas,

– Braciszku! – rozległ się w słuchawkach głos Gaj-do. – Przypominam: czas nagli.

– Ruszamy – zdecydował Arkasza. – Z krążkami zdążymy jeszcze pogadać.

Za jeziorem rozciągała się kamienista dolina. Była usiana skalnymi blokami. Żeby nie połamać nóg, musieli znów włączyć plecaki odrzutowe. Dopiero po półgodzinie dobrnęli do zagajnika.

Miejsce to jednak niezbyt nadawało się do odpoczynku. Krzewy pokryte były ostrymi długimi kolcami, jakby specjalnie się najeżyły, zagradzając drogę intruzom.

Nagle niewielki szary krążek wyskoczył zza kamieni i pomknął ku zaroślom, które rozchyliły się, swobodnie go przepuszczając.

– Typowy przykład symbiozy – wyjaśnił Arkasza. – Krążki chowają się tam pewnie przed dużymi drapieżnikami.

– A tutaj w ogóle są jakieś drapieżniki?

– Całkiem możliwe – odparł Arkasza.

– Gaj-do – spytała Alicja – czy tutaj są drapieżniki?

– Nie wiem – odpowiedział Gaj-do. – I proszę nie blokować łączności pustą gadaniną. Im więcej rozmawiamy, tym szybciej nas zlokalizują.

Ruszyli dalej w milczeniu.

Zaczęło padać. Paszka oznajmił, że jest już głodny, lecz Alicja, która niosła plecak z kanapkami, zdecydowała, że musi poczekać, aż znajdą się w wąwozie.

Zejście do wąwozu było strome, postanowili więc zeskoczyć korzystając z plecaków.

Lecieli ponad wąwozem, niczym lekkie, zeschnięte liście wypatrując na dnie miejsca wolnego od kamieni.

Sponad strumienia, obok którego wylądowali, unosiła się para. Łuna nad skałami znalazła się teraz bliżej, płonęła jaskrawo. Słysząc było łoskot wulkanu. Głucho szemrał strumień.

Odnieśli wrażenie, jakby zza skały śledziło ich złowieszcze spojrzenie.

Poczuł się nieswojo. Alicja zamierzała wywołać Gaj-do, żeby usłyszeć głos przyjaciela, lecz Paszka ją ubiegł.

– Gaj-do – odezwał się – sprawdzam łączność. Jaka sytuacja?

– Nic podejrzanego – usłyszeli głos Gaj-do. – Możecie odpocząć.

Rzeczywiście nie mieli już siły. Nogi odmawiały im posłuszeństwa, a od tutejszego powietrza, nieruchomego i skąpego w tlen, Alicję okropnie rozboleła głowa.

Wąwóz, w którym się znajdowali, był jeszcze bardziej ponury niż ten poprzedni. Skały sklepiały się nad nimi, zasłaniając światło, para unosząca się nad wodą tworzyła białe strzępy, które wirowały po wąwozie. I nigdzie żywej duszy.

Przegryźli coś i ruszyli w dół strumienia. Musieli pokonywać wielkie bloki skalne, które obsunęły się z góry, to znowu brnąć przez gorący strumień. Z plecaków nie mogli korzystać, bo wąwóz był tak wąski, że przy jakimkolwiek skoku rozbiliby się o kamienne zbocze.

– Odpocznijmy? – z nadzieją w głosie spytał Paszka.

– Nie – odparł Arkasza. – Już niedaleko.

– Ja mogę iść dalej. Myślałem tylko o Alicji, pewnie się zmęczyła – wyjaśnił Paszka.

Alicja faktycznie była zmęczona, ale oczywiście zaprzeczyła:

– Nic podobnego.

Z dalszej wędrowki Alicja zapamiętała jedynie to, że bez przerwy się wspinała, skakała, czołgała się i znowu skakała. Starła się patrzeć tylko pod nogi – oto widzi przed sobą głaz: zaraz się na niego wdrapią. Tutaj rozpadlina, trzeba przeskoczyć. A co dalej? Teraz muszą przebrnąć przez strumyk... I tak krok za krokiem.

Nagle ściany wąwozu rozstały się. Zobaczyli cyrk lodowcowy, kotlinę otoczoną stromymi skałami. Alicja usłyszała głos Gaj-do:

– Jesteście na miejscu.

Wtedy nogi się pod nią ugięły, usiadła na płaskim kamieniu i pomyślała, że chyba już nigdy stąd nie wstanie.

Arkasza ciężko opadł koło niej.

– Myślałem, że nie dojdę – wyznał.

Paszka też miał ochotę przysiąc, wziął się jednak w garść.

– Gaj-do – zapytał – dokąd teraz?

– Przed wami – odparł statek – są dwie wysokie żółte skały, jak gdyby szczątki olbrzymich kolumn. Widzicie?

Żółte kolumny wznosiły się nad kotliną, jakby ją zamykając.

– Na prawo od nich ciemna wyrwa. Widzicie?

– Widzę – powiedział Paszka i ruszył w tamtą stronę.

– Poczekaj – powstrzymała go Alicja słabym głosem.

– Tylko rzucę okiem – uparł się Paszka.

Alicja bezradnie popatrzyła za nim.

Paszka w biegu włączył latarkę, jaskrawy krąg światła padł na skałę, która nagle zalśniła tysiącami iskerek. Smuga światła przesunęła się nieco w prawo i zniknęła w ciemnej wyrwie.

Alicji wydało się, że w głębi wyrwy coś błysnęło.

– Jest! – usłyszała okrzyk Paszki.

I w tej samej chwili rozległo się ogłuszające wycie syreny. Alicja zatkała uszy, ale niewiele to dało.

– Uciekajcie! – zawołał Gaj-do przekrzykując hałas. – Zostałem zaatakowany!

Spoza ciemnych głazów, spoza żółtych kolumn, zza skał wyskoczyły chmury ciemnych postaci, które ze wszystkich stron rzuciły się na dzieci, Alicja zdążyła zobaczyć, jak upadł otoczony przez te istoty Arkasza, jak próbował ukryć się w rozpadlinie Paszka. Sama broniła się, jak mogła, ale nagle poczuła silne uderzenie w głowę i straciła przytomność.

SALA Z KWIATKAMI

Alicja ocknęła się pod wpływem dziwnego wrażenia – zdawało jej się, że leży na łące, świeci słońce, cykają pasikoniki... było jej tak przyjemnie. Uniosła powieki...

Uderzyło ją w oczy jaskrawe światło lampy. Alicja zmrużyła powieki i odwróciła się.

Znajdowała się w dużym, wąskim i długim pokoju.

Jasnozielone ściany bez okien wymalowane były od podłogi aż po sufit w kolorowe, przepyszne kwiaty.

W sali stały dwa rzędy łóżek, wezłowiec do ściany, nogami do wyjścia.

Alicja leżała na łóżku z brzegu. Prześcieradło było świeże i miękkie, kołdra lekka, puszysta. Skądś, nie wiadomo skąd, dochodziła łagodna muzyka. Wydawało się to bardzo dziwne – ostatnie, co Alicja zapamiętała, to brunatne, gęste powietrze w wąwozie, czarne skały i żółte kolumny, wjazd do podziemia, para unosząca się nad strumieniem i ciemne agresywne postacie.

Jeśli po takim ataku człowiek pozostał przy życiu, to niechybnie powinien znaleźć się w więzieniu, w ciasnej wilgotnej celi, w mrocznej piwnicy, gdzie biegają szczury i karaluchy... Przedziwne!

A co z przyjaciółmi? Alicja gwałtownie usiadła na łóżku. I od razu się uspokoiła.

Na sąsiednim łóżku spał spokojnie Arkasza Sapożkow, dalej stało jedno puste łóżko, a na następnym leżał Paszka Gieraskin. Co prawda, Paszka miał podbite oko, ale, jak się domyślacie, bynajmniej nie był to pierwszy i z całą pewnością nie ostatni siniak w życiu Paszki.

Naprzeciwko Alicji, po drugiej stronie przejścia zajęte było jeszcze jedno łóżko. Z zamkniętymi oczami leżał tam mężczyzna, którego znała. Dobrze znała... Kto to taki?

Oczywiście, Tadeusz Sokół, blady, rysy zaostrome, oczy wpadnięte.

Alicja spojrzała raptem na swoją rękę i zorientowała się, że ma na sobie piżamę, lekką, flanelową, w błękitne niezapominajki.

Opuściła nogi z łóżka. Stopy od razu trafiły w puszyste, miękkie pantofle. Podeszła cicho do Arkaszy, który w trudnych sytuacjach był zawsze absolutnie niezawodny.

– Arkasza – zawołała, pochylając się nad nim. – Obudź się.

Arkasza otworzył oczy, jak gdyby wcale nie spał. Ale nie odezwał się słowem. Jego spojrzenie obiegło pokój i zatrzymało się na twarzy Alicji, lecz Arkasza jakby jej nie widział. Wzrok miał nieobecny. Wyraźnie nad czymś się zastanawiał.

– Dziwne – powiedział w końcu. – A kim jest ten mężczyzna?

Alicja uświadomiła sobie, że Arkasza nie widział dotąd Tadeusza.

– To właśnie ten Tadeusz – szepnęła – przez którego Irija porzuciła naszego Gaj-do.

– Powinien być chyba we Wrocławiu?

– A gdzie my właściwie jesteśmy?

– Nie wiem. Pójdziemy się rozejrzeć?

Arkasza wygramolił się spod kołdry. Też miał na sobie piżamę, tylko jego była wyhaftowana w niebieskie dzwonki.

Podeszli do białych drzwi na końcu pokoju.

Lekko je pchnęli i drzwi ustąpiły. Znaleźli się w jasnym szerokim korytarzu.

Było tu pusto. Cicha grała muzyka.

Drzwi po drugiej stronie korytarza otworzyły się i pośpiesznie ruszyła ku nim pielęgniarka w błękitnej sukience, wysokim białym czepku i białym fartuszku obszytym koronką. Uśmiechała się życzliwie.

– Dokąd to, dzieci? – spytała z daleka. – Nocniczki macie pod łóżeczkami.

Siostra mówiła z dziwnym śpiewnym akcentem, zupełnie jakby nuciła.

Jej uśmiech też był dziwny. Jak gdyby przyklejony. A kiedy podeszła bliżej, Alicja zorientowała się, że jest w masce.

W gładkiej, uśmiechającej się, różowej masce, która zakrywała szczelnie całą twarz. W masce wycięte były tylko niewielkie otwory na oczy. I w tych oczach, które spoglądały znad sztucznego uśmiechu, Alicja dostrzegła jakby smutek i niepokój.

– Gdzie my jesteśmy? – zwrócił się Arkasza do pielęgniarki.

– Jesteście wśród przyjaciół, moi kochani – śpiewnie odrzekła kobieta. – A teraz, proszę, wracajcie do swojego pokoiku, jest tam umywaleczka, znajdziecie tam nocniczki i przygotowaną dla każdego szczoteczkę do zębów i mydélko. Nie zamierzacie chyba biegać po ulicy w piżamkach, robić z siebie pośmiewiska?

– Kim pani jest? – spytał Arkasza.

– Potem dostaniecie śniadanko. – Siostra objęła dzieci miękkimi ciepłymi rękami w cienkich białych rękawiczkach i poprowadziła, lekko popychając, z powrotem. – A po śniadanku przyjdzie pan doktor. Jest bardzo dobry. On was przesłucha. No, bądźcie grzeczni.

Siostra delikatnie, ale stanowczo wepchnęła ich do pokoju i drzwi się zamknęły.

Paszka jeszcze spał, lecz Tadeusz obudził się i od razu poznał Alicję.

– Dzień dobry – odezwał się. – Nie myślałem, że tak szybko znów się spotkamy.

IRIJA GAJ SZUKA MĘŻA

W sobotę, po powrocie z Moskwy, Tadeusz wybrał się na ryby. O świcie zapakował do flajera wędki i namiot. Powiedział, że wróci w niedzielę przed obiadem.

Tadeusz miał swoje ulubione miejsce – w zalesionej dolinie w Karpatach, nad brzegiem wartkiego potoku. Późnym wieczorem w sobotę połączył się z Iriją, życzył jej i córeczce dobrej nocy, powiedział, że ryby dobrze biorą i że nazbierał też sporo grzybów. Poskarżył się tylko, że gryzą komary.

O pierwszej w niedzielę przyjechała z Gdańska nacieszyć się wnuczką mama Tadeusza. Irija nie miała jeszcze powodu, by się denerwować. Wiedziała, że wędkarze to zapaleńcy, i Tadeusz na pewno zapomniał o całym świecie. Nie szkodzi, jak zgłodnieje, wróci.

Zdecydowała, że podejmie Tadeusza i jego matkę pieczoną gęsią z jabłkami. Kiedy miała już wstawiać gęś do piekarnika, spojrzała na zegarek i aż krzyknęła – dochodziła druga.

Wytarła szybko ręce i pobiegła do pokoju, żeby połączyć się z mężem. Radiostacja nie odpowiadała. Dziwne – przecież Tadeusz miał radiostację wmontowaną w bransoletkę od zegarka. Może poszedł się kąpać i zdjął zegarek?

Po piętnastu minutach, kiedy gęś była już w piecyku, znów spróbowała się połączyć z Tadeuszem. I znów żadnej odpowiedzi.

Irija nie chcąc niepokoić teściowej, wyjaśniła jej, że musi szybko polecieć do Wrocławia, po jakąś specjalną przyprawę, którą musi dodać do gęsi, a naprawdę ruszyła prosto w Karpaty.

Miejsce, gdzie Tadeusz łowił ryby, odnalazła bez trudu. Nieraz bywała tam z mężem.

Kiedy flajer zniżył lot, od razu spostrzegła pomarańczowy namiot Tadeusza. Obok niego – flajer.

Irija wylądowała tuż koło namiotu.

– Tadeusz! – zawołała.

Nikt się nie odezwał. Słychać było tylko szum potoku i ciche bzykanie pszczół.

Irija pobiegła na brzeg.

Na trawie nad wodą leżały rzucone w nieładzie wędki. Obok stało wiadro, w którym kłębiły się pstrągi. Potok był niezbyt głęboki, przejrzysty, z wody wystawały gładkie otoczaki. Utonąć tutaj było niemożliwością.

Irija skoczyła do namiotu.

Namiot świecił pustką. Pomięty śpiwór odrzucony na bok, plecak otwarty, cały wybebeszony.

Nagle Irija zobaczyła na podłodze grudkę zaschniętego błota – ślad buta.

Identyczne ślady widniały również dokoła namiotu. W nocy padało, ale do tej pory ziemia już przeschła i ślady pozostały.

Irija zaczęła wołać Tadeusza. Krzyczała, aż zabrakło jej tchu. Nikt nie odpowiadał.

„Opanuj się – powiedziała do siebie Irija. – Weź się w garść”.

Policzyła do dwudziestu, głęboko odetchnęła i metodycznie, po kolei zaczęła badać okolicę.

Najpierw obejrzała polanę nad potokiem.

Ślady wskazywały wyraźnie, że w nocy przyleciał tu obcy flajer, który wylądował za drzewami.

Trzej osobnicy w butach z magnesowymi podkówkami, takich, jakie noszą kosmonauci, wtargnęli do namiotu Tadeusza. Na pewno spał i z początku nie stawiał oporu.

Napastnicy wywlekli Tadeusza z namiotu, skrupowali go i przywiązali do grubego pnia dębu – Irija znalazła na korze ślady po sznurach.

Potem Tadeusza najwidoczniej przesłuchiwali – cała ziemia wokół drzewa była wydeptana. Nie uzyskawszy żądanych informacji, napastnicy zaciągnęli Tadeusza do swojego flajera. Potem jeden z nich wrócił i usiłował zatrzeć wszelkie ślady. Próbował wszystko tak upozorować, aby ludzie, którzy będą szukali Tadeusza, nabrali przekonania, że utonął. Tylko że Iriję niełatwo było zwieść.

„Jeśli wszystko miało taki przebieg – rozmyślała Irija oglądając polanę – Tadeusz postarałby się zostawić mi jakiś znak. Wiedział przecież, że będę go szukać. Ale co to może być?”

Irija jeszcze raz obeszła drzewo, do którego przywiązano Tadeusza.

Na ziemi, tuż przy pniu, między korzeniami zobaczyła kilka krzywych linii, które Tadeusz nakreślił pewnie czubkiem buta. Pięć kresek, potem jeszcze cztery. Po co je narysował? Pięć, cztery... pięć, cztery... Skąd ona zna te cyfry?

Stop! A jak nazywała się planeta, na której go znalazła?

Planeta Pięć-Cztery!

Czyżby Tadeusz miał na myśli właśnie tę planetę? Akurat wtedy, gdy stał tutaj skrupowany, kiedy go przesłuchiwali i wiedział już, że chcą go porwać, ni stąd, ni zowąd przypomniałby sobie o tej odległej planecie?

I nagle Irii przyszło na myśl, że na planecie Pięć-cztery Tadeusza również napadnięto – znalazła go tam na wpół żywego. Z tą planetą była związana jakaś tajemnica, której przecież nie wyjaśnili.

Zaraz, co jeszcze pamięta? No, jasne! Kiedy stamtąd odlatywali, stateczek Gaj-do powiedział coś... coś ważnego. Ale ona nie zwróciła wtedy na to uwagi. Tak mówił o bazie tułaczy! Powiedział, że widzi wejście do bazy...

Nie było ani chwili do stracenia.

Irija szybko złożyła namiot, zebrała rzeczy Tadeusza i wsadziła wszystko do swojego flajera, a flajer Tadeusza zamknęła, żeby przypadkiem nie dostał się tam niedźwiedź. Potem odleciała do domu.

Po drodze zatrzymała się we Wrocławiu i z poczty połączyła się przez wideofon z Saharą. Chciała się dowiedzieć, gdzie jest teraz Gaj-do i dzieci, które zabrały go ze złomowiska.

Dyżurna, Dżamila, poinformowała ją, że dzieci uruchomiły statek i odleciały nim do Moskwy, żeby przygotować się do wyścigu.

– Czy coś się stało? – spytała z niepokojem.

– Nie – uspokoiła ją Irija. – Nic się nie stało. Chciałam po prostu porozmawiać z dziewczynką, która ma na imię Alicja. Gdzie mogłabym ją znaleźć?

– Chwileczkę – rzekła Dżamila. – Zostawili mi swoje adresy. Proszę notować.

Irija podziękowała Dżamili i natychmiast połączyła się z mieszkaniem Alicji.

Do wideofonu podszedł wysoki, lekko przygarbiony mężczyzna w średnim wieku, który, jak się okazało, był ojcem Alicji. Zdziwił się na widok pięknej kobiety z długimi złotymi włosami, która poszukiwała Alicji. Kobieta była zdenerwowana. Powiedziała, że nazywa się Irija Gaj i że musi

obejrzyć statek Gaj-do. Gdzie może znaleźć Alicję i Gaj-do?

– Dokładnie nie umiem powiedzieć – rzekł ojciec, profesor Sielezniew. – Właśnie polecili na Hawaje, na festiwal tańców ludowych. Ale znając charakter Alicji i jej przyjaciela, Paszki Gieraskina, przypuszczam, że mogą teraz latać po całym Układzie Słonecznym sprawdzając swój statek.

Irija zadzwoniła na Hawaje, do dyrekcji festiwalu. Tam oznajmiono jej, że na festiwal przyjechało sześćdziesiąt tysięcy gości i co najmniej dwustu z nich na swoich własnych statkach kosmicznych.

Na aerodromie w Honolulu powiedziano jej, że żaden statek o nazwie Gaj-do nie został zarejestrowany. Wówczas Irija zrozumiała, że tak szybko nie odnajdzie Alicji, i poleciała do domu.

Wróciwszy, Irija poszła do gabinetu Tadeusza, otworzyła szafę, gdzie przechowywała sprzęt ekspedycyjny i zaczęła wybierać potrzebne jej rzeczy.

Szykując się do drogi, Irija nadal intensywnie rozmyślała.

Dokąd lecieć? Co robić dalej?

Nie ulega wątpliwości, klucz do zagadki znajduje się na dzikiej planecie Pięć-Cztery. W bazie tułaczy. Najwidoczniej ktoś szuka tej bazy. A może już znalazł. I bardzo się obawia, że odnajdzie ją ktoś jeszcze.

Przypuśćmy, rozważała Irija, iż wrogowie powzięli podejrzenie, że Tadeusz również szuka ich drogocennej bazy, i postanowili go zabić. Irija i Gaj-do uratowali Tadeusza. Ale to nie uspiło czujności wrogów. Wyśledzili Gaj-do i zobaczyli, że leci w kierunku Ziemi... A w jakim celu? Odszukał bazę i chce czym prędzej donieść o tym. Napadają więc na Gaj-do. Gaj-do zostaje odstawiony na złomowisko i tam natrafiają na niego dzieci z Moskwy. Jeśli wrogowie wysłali swojego szpiega, dowiedział się on, że Alicja poleciała do Polski, gdzie spotkała się z Tadeuszem! A więc Tadeusz żyje! Wtedy wrogowie wpadli w popłoch. Tym bardziej musiało ich zaniepokoić, że Tadeusz pojechał do Moskwy, zobaczył Gaj-do, a zaraz potem statek wyruszył w rejs. Wtedy ich agenci odnajdują Tadeusza i porywają go.

Oczywiście, można zwrócić się do policji, ale wrogowie na pewno są już daleko. Wyjaśnienia zajęłyby tyle czasu, że po napastnikach wszelki ślad by zaginął. Irija musi działać sama.

Kiedy Irija, gotowa już do lotu, wyszła na werandę, matka Tadeusza w pierwszej chwili nie poznała jej.

Nic dziwnego.

Mama Tadeusza знаła żonę swego syna jako delikatną i skromną kobietę o długich złotych włosach, która uwielbia gotować, nie cierpi przygód i najchętniej nigdy nie opuszczałaby swojego domu.

A kogo teraz ujrzała przed sobą?

Prawdziwą amazonkę: króciutkie włosy, kombinezon kosmonauty, zwężone fiołkowe oczy, zimne i surowe, ostra broda wysunięta do przodu, na twarzy wyraz stanowczości. Ruchy energiczne i oszczędne. Mogłaby teraz, zdawało się, zdobyć Mont Everest, wyjść na ring boksinowy, wyzwać na pojedynek najstraszliwszego pirata Galaktyki. Nikt, nawet Tadeusz, nie rozpoznałby w tej wojowniczej kobiecie dawnej łagodnej Irii.

Istniał, co prawda, jeden człowiek, no, może niezupełnie człowiek, który nie tylko od razu poznałby Iriję, ale wręcz ucieszyłby się z tej przemiany.

Poznałby ją Gaj-do. Właśnie tak wyglądała córka konstruktora Samaona Gaja. Właśnie ta

dziewczyna samotnie wyruszała na niebezpieczne wyprawy.

– No cóż – powiedziała Irija do swego odbicia u lustrze nigdy nie sądziłam, że wrócę do przeszłości.

Ucałowała córeczkę, zeskoczyła z werandy i wsiadła do flajeru, który jakby poczuł, że z Iriją nie ma żartów, i pionowo wzbił się pod niebo, płosząc gołębie i sikorki. Ze świstem przecinając ciepłe, letnie powietrze, pomknął w stronę kosmodromu.

WIECZNY MŁODZIENIEC

– Dzień dobry, Tadeuszu – powiedział Arkasza. – Może nam pan wyjaśni, co znaczy to przedszkole tutaj? Co to za pizamki, nocniczki, kwiatuszki i opiekunki? Zdaje się, że wyrosliśmy już z tego wieku.

– Trafiliśmy, dzieci – rzekł Tadeusz – do podziemia powszechnego szczęścia. Sytuacja nie do pozazdroszczenia.

– To nie jesteśmy na Ziemi? – zdziwiła się Alicja.

– Znajdujemy się na planecie Pięć-Cztery – wyjaśnił Tadeusz. – Jestem tutaj takim samym więźniem jak wy. A w pobliżu, gdzieś za tymi ścianami, siedzi i rozmyśla o szczęściu całego Wszechświata najlepszy, najpiękniejszy i najłagodniejszy Wieczny Młodzieniec. W jego obecności rozkwitają uśmiechy i wszyscy wprost umierają z radości.

– Niechże pan mówi poważnie – przerwał mu Arkasza.

– Mówię jak najpoważniej. Przeszedłem już kilka przesłuchań, na razie bez uszczerbku na mojej drogocennej osobie.

Tadeusz od ostatniego spotkania z Alicją, schudł chyba o połowę, był strasznie mizerny, twarz miał poszarzałą, oczy przygasłe. Może on zwariował?

– Tylko nie myślcie, dzieci, że zwariowałem – odezwał się Tadeusz. – Bardzo mnie martwi, że też wpadliście w ich ręce. Będą was przesłuchiwać. Błagam, mówcie wszystko, co wiecie, a nawet więcej niż wiecie. Inaczej was zamęczą.

W tym momencie drzwi się otworzyły i weszła pielęgniarka, a za nią doktor w uśmiechniętej masce.

– Kto pierwszy na zabiegi? – spytała. – Śmiało, dzieciarnia.

– Zabraniam wam ruszać dzieci! – krzyknął Tadeusz zmierzając w stronę doktora. – One nic nie wiedzą.

– Na miejsce – rozkazał doktor. – Jeszcze nie wyzdrowiałeś, musisz odpocząć.

Doktor podniósł dłoń, w której ścisnął metalową rurkę. Tadeusz odruchowo zasłonił się ręką – najwidoczniej znał już działanie tej rurki. Alicja złękła się o Tadeusza i szybko podbiegła do doktora.

– Jestem gotowa! – zawołała. – Ja chcę iść na zabiegi.

– No, świetnie! – Doktor objął Alicję i pogładził ją po głowie. – Zawsze łatwiej rozmawia się z dziewczuszkami. Są takie łagodne, grzeczne, od razu wszystko opowiedzą. Idziemy.

– To się tu dzieje? – usłyszała Alicja zaspany głos Paszki. – Jakie znów zabiegi?

– Nie! – zawołał Tadeusz. – Nie dopuszczę do tego!

– Stać! – Doktor mocniej zacisnął w pięści rurkę i wąski błękitny promień padł na Tadeusza, który zwiijając się z bólu runął na podłogę.

Jednocześnie doktor mocno szarpnął Alicję za rękę, w mgnieniu oka oboje znaleźli się w korytarzu i drzwi się zatrzasnęły.

– Co pan zrobił! – Alicja próbowała ugryźć doktora w rękę, ale on mocno ścisnął jej twarz.

– Oj, ale jesteśmy nerwowi – powiedział karcąco. – Twojemu Tadeuszowi nic się nie stanie. My tego uparciucha już ze sto razy promyczkiem chłostaliśmy.

Puścił Alicję i spytał:

– Chcesz się przekonać, jak on chłoszcze? Ale to boli.

– Nie chcę.

– Brawo. Rozsądna jesteś. Coś jeszcze?

– Proszę zdjąć maskę!

– To nie maska – rzekł doktor. – To moja prawdziwa twarz. – Pociągnął Alicję za rękę, ruszyli dalej a on mówił: – Moja wewnętrzna twarz, ta pod maską, może się mylić, może ulegać chwilowemu zwątpieniu i błędnym odruchom. Za to moja zewnętrzna, prawdziwa twarz nigdy się nie smuci i nie przeżywa wątpliwości. Wie, jaki jestem szczęśliwy. Wszyscy tutaj są szczęśliwi.

– Dokąd pan mnie prowadzi? – spytała Alicja.

– Do Wiecznego Młodzieńca, abyś mogła dostąpić szczęścia spotkania z nim.

– Ale mnie to szczęście wcale nie jest potrzebne!

– Nikt cię nie pyta o zdanie. Szczęście – to podarunek. Podarunki trzeba przyjmować i cieszyć się nimi.

Rozmawiając z Alicją, doktor włókł ją przez korytarze, które zdawały się nie mieć końca. Przecinały się, rozwidlały, zakręcały. Po obu stronach ciągnął się szereg jednakowych drzwi. Ale korytarze były puste. Zupełnie jakby pędzili nocą przez wielki biurowiec, opuszczony już przez urzędników, którzy wychodząc zapomnieli pogasić światła.

Za kolejnym zakrętem ukazała się duża, nisko sklepiona sala. Stało tam mnóstwo donic z fikusami i palmami daktyłowymi, na ścianach wymalowane były pejzaże – lasy, zielone doliny i modre rzeczki. A u sufitu wisały klatki ze śpiewającymi ptakami.

Pod każdą klatką stał człowiek w uśmiechniętej masce i, ledwie tylko ptak milknął, dźgał w klatkę spiczastym kijem.

W odległym końcu sali widniały niewielkie drzwi z wymalowanym na nich uśmiechniętym słońcem. Przed drzwiami tkwili nieruchomo dwaj uśmiechnięci wartownicy z automatami w rękach.

Na widok Alicji i doktora dozorca ptaków zaczęli energiczniej walić w klatki, głośniej zaśpiewały ptaki, głośniej zagrała muzyka, wartownicy otworzyli szeroko drzwi, w które doktor wepchnął Alicję. Drzwi się zamknęły i Alicja została sama.

Znalazła się pośrodku niewielkiego przytulnego pokoju. Dźwięki z sali nie dochodziły tutaj. Tylko z cicha potrzaskiwał ogień na kominku. Na ścianach wyklejonych błękitnymi tapetami w białe narcyze były narysowane szerokie okna, a w nich błękitne niebo, zielone listowie. Na stole stał wazon z bukietem papierowych narcyzów.

Nagle do pokoju wszedł różnym krokiem niewysoki mężczyzna w złotej koronie i uśmiechniętej masce. Miał na sobie długi płaszcz wyszywany perłami.

– Wybacz, Alusiu – odezwał się – że kazałem ci czekać. Nie masz pojęcia – tysiące spraw. Zrywasz się skoro świt i cały dzień do wieczora biegasz jak w ukropie. Co wolisz, sok czy mleko?

– Mleko – odparła Alicja. – A kim pan jest?

– Imperator Sidon Trzeci. Zwykle nazywają mnie Wiecznym Młodzieńcem. Żyję na świecie już

bardzo długo, jakieś sześćset trzydzieści sześć lat. I w ogóle się nie starzeję.

Imperator otworzył lodówkę, która stała obok pianina, wyjął z niej butelkę mleka, nalał do kubka i postawił go na stole.

– Siadaj – powiedział. – Czuj się jak w domu.

– Dlaczego na nas napadnięto? – spytała Alicja.

Usiadła i spróbowała mleka. Było smaczne, świeże.

– Nie bój się, to nie syntetyczne – rzekł dyktator. – Zawsze wożę ze sobą dwie krowy. Gdziekolwiek się udaję. A krowa w kosmosie – to luksus. Mleko jest więc tutaj na wagę złota.

– Dziękuję – powiedziała Alicja, której natychmiast odechciało się pić to drogocenne mleko.

– Nie, wypij wszystko – rzekł Wieczny Młodzieniec. – Nie sądzisz chyba, że będę po tobie dopijać? Czy to wiadomo, jakie masz w sobie mikroby?

– Ale nie odpowiedział mi pan – wróciła do tematu Alicja. – Dlaczego na nas napadnięto?

– Na warunki się nie skarżysz? – spytał imperator. – Piżamka się podoba? Bardzo ci w niej do twarzy. Sam wybierałem. Myślałem sobie, obudzi się Alusia, spojrzy, a tu nowa piżamka.

– Dlaczego pan mi nie odpowiada?! – wykrzyknęła Alicja.

– No co, będziemy przyjaciółmi? Tak, masz rację. Zostaniemy przyjaciółmi!

– Dlaczego pan mi nie odpowiada?! – teraz już na cały głos zawołała Alicja.

– Myślisz, że skoro sprawiam wrażenie starszego od ciebie – ciągnął dyktator jakby nigdy nic – to już nie można się ze mną przyjaźnić? Jesteś w błędzie. Znam dużo różnych zabaw.

– Zaraz rozbiję ten kubek – powiedziała Alicja. – I co pan wtedy zrobi?

– Zdaje się, że lubisz narcyze? – rzekł imperator. – Ja też za nimi przepadam. To już pierwsze, co nas łączy. A potem znajdziemy jeszcze niejedno. Okaze się też, że mamy wspólnych znajomych.

Alicja podniosła kubek i zamierzyła się. Kilka kropli mleka prysnęło na dywan.

– Uważaj, jeżeli to zrobisz – rzekł imperator znudzonym głosem – będziesz tego żałować do końca swojego krótkiego życia. Odstaw kubek, głupia!

Te słowa Wiecznego Młodzieńca były tak zaskakujące, że Alicja spieszyła się i odstawiła kubek na stolik.

– Niestety – westchnął imperator – pierwsze podejście się nie udało. Spróbujemy innej taktyki. Szczerze. Czy chcesz, żebym rozmawiał z tobą jak z dorosłą?

– To chyba oczywiste.

– No więc słuchaj. I nie tylko słuchaj, ale postaraj się też zrozumieć. Rządzę pewną planetą. Jej nazwa nic ci nie powie. Moja planeta to najszczęśliwsze miejsce we Wszechświecie. Ponieważ rządzą nią już dość długo – mniej więcej sześćset dwa lata i trzy miesiące – mam olbrzymie doświadczenie w rządzeniu. Ale do szczęścia potrzebny jest dostatek, a my nie jesteśmy bogaci. Mamy kłopoty z paliwem.

Wieczny Młodzieniec popadł w smętną zadumę. Siadł do pianina, zagrał jakąś gamę, zatrzasnął wieko.

– Kiepsko – orzekł. – Nie mam kiedy ćwiczyć. Nudzi cię to, co mówię? Poczekaj. Zaraz skończę. Przed kilku laty dowiedzieliśmy się, że na tej planecie istnieje baza tułaczy. Z nietkniętymi zapasami paliwa. Cóż więc czynię jako ojciec swojej planety? Wzywam ochotników, przylatujemy tutaj i zaczynamy szukać bazy w imię szczęśliwej przyszłości naszych dzieci. Ciężko nam z dala od bliskich, z dala od ojczyzny. Ale uśmiechamy się! Uśmiechamy!... I nagle pojawiają się źli ludzie, którzy chcą nas ograbić! – Imperator wskazał palcem na Alicję. – I ciebie oszukali, stałaś się

narzędziem w ich brudnych rękach!

Maska Wiecznego Młodzieńca uśmiechała się dobrotliwie, ale ten uśmiech przejmował grozą.

Alicja spytała drżącym głosem:

– Kogo pan ma na myśli?

– Wiesz doskonale. Grabieżców. Poszukiwaczy skarbów. Jednego udało nam się pojmać i nie ujdzie on kary. Nazywa się Tadeusz. Drugi, ten, który przywiózł was tutaj, jeszcze się ukrywa. Ale jego też schwytemy... Przy twojej pomocy, dziewczynko.

– Kogo chcecie schwytać? – Alicja naprawdę nie wiedziała, o co chodzi.

– Tego, kto wami dowodził. Jego imię – Gaj-do!

Wreszcie Alicja zrozumiała. Wieczny Młodzieniec sądzi, że Gaj-do jest człowiekiem. A przecież tak samo myślał szary krążek! Więc ten szary krążek to szpieg imperatora! Teraz już wszystko stawało się jasne.

Znów usłyszała głos Wiecznego Młodzieńca, dobiegający jakby z oddali:

– Jeden występki uważamy za najstraszniejszy – kłamstwo! Wszyscy jesteście tak szczerzy, że po prostu cierpimy, kiedy spotykamy się z kłamstwem. Powiedz prawdę – gdzie jest Gaj-do?

– A nie znaleziono go? – zdziwiła się Alicja.

– Na pokładzie statku przyleciało was czworo: Alicja, Arkasza, Paszka i Gaj-do. Kiedy opuściliście statek, Gaj-do został na pokładzie, a wy utrzymywaliście z nim łączność. Ale na statku nie było Gaj-do. Zdążył się ukryć. Gdzie?

– Skąd mogę wiedzieć? Przecież cały czas byłam tutaj!

– No, dziewczynko, śmiało! To próba na uczciwość. Jeśli jej nie przejdiesz, obrażę się na ciebie.

– Przepraszam – odezwała się Alicja. – Może jestem bardzo głupia, ale nie rozumiem, dlaczego szuka pan Gaj-do?

– Jak to dlaczego? – zdziwił się imperator. – Przecież jesteście złoczyńcami! Piratami kosmicznymi! Chcecie ograbić mój dobry, uczciwy naród! Czy możemy żyć w spokoju, jeśli jeden z was, ten łotr, pozostaje na wolności?

– A więc boicie się go?

– Nie, litujemy się nad nim – sprostował imperator. – Pomyśl, ty pijesz sobie teraz mleko, jest ci ciepło, masz śliczną nową piżamkę, a on, biedak, marznie gdzieś pośród skał, płacze, jest mu źle! Pomóż mu wrócić do ludzi, trafić w nasze troskliwe ręce.

Widać, żeby Alicja też mogła odczuć te troskliwe ręce, Wieczny Młodzieniec chwycił ją za ramię i tak wpił w nie paznokcie, że mało nie krzyknęła z bólu.

– Żądam prawdy – syknął imperator. – Prawdy!

– Słowo honoru, na pokładzie były tylko trzy osoby!

– Cztery!

– Trzy!

– Kłamiesz! – Imperator podbiegł do drzwi, uchylił je i zawołał: – Dawać tu Dikodyma!

Po kilku sekundach, jakby czekał pod drzwiami na wezwanie, do pokoju wszedł wartownik. Wymachiwał trzymaną w ręku siatką, w której znajdował się szary krążek.

– Dikodymie, czy znasz tę dziewczynkę? – spytał imperator.

– Znam – zapiszczał walec. – Nazywa się Alicja Sielezniewa.

– Leciałeś razem z nią z Ziemi?

– Tak, leciałem z nimi.

– Ile ich było na pokładzie?

– Czworo. Trójka dzieci i jakiś dorosły, którego ani razu nie widziałem, chociaż przez cały czas brał udział w rozmowach.

– I nazywał się...

– Gaj-do. Ale nie widziałem go ani razu.

– Jak ci nie wstyd! – rzekła Alicja do krążka. – Przecież zlitowaliśmy się nad tobą.

– A cóż mogłem poradzić? – odpowiedział krążek. – Jego wysokość trzyma moją rodzinę jako zakładników.

– Co to za metody?! – zwróciła się Alicja do imperatora. – Wstyd mi za pana!

– Wszystko robię dla dobra narodu – odparł Wieczny Młodzieniec.

– Przepraszam, wielki imperatorze – zapiszczał krążek. – A gdzie jest moja rodzina? Dlaczego dotąd nas nie uwolniono? Zrobiłem wszystko, co mi kazano.

– Nie, gołabeczkę – rzekł imperator – jeszcze nam się przydasz.

– Przecież dał pan słowo!

– Dałem, a potem je cofnąłem.

– To nieuczciwe!

– Uczciwe, uczciwe! Jestem najuczciwszym na świecie imperatorem. Ale ty, przyjacielu, masz za długi język. Jak cię puszczę, jeszcze coś komuś wygadasz. A na mnie spoczywa odpowiedzialność przed moim wielkim narodem. Nie mogę zawieść jego zaufania w momencie, kiedy właśnie zaczynamy przewozić bogactwa z bazy tułaczy na nasz statek.

– Nienawidzę pana! – zapiszczał krążek. – Oszukał mnie pan!

– No i proszę. Mogłem się tego spodziewać – powiedział ze smutkiem imperator, choć maska pozostała uśmiechnięta. – Wtrąćcie niewdzięcznika do lochu.

– A dziewczynka? – zapytał strażnik.

– Ta niedobra dziewczynka? Też sobie tam posiedzi, a ja tymczasem pogawędzę z jej przyjaciółmi.

– Przeprowadzić ich? – spytał strażnik.

– Najpierw sprawdzę, jak idzie praca w bazie.

Strażnik popchnął Alicję w stronę drzwi. Raptem w głośniku elektrodynamicznym, który stał na stole, rozległ się wzburzony głos. Wołano coś w nie znanym Alicji języku.

Dyktator doskoczył do stołu i zaczął wrzeszczeć do kogoś w tym samym języku.

NIE WOLNO BAĆ SIĘ PAJĄKÓW

Strażnik, trzymając w ręku siatkę z krążkiem, doprowadził Alicję do wąskich schodów wiodących w dół i silnie pchnął ją w plecy. Alicja runęła po nie kończących się śliskich stopniach. W ślad za nią potoczył się krążek.

Luk został zatrzaśnięty.

Wokół nich panowała zupełna ciemność.

– Gdzie my jesteśmy? – spytała Alicja, siedząc na kamiennej posadzce. Okropnie ją bolały potłuczone łokcie i kolana.

– Jesteśmy w lochu – odrzekł piskliwie krążek Dikodym. – Stąd jeszcze nikt nie wyszedł żywy.

– My wyjdziemy – uspokajała go Alicja.

– Ja już się niczego nie boję – rzekł krążek.

– Czy wiesz, co oni tak wykrzykiwali? – zapytała Alicja. – Rozumiesz ich język?

– Trochę – odparł krążek – Gaj-do przedostał się na twój statek, mimo że statek cały czas strzeżono. Uruchomił go i odleciał. Teraz ruszyli za nim w pościg.

– Brawo, Gaj-do! – zawołała Alicja. – Ale się spisał!

– I tak go na pewno dogonią i zabiją.

– Zobaczymy – powiedziała Alicja.

Od razu poprawił jej się humor. „Ci głupcy – myślała – pilnowali wejścia na statek, usiłując złapać tajemniczego Gaj-do, a tymczasem nasz Gaj-do spokojnie sobie odleciał”.

– Nic się nie martw – z otuchą w głosie rzekła Alicja. – Teraz Gaj-do sprowadzi pomoc.

– Nie zdąży – zapiszczał krążek. – Wiem, że każdego, kto trafi do tego lochu, pożerają pająki.

Alicja mimo woli obejrzała się. Ciemno i cicho...

– Nie przejmuj się – zaczęła, ale głos jej się załamał. Poczowała lęk. – To na pewno ich kolejne kłamstwo. Oszukują tylko, żeby nas postraszyć.

– Oby tak było – powiedział krążek. – Chociaż mnie już wszystko jedno.

– Czy naprawdę jesteś szpiegiem?

– Tak, podłym szpiegiem.

– Prawdziwi szpiedzy nie mówią o sobie w ten sposób.

– Wieczny Młodzieniec uwięził całą moją rodzinę – żonę i dzieci... I obiecał mi, że jeśli odszukam na Ziemi jego wrogów, moi bliscy odzyskają wolność. Zrobiłem wszystko! Wyśledziłem statek, wyśledziłem was, wyśledziłem nawet Tadeusza, którego schwytali i przywieźli tutaj. Zrobiłem wszystko. Myślisz, że sprawiało mi to przyjemność? Robiłem to ze strachu i z miłości do rodziny. Teraz możesz mnie zabić!

– Rozumiem cię – rzekła Alicja. – Chociaż przykro mi, że sprawcą wszystkich naszych nieszczęść jesteś ty, Dikodymie. Jeśli popełniasz niegodziwe uczynki, nawet z miłości do swoich bliskich, nie

stają się one przez to mniej niegodziwe. A potem ciężko się za to płaci. Zawsze.

– Ale on zabiłby moją rodzinę!

– A teraz?

– Obawiam się, że już nie żyją...

– No widzisz!

Nagle Alicja usłyszała, jak w ciemności coś się poruszyło.

– Pająki! – krzyknęła i zerwała się na równe nogi. Zawsze bała się pajaków.

– Nie bój się – dobiegł ją z ciemności niski głos. – To jeszcze nie pająki. To tylko ja.

W kącie zapaliła się świeczka oświetlając postać starej kobiety, która siedziała na stosie łachmanów. Była w porwanej sukni, włosy miała splątane, oczy zapadnięte.

– Kim pani jest? – spytała Alicja. – Dlaczego pani tu siedzi?

– Siedzę tu dlatego, że w ogóle nie istnieję – odparła zagadkowo staruszka. – A czym wy naraziliście się Wiecznemu Młodzieńcowi?

– Ja naraziłem mu się swoją wierną służbą – odparł krążek. – Za cenę obietnicy, że uwolni mnie i moją rodzinę, stałem się podłym szpiegiem.

– I dotrzymał słowa? – spytała staruszka.

– Nie, zostałem oszukany. Zadrwił sobie ze mnie.

– A ty, dziewczynko, za co tu trafiłaś?

– Nie wiem – odparła Alicja.

– Nie wiesz? A może właśnie wiesz za dużo? Wieczny Młodzieniec nie lubi świadków.

– Czy on jest nienormalny? – spytała Alicja.

– Nie, dlaczego. To zupełnie normalny łajdak.

– Twierdzi, że wszystko robi dla swojego narodu. Najszczęśliwszego narodu całej Galaktyki, którym rządzi już sześćset lat.

– Śmieszne – rzekła stara. – Znam go o wiele krócej, jakieś czterdzieści lat, i zawsze dążył jedynie do władzy. O narodzie myślał tylko wtedy, gdy chciał go wykorzystać.

– A więc okłamał mnie?

– On jeszcze nigdy w życiu nie powiedział słowa prawdy.

– Dlaczego ten naród wytrzymuje to wszystko?

– Naród można oszukać. A Wieczny Młodzieniec nie ma równego sobie pod tym względem. Wykrzykiwał, że jesteśmy szczęśliwi, a my w to uwierzyliśmy. Z jego rozkazu wszyscy mieli chodzić w maskach z przyklejonym uśmiechem, żeby raz na zawsze zniknęły smutne twarze... Zabijano najlepszych ludzi, triumfowali zaś szubrawcy i bandyci. Było coraz gorzej, aż doszło do tego, że dzieci zaczęły umierać z głodu. Wreszcie miara się przebrała, bo nie można uśmiechać się i jednocześnie umierać z głodu. Nasz naród zbuntował się i obalił władzę Wiecznego Młodzieńca, pięknego, mądrego i szczęśliwego.

– Obalił jego władzę? Więc czyje on właściwie dobro ma teraz na względzie?

– Swoje własne. Jak zawsze – tylko swoje własne... Na nieszczęście, udało mu się zbiec. Porwał statek flagowy naszej floty, o nazwie „Powszechna radość” i wraz ze swoimi poplecznikami zbiegł na tę planetę.

– Dlaczego? – piskliwie zaszlochał szary krążek Dikodym. – Dlaczego właśnie tutaj? Żyliśmy spokojnie, wychowywaliśmy dzieci i kąpaliśmy się w jeziorach wulkanicznych. Dlaczego przyleciał akurat tutaj?

– Ponieważ opanowany jest tyko jedną manią – dojść do potęgi, wrócić na naszą planetę i okrutnie zemścić się na tych, którzy ośmielili się powstać przeciwko niemu. To właśnie przy waszej pomocy, głupie dzieciaki, odnalazł tę bazę, teraz ją grabi i już szykuje się do triumfalnego powrotu. Żeby krwawo rozprawić się z buntownikami, zgładzić wszystkich.

– Dlaczego przy naszej pomocy? – zdziwiła się Alicja. – Wcale mu nie pomagaliśmy.

– Głuptasie! Od momentu kiedy wylądowaliście tutaj, nie spuszczano was z oka. I właśnie wy zaprowadziliście Wiecznego Młodzieńca prosto do wejścia do bazy tułaczy, której szukał całe trzy lata!

– To okropne! – wykrzyknęła Alicja.

– I nie wiadomo, jaki los spotka ciebie i twoich przyjaciół. Może jesteście mu potrzebni jako zakładnicy. A może wręcz przeciwnie, zawadzacie jako niepożądani świadkowie. Nie znam całej perfidii umysłu tego łajdaka. Znacznie mniej groźne są prawdziwe pająki, niż pająki w ludzkiej postaci, bo pajaków, które tkwią w tym lochu, nie trzeba się obawiać. Jeśli nie okażesz lęku, nawet cię nie ruszą. One żywią się strachem – schodzą się na zapach strachu. A Wieczny Młodzieniec sam tworzy strach.

– Czy stąd nie ma żadnego wyjścia? – spytała Alicja.

– A dokąd chcesz iść? Trzeba czekać...

– Na co czekać? – zapiszczał krążek.

– Na śmierć, na wolność... nie wiadomo. Kładźcie się spać. We śnie ludzie się nie boją.

– Przecież ja nie mogę spać! – wykrzyknęła Alicja. – On tam przesłuchuje moich przyjaciół.

– Nikogo nie przesłuchuje – uspokoiła ją staruszka. – Popędził teraz do bazy sprawdzać swoje łupy.

– To wszystko moja wina – odezwał się krążek. – Ale wiem, co zrobię, jeśli mnie tylko stąd wypuszczą. Zabiję go.

– No, spróbuj – rzekła stara, bacznie nasłuchując.

W pobliżu rozległ się szelest. Najpierw Alicja zobaczyła oczy. Okrągłe żółte, nieruchome. Lekko fosforyzowały w ciemności.

– Uprzedzam, nie bój się – ostrzegła staruszka. – One wyczuwają strach.

Coś miękkiego i wilgotnego otarło się o nogę Alicji. Ledwie pohamowała się, by nie krzyknąć. Ale był to tylko szary krążek.

Szmer zbliżał się coraz bardziej. Z ciemności wylaniały się pająki – o żółtych świecących oczach, długich, owłosionych pierścieniowatych kończynach, z wysuniętymi przed siebie potężnymi szczypcami. Było ich mnóstwo, każdy co najmniej wielkości psa.

– Weź mnie na rękę – zapiszczał krążek – umieram ze strachu.

– Po co go ratować? – odezwała się kobieta. – Przecież zaprzedał ciebie i twoich przyjaciół. Zostaw go pająkom i po sprawie.

– Tak się nie robi – zaprotestowała Alicja. Wzięła na rękę dygocący szary krążek. – Nie bój się, one cię nawet nie tkną.

Obawiała się teraz nie o siebie, lecz o szary walec. Pająki natychmiast wyczuły jego przerażenie. Skierowały się ku Alicji, wyciągając w stronę krążka swoje macki. Alicja osłoniła sobą Dikodyma i w mgnieniu oka przywarła do ściany, żeby nie mogły dosięgnąć nieszczęsnego krążka.

Pająki dotykały jej pleców, popychały ją, tłocząc się bezładnie.

– Niechże pani coś zrobi! – krzyknęła Alicja do staruszki. – Pani wie, jak pomóc!

– Nie ma pomocy – odparła staruszka. – Czy zło można zwyciężyć?

– Przecież wszystkich nas tu zeżrą!

– Może dadzą już spokój...

Pająkom znudziła się walka z Alicją. Ostre szczytce coraz silniej rwały pizamę i mimo że Alicja broniła się, jak mogła, pająki oderwały ją od ściany, odtrąciły na bok i wyrwały krążek z jej rąk, zapiszczał tylko i zniknął w koszmarnym kłębowisku pajaków.

Alicja próbowała je roztrącić, odciągnąć, ale pająki były o wiele silniejsze i nie zwracały na nią uwagi.

Potem, jak na komendę, tłocząc się, szybko odeszły z powrotem w czarną otchłań lochu i przepadły bez śladu. Ich natarczywy szelest powoli przycichał.

Alicja rzuciła się do miejsca, gdzie upadł szary krążek. Na podłodze widniała tylko mokra plamka – to wszystko, co zostało z nieszczęsnego zdrajcy.

– Zasłużył na śmierć – skwitowała krótko staruszka.

– Przecież ratował swoją rodzinę!

– Dziwna jesteś, Alicjo – powiedziała staruszka. – Nie płacz. Życia mu nie przywrócisz, a przez swoją śmierć ocalił ciebie. Nie zlekkaś się pajaków, bo myślałaś tylko o tym, żeby jego obronić. Gdybyś znalazła się tu sama, ogarnąłby cię strach. I to byłby twój koniec.

Alicja poczuła, że nogi uginają się pod nią. Usiadła na podłodze i żałośnie się rozplakała.

SPOTKANIE STARYCH PRZYJACIÓŁ

Na statku rejsowym „Linia”, na trasie Ziemia-Wester zaszło niezwykle zdarzenie, które odnotowano w dzienniku okrętowym.

Kiedy statek przelatywał opodal nie zamieszkanego systemu planetarnego, na mostek kapitański weszła jedna z pasażerek. Nazywała się Irija Gaj.

Na tę dziwną kobietę kapitan zwrócił uwagę jeszcze na Ziemi. Była ubrana jak badacz odległych planet, z nikim nie rozmawiała i prawie nie wychodziła z kajuty. Przyszła do kapitana oświadczając, że chce opuścić „Linie” i że potrzebny jej kuter planetarny. Odeśle go zaraz po wylądowaniu tam, gdzie zmierza. Odmówiła podania przyczyny swej prośby, a kapitan oczywiście nie wyraził zgody. Kutry planetarne nie są przeznaczone do spacerów w kosmosie. Tak właśnie powiedział Irii Gaj.

Wówczas, ku zaskoczeniu kapitana i nawigatora wachtowego, Irija Gaj wyjęła blaster, rozkazując obu mężczyznom, aby odsunęli się pod ścianę. Kiedy nawigator próbował odebrać jej broń. Irija Gaj wprawnym chwytem dżu-dżitsu powaliła go na ziemię, a kapitana znokautowała jednym celnym ciosem w szczękę.

Następnie Irija Gaj wybrała na pulpicie rozkaz przygotowania do lotu kutra planetarnego, szybko i sprawnie związała kapitana i nawigatora, po czym spokojnie podeszła do luku, wsiadła na kuter i wystartowała.

Kiedy po półgodzinie zaniepokojony milczeniem kapitana mechanik wszedł na mostek, zobaczył, że kapitan i nawigator leżą związani i zakneblowani, Z trudem dał wiarę temu, że wszystko to było dziełem jednej młodej kobiety.

„Linia”, jako rejsowy statek pasażerski, nie mogła zmieniać kursu, aby ścigać Iriję Gaj. Kapitan nawiązał łączność z patrolem galaktycznym i poinformował o całym zdarzeniu. Patrol oznajmił, że wysłę krążownik z planety Wester, który przyleci jednak dopiero za trzy dni.

Tymczasem Irija Gaj starała się wycisnąć z kutra maksymalną szybkość. Oczywiście, czuła wyrzuty sumienia, że tak bezwzględnie obeszła się z kapitanem. Ale myśl o losie Tadeusza Sokoła niepokoiła ją o wiele bardziej.

Po dwóch godzinach od chwili opuszczenia pokładu „Linii” Irija zobaczyła, że z przeciwka nadlatuje jakiś statek.

Było to dziwne. Z planety Pięć-Cztery dostrzec jej nie mogli. Czy to wrogowie?

Irija włączyła nadajnik.

– Proszę się odezwać – powiedziała. – Co to za statek, dokąd zmierzacie?

Statek nie zareagował, a w dodatku zmienił kurs, żeby uniknąć spotkania.

„Może to Tadeusz? – pomyślała Irija. – Może udało mu się porwać wrogom statek i teraz obawia się pościgu?” Wtedy przekazała przez nadajnik:

– Mówi Irija Gaj. Trzymam kurs na planetę Pięć-Cztery. Słyszycie mnie?

I nagle usłyszała znajomy głos:

– Moja pani! Irija! Co za szczęście! To ja, Gaj-do.

I statek pomknął co siłą ku Irii.

Po półgodzinie Irija przeszła na pokład Gaj-do, ustawivszy przedtem automatyczne sterowanie kutra planetarnego na kurs do planety Wester.

Irija znalazła się w dobrze znanej sobie kabinie, usiadła w dobrze znanym fotelu pilota. Zupełnie tak, jakby wcale nie upłynęły te dwa lata od ich ostatniego spotkania. Gaj-do był szczęśliwy.

– Tak marzyłem, żeby cię zobaczyć – powtarzał w kółko. – Co za szczęście. Leciałaś, żeby ocalić Alicję?

– Jaką Alicję? – zdziwiła się Irija. – Lecę ratować Tadeusza.

– Znowu? – powiedział stateczek. – Przecież raz już go uratowałaś. Chyba starczy? A może tak mu się spodobało, jak go ratujesz, że znów tam poleciał?

– Nie pleć głupstw, Gaj-do – rzekła Irija. – To nie takie proste, jak myślisz. Tadeusza porwano. Zdążył jednak pozostawić mi znak. Naprawdę nie spotkałeś go tam? A co z Alicją?

– Musimy przekazać sobie nawzajem wszystkie informacje – rzekł Gaj-do. – Najpierw mów ty, potem ja.

Po dziesięciu minutach cała sprawa się wyjaśniła.

– Jest tak, jak przypuszczałam – podsumowała Irija. – Nieznani wrogowie poszukują bazy tułaczy. I starają się dostać w swe ręce każdego, kto, ich zdaniem, wie cokolwiek o bazie.

– Pewnie masz rację – zgodził się Gaj-do. – Obawiam się tylko, że już odnaleźli tę bazę. Przecież schwytali moje dzieciaki tuż obok wejścia do niej. A zdrajcą okazał się pewien nikczemny szary szpieg, którego nasłali na nas.

– Więc trzeba ich uwolnić – zdecydowała Irija. – Kurs na planetę Pięć-Cztery.

– Właśnie tam lecę – odparł stateczek. – Ani przez chwilę nie wątpię, jaką podejmiesz decyzję. Półtora roku małżeństwa z Tadeuszem nie mogło przekreślić wychowania, jakie otrzymałaś od ojca. Wiedziałem, że wcześniej czy później powrócisz do dawnego życia.

– Zobaczymy – rzekła Irija.

– Czy masz plan działania?

– Muszę dotrzeć do nich – odparła Irija.

– Unieszkodliwią cię.

– Niech tylko spróbują!

– A ja?

– Ty będziesz oczekiwać moich rozkazów.

– Tak jest. Mam jeszcze jedno pytanie.

– Słucham.

– A jeśli oni tymczasem zabili twój Tadeusza, czy wtedy znów będziemy razem podróżować?

– Uprzedzam, jeśli tylko powtórzysz tę bzdurę, bezmyślny Gaj-do, nie odezwę się więcej do ciebie.

– Już milczę – rzekł Gaj-do.

Irija sprawdziła broń. Potem, obserwując, jak na ekranie wyrasta coraz bliżej planeta Pięć-Cztery, oznajmiła:

– Będę utrzymywać z tobą łączność. Jeżeli zorientujesz się, że mnie schwytano, czym prędzej odlatuj. Zrozumiałeś? To rozkaz.

– Mam natychmiast odlecieć – ponurym głosem powtórzył Gaj-do.

– Leć do najbliższej zamieszkanego planety i nadaj sygnał SOS. Zrozumiałeś?

– A jak myślisz, co robiłem, kiedy spotkaliśmy się? Leciałem, żeby sprowadzić pomoc. A skoro tylko wrócimy na Ziemię, poproszę Arkaszę, żeby dorobił mi koła i ręce. Mam dość, nie chcę już dłużej być zwyczajną metalową puszką.

– Nie jestem przekonana, czy twój Arkasza podoła temu – z nieoczekiwaną zazdrością oświadczyła Irija.

– Podoła, to bardzo utalentowany chłopiec. Razem z Paską i Łukjanyszem pomożemy mu.

– Odradzam – rzekła Irija. – A nawiasem mówiąc, strasznie tu naśmiecione. Dawniej zawsze było u nas czysto.

– Kiedy moje dzieci – odparł z godnością Gaj-do – wyruszały na poszukiwanie bazy tułaczy, wcale nie miały zamiaru trafiać do niewoli. To moja wina, że pozwoliłem im na takie ryzyko.

– Jaka tam twoja wina, jesteś tylko statkiem – powiedziała Irija. – Choć czasem się zapominasz.

„Nie – pomyślał z goryczą Gaj-do – moja pani nigdy już nie będzie taka jak dawniej. Przeszłości nie da się przywrócić. Jestem teraz dla niej tylko statkiem, maszyną. Mam czekać, mam sprowadzać pomoc, mam wozić. I milczeć”.

– Cicho – powiedziała Irija – muszę pomyśleć. „Przecież milczę” – chciał powiedzieć Gaj-do, ale słowem się nie odezwał.

Irija obserwowała ekran, Przyszło jej na myśl, że minęło tyle czasu, a planeta wygląda identycznie jak przed dwoma laty. Upłynie jeszcze tysiąc lat i znów na ekranie ktoś zobaczy ją po raz pierwszy, a ona nadal pozostanie dokładnie taka sama. Tymczasem dwa lata temu Irija była zupełnie innym człowiekiem. Gdyby wtedy powiedziano jej, że zamieszka w cichym sadzie gdzieś w okolicach Wrocławia i będzie kołysać swoje własne dziecko, roześmiałyby się. „Och, jak tam moja Wandeczka? – Irija poczuła ukłucie w sercu, – Na pewno grymasi, a mama Tadeusza zapomniała podgrzać jej mleko”. Irija zapragnęła nagle wrócić, znaleźć się jak najszybciej na Ziemi i nakarmić córeczkę. Ale było to niemożliwe. Irija poruszyła lewą ręką – poczuła u boku blaster. Nie, tata nie na próżno poświęcił tyle lat, żeby wykształcić w niej odwagę i hart ducha. Jego nauka nie poszła na marne.

– Mój skafander jest cały? – spytał Irija.

– Pilnowałem go – odparł statek.

– Daj mi.

W ścianie otworzyła się wnęką. Połyskiwał w niej skafander.

– Zostaniesz na wysokiej orbicie, żeby cię nie napadli znieścacka – powiedziała Irija.

– A dlaczego nie miałbym wysadzić cię na planecie? Przecież to wygodniej.

– Ty bezmyślny...

– Lepiej wyjaśnij, zamiast mi wymyślać.

– A co byś pomyślał na ich miejscu? Dopiero co statek uciekł z planety i raptem wraca. Z jakiego powodu? Bądź spokojny, dostanę się tam sama, Polecę meteorem.

– W żadnym wypadku! – przestraszył się Gaj-do. – To niebezpieczne!

– Wiesz, że już to robiłam.

– Nie pozwolę!

– Inaczej mnie odkryją.

To mówiąc Irija włożyła skafander. Gaj-do, któremu elektroniczne serce zamierało z niepokojem,

zaczął wytracać szybkość.

– Bądź na linii – powiedziała Irija.

Nie zwykła marnować słów. Była oszczędna w ruchach i rozważna jak bokser na ringu.

Wyszła przez tunel wylotowy w otwartą przestrzeń, odbiła się od Gaj-do i popłynęła ku planecie. Po kilku minutach, gdy znalazła się dostatecznie daleko od statku, włączyła silnik raketowy i zniżyła lot, nabierając jednocześnie szybkości, tak aby zewnętrzna powłoka skafandra w momencie wejścia w atmosferę rozżarzyła się do czerwoności. Było to bardzo niebezpieczne – najmniejsza, minimalna usterka w skafandrze skończyłaby się dla Irii natychmiastową zgubą. Irija uważała jednak, że to jedyna szansa, aby nie namierzono jej z planety. Jeśli ich służby zwiadowcze zobaczą meteor, nie wzbudzi to żadnych podejrzeń – na planetę Pięć-Cztery spada wiele meteorów.

W OCZEKIWANIU NA ALICJĘ

W tym czasie w dużej, jasnej sali Paszka, Arkasza i Tadeusz podenerwowani czekali na Alicję, Minęła już ponad godzina, a ona wciąż nie wracała.

Drzwi były zamknięte na dobre. Paszka kilkakrotnie próbował je wyważyć, ale bez powodzenia. Mimo łomotania nikt się nie zjawił. Arkasza, jako człowiek bardziej rozsądny, opukiwał tymczasem wszystkie ściany sali. Miał nadzieję odkryć jakieś tajemne przejście lub drzwi.

Tadeusz, obserwując wysiłki Arkaszy, powiedział:

– Daj spokój, to bez sensu. Zbadałem już te ściany. Pod farbą jest metal. Przecież to statek.

– Więc jesteśmy w kosmosie?

– Nie. Jesteśmy na planecie Pięć-Cztery. Wieczny Młodzieniec przyleciał na statku flagowym „Powszechna radość” i starannie go zamaskował. Nawet chodząc po poszyciu, nigdy byś nie zgadł, że pod nogami masz ogromny statek. Stąd Wieczny Młodzieniec kieruje poszukiwaniami bazy tułaczy.

– Co to za dziwne imię: Wieczny Młodzieniec? – zdziwił się Paszka.

– Twierdzi, że ma sześćset lat, ale jest młody duchem i działa dla dobra swojego narodu – wyjaśnił Tadeusz.

– Jasne. I po to kazał wszystkim nosić maski – rzekł Arkasza – żeby nikt nie widział, jaki z niego staruch.

Paszka walnął pięścią w drzwi.

– Co za pech! – powiedział. – Że też właśnie my sami wskazaliśmy temu całemu Młodzieńcowi wejście do bazy.

– Wy? – zdziwił się Tadeusz.

– Tak, naprowadziliśmy go prosto na bazę – rzekł Paszka. – Podejrzewam, że szary krążek był ich szpiegiem. Gdybym się w porę domyślił, z miejsca wyrzuciłbym go w otwarty kosmos!

– Szary krążek próbował nas ostrzec – powiedział Arkasza. – Tylko my nie zrozumieliśmy. A gdyby tak wszyscy nawzajem zaczęli wyrzucać się w kosmos, ciekawe, jak byś poznał, kto jest dobry, a kto zły?

– Dobry jest ten, komu przyświeca dobry cel – odparł Paszka. – Nasz cel jest szlachetny, a ich – niegodziwy.

– Bo ja wiem – w zamyśleniu powiedział Arkasza. – Naszym celem było zdobycie paliwa tułaczy, żeby zwyciężyć w wyścigu. Czy to naprawdę taki szlachetny cel?

– Ale potem byśmy wszystkim powiedzieli o bazie! – wykrzyknął Paszka.

– Szkoda, że nie powiedzieliśmy przedtem – zauważył Arkasza. – Wpadliśmy teraz w tarapaty.

– Jak śmiesz porównywać nas z tymi łotrami! – oburzył się Paszka. – Przecież Alicji grozi zguba!

– Ja nie porównuję – uściślił Arkasza. – Staram się tylko zrozumieć. Dopóki nie mam niezbitych dowodów, wierzę, że ludzie są dobrzy.

– Zastanówmy się lepiej, jak się stąd wydostać – powiedział Paszka, dużymi krokami przemierzając wzdłuż całą salę. – Jeśli choć palcem tkną Alicję, mogą się pożegnać z tym światem. Ja to mówię, Paweł Gieraskin!

Tadeusz, słuchając utarczki chłopców, uśmiechał się z goryczą. To jeszcze dzieci, myślał, zupełne dzieci. I lepiej, że nie wiedzą, jak Wieczny Młodzieniec dręczy swoich jeńców, jak wiele wycierpiał Tadeusz. Jedyne nadzieje, że Irija odnalazła jego znak! Na pewno od razu wszczęła alarm i pomoc przybędzie w porę... Najgorsze – to niepewność.

WALKA W CIEMNYM TUNELU

W tym samym czasie Alicja myślała o swoich przyjaciółach. Gdzie teraz są? Może też się znaleźli w opałach? Staruszka drzemała w kącie.

– Proszę powiedzieć – zwróciła się do niej Alicja – czy z tego lochu nie ma żadnego wyjścia?

– Dlaczego pytasz?

– Bo chcę uciec.

– Nie ma dokąd uciekać.

– A pająki skąd tutaj przychodzą?

– Idź za nimi, zobacz.

Alicję aż ścisnęło w środku na myśl, że miałyby zanurzyć się w te ciemności, gdzie kłębią się bezlitosne pająki.

– A górą nie można wyjść? – spytała.

– Te schodki prowadzą do luku. Luk znajduje się w dnie statku „Powszechna radość”.

– To znaczy, jesteście pod statkiem?

– Tak. Statek stoi na dnie krateru, pod nim jest jaskinia, którą nasz Wieczny Młodzieniec zamienił w więzienie. Stąd nie ma wyjścia, pozostaje siedzieć i czekać. Może zapomną.

Dziwna ta staruszka, pomyślała Alicja. Niby chce pomóc, uprzedziła przecież, że nie wolno się bać pajaków. A teraz zachowuje się chłodno i zniechęca Alicję.

– Jeśli górą nie można – odezwała się Alicja – pójdę w głąb jaskini.

– Co? – staruszka podniosła głowę. – Dokąd pójdziesz?

– W głąb jaskini, do pajaków – odparła Alicja.

– Przecież zginiesz!

– Wcale się nie boję pajaków.

– A jeśli tam nie ma wyjścia?

– Musi być – z przekonaniem powiedziała Alicja. – Tutaj pająki nie mają się czym żywić. A więc muszą wychodzić na powierzchnię.

– Nie przejdiesz. W jaskini są nie tylko pająki.

– Idę – zdecydowała Alicja. – Nie mogę tak siedzieć i czekać, podczas gdy moi przyjaciele są w opałach.

– Mówisz serio? – staruszka dopiero teraz uwierzyła, że Alicja naprawdę chce wejść w czarną czeluść.

– Oczywiście. I muszę się spieszyć.

Alicja zaznaczyła to nie bez powodu – wiedziała, że jeśli człowiek się spieszy, wtedy po prostu nie ma czasu się bać.

– W takim razie... W takim razie weź świeczkę – rzekła staruszka. – Trzymałam ją dla ciebie.

Weź, zaimponowałaś mi. Już dawno nikt mi tak nie zaimponował.

– Dziękuję – rzekła Alicja.

Musiała chyba wyglądać komicznie w kwiciastej piżamie, ze świeczką w ręku.

Powietrze w lochu stało nieruchomo, świeca paliła się równym, pionowym płomieniem, jak w szklanej kolbie.

Alicja ruszyła w tę stronę, skąd wyłaziły pająki.

– Mówisz, że jesteś z Ziemi? – usłyszała za sobą słowa staruszki.

– Z Moskwy.

Nierówna kamienna ściana, po której wolno spływały krople wody, była w wielu miejscach popękana. O, tu jest duża szczelina. W niej zniknęły pająki.

Alicja szła powoli, nogi miała ciężkie, jakby przyciągał je magnes.

Wydało jej się, że słyszy za sobą chichot staruszki. Nie, to był kaszel.

Alicja trzymała świeczkę w wyciągniętej ręce, jak najdalej od siebie. Żeby zachować spokój, mówiła półgłosem: „Pająków wcale się nie boję. To przecież w zasadzie tylko robaki. Polują, czyhając na uczucie strachu swej ofiary. Jak będę wracać na Ziemię, wezmę parkę do ogrodu zoologicznego, dla taty, na pewno się ucieszy...”

I nagle zobaczyła w ciemności żółtawy odblask – świecące oczy pajaków. Potwory zastąpiły jej drogę.

Alicja, zaskoczona, aż drgnęła. Tak właśnie bywa – z góry szykujesz się na coś okropnego i wiesz, jak postąpić, a kiedy to następuje, masz w głowie kompletną pustkę,

Pająki w bezruchu czekały na Alicję. Może były zdumione jej zuchwalstwem?

Wtedy Alicja powiedziała:

– Witajcie. – Głos jej się załamał, odkaszlnęła i powtórzyła: – Witajcie. Nie mam do was pretensji. Jesteście pozbawionymi rozumu stworzeniami. Niech no wam się przyjrzę, chcę wybrać parkę do moskiewskiego ZOO. Znajdziecie tam cudowne towarzystwo.

Alicja zobaczyła, że świeca zapłonęła jaśniej, zupełnie jakby chciała jej pomóc. Oślepienie blaskiem pająki zawahały się i zwarty mur połyskliwych kruchych ciał zaczął się powoli cofać.

– Z drogi! – rozkazała Alicja. – Przecież nie będę przeciskać się między wami. To obrzydliwe. Idźcie sobie, bo się rozzłoszczę.

Mur pajaków cofał się coraz szybciej, tratowały się nawzajem, szurgotając w pośpiechu łapami, jakby zagrażał im straszliwy drapieżnik, a nie bezbronna dziewczynka ze świeczką w dłoni.

– Precz! – Alicja przyspieszyła kroku.

I wtedy pająki, ogarnięte paniką, rzuciły się do ucieczki, szkaradnym kłębowiskiem przewalając się przez szczelinę. Zmykały w takim popłochu, że ziemia usłana była szczątkami ich połamanych nóg i kleszczy.

Alicja przystanąła, żeby zaczerpnąć oddechu. „Taka jestem zmęczona – pomyślała. – Nie mam siły iść dalej. Ale muszę”.

Szczelina była pusta. Zrobiło się cicho. Świeczka znów przygasła; trudno było uwierzyć, że jeszcze przed chwilą paliła się pełnym płomieniem.

Alicja ostatkiem sił powlokła się dalej.

Dno rozpadliny zaczęło się stopniowo wznosić. Alicja szła z coraz większym trudem, w dodatku musiała się jeszcze przeprawić przez zwalisko kamieni, sięgające niemal sklepienia. Skaleczyła sobie kolano. A droga zdawała się nie mieć końca.

Alicja czuła dziwny niepokój. Nie potrafiłaby wyjaśnić dlaczego, ale miała wrażenie, jakby ktoś szedł za nią krok w krok, bezgłośnie i ostrożnie skradał się, żeby zniemacka zadać jej cios w plecy.

Kiedy ujrzała przed sobą zakręt, szybko schowała się za skalnym występem i przywarła plecami do ściany. Ale nic nie usłyszała. Jak gdyby prześladowca przejrzał jej manewr i również się przyczaił.

Alicja wysunęła się zza skały i poświeciła świeczką. Świeczka paliła się jednak tak nikłym płomieniem, że było coś widać zaledwie na dwa kroki. Ale teraz ten, kto śledził Alicję, na pewno zobaczył płomyk i wie już, gdzie jest jego ofiara.

Zrozumiawszy to, Alicja szybko ruszyła naprzód.

Biegła, ale biegła powoli, nogi ślizgały się jej po kamieniach, raz o mało nie wpadła w jakąś dziurę, A kroki prześladowcy, chociaż lekkie, rozlegały się coraz bliżej...

I kiedy Alicja zobaczyła przed sobą kolejną przeszkodę, właściwie już się przestała bać. Kiedy człowiek jest tak zmęczony, że całkiem opadł z sił, nie odczuwa już nawet strachu.

Tuż przed nią leżała w poprzek przejścia olbrzymia stonoga. Przednimi szponiastymi łapami rozszarpywała nieszczęsnego pająka, którego najwidoczniej pochwyciła, kiedy uciekał przed Alicją.

Na widok dziewczynki stonoga natychmiast odrzuciła pająka i wolno zaczęła się podnosić. Podnosiła się coraz wyżej i wyżej, jej ciało już do połowy zawisło nad Alicją, a niezliczone szponiaste macki przymierzały się, by pochwycić nową ofiarę.

– Nie boję się ciebie – powiedziała Alicja zmęczonym głosem. – Zejdź mi z drogi, potworze!

Ale w przeciwieństwie do pajaków stonoga nie reagowała na strach. Po prostu zobaczyła zdobycz i całkiem zwyczajnie miała ochotę ją pożreć.

Kiedy Alicja zrozumiała, że stonoga za chwilę ją dopadnie, zaczęła się cofać. I w tej samej chwili zamarła. Przypomniała sobie o prześladowcy, który czaił się z tyłu.

Nie miała dokąd uciekać.

„Skoro tak – zdecydowała Alicja – muszę iść dalej przed siebie”.

Stonoga nie spodziewała się, że to żalosne dwunogie stworzenie tak gwałtownie ruszy w jej stronę, i odruchowo odchyliła głowę, lecz w mig zorientowała się, że dwunogie stworzenie jest niegroźne, i błyskawicznym ruchem rzuciła się na Alicję.

Alicja zaczęła walić pięściami w twarde śliski brzuch stonogi i poczuła, jak ostre pazury rozrywają jej pizamę. Szamotała się w drapieźnych objęciach potwora. Świeca wypadła jej z rąk i zgasła...

Nagle pieczarę rozświetliły jaskrawe szafirowe promienie.

Wycelowane w stonogę, odrzuciły ją do tyłu, przygwoździły do ściany i rozerwały na kawałki.

Alicja wyczerpana osunęła się na ziemię.

– Już po wszystkim – usłyszała za sobą. – Zaraz będzie wyjście.

Był to głos staruszki. A więc to ona szła za Alicją? I wcale jej nie ściagała, lecz chroniła.

– Dziękuję – wyszeptała Alicja.

– Spiesz się – rzekła staruszka. – Masz niewiele czasu.

Alicja wstała, odszukała po omacku świecę, która od razu zapłonęła w jej ręku.

Alicja odwróciła się. Ale nikogo już tam nie było.

Teraz ruszyła biegiem. A może tylko zdawało jej się, że biegnie?

Mniej więcej po stu krokach ujrzała przed sobą światło.

Po wyjściu z rozpadliny znalazła się na skraju rozległego krateru. Nad nią rozpościerało się

fioletowe niebo, po którym, prześcigając się nawzajem, sunęły dwa słońca. Wiatr w podmuchach przy wiewał bryzgi deszczu. W dole koło jeziora majaczyły punkciki szarych krążków. Spod kamienia bojaźliwie wyzierały żółte oczy pająka.

Alicja opadła na kamienie – wydawały się jej ciepłe i nieomal miękkie. Pewnie od razu zasnęłaby ze zmęczenia, ale serce tak jej waliło, że nie było mowy o śnie. Zresztą nie wolno jej spać... musi iść. Tylko dokąd? Jak znaleźć swoich? Jak znaleźć Gaj-do? Jak dać znać o sobie? Alicja spróbowała się podnieść, ale zaraz osunęła się z powrotem na kamienie.

STÓJ, JESTEŚMY SWOI!

– Nie denerwuj się – powiedziała staruszka, która wyszła ze skalnej rozpadliny w ślad za Alicją – możesz chwilę odpocząć.

Stara wydobyla spomiędzy fałdów brudnej, pomiętej sukni długą czarną fajkę, potem kapciuch i nabiła fajkę tytoniem. Palce miała długie, żółte, silne, z krótko obciętymi paznokciami. Alicja przyjrzała jej się i nagle uświadomiła sobie, że staruszka wcale nie jest taka sędziwa, jak to wydawało się w ciemnej jaskini. Była raczej kobietą w podeszłym wieku. Twarz miała pooraną głębokimi zmarszczkami, kąciki mocno zaciśniętych warg opuszczone, oczy wielkie i smutne. Proste, czarne, lekko posiwiałe włosy były splątane i opadały na ramiona nierównymi kosmykami.

– Odpocznij – rzekła kobieta. – Mamy pięć minut.

– Jakie tutaj wszystko jest dziwne – powiedziała Alicja, oddychając z ulgą. Faktycznie potrzebowała akurat pięciu minut, żeby dojść do siebie. – Każdy podaje się za kogoś innego, niż jest w rzeczywistości. Pani również.

– Mylisz się – zaprzeczyła kobieta. Zaciągnęła się głęboko i wypuściła kóleczka dymu, które popłynęły w górę, ku fioletowemu niebu. – Pomogłaś mi, dziewczynko – ciągnęła dalej. – Jestem ci bardzo wdzięczna.

– W jaki sposób ja mogłam pani pomóc?

– Dzięki tobie pojęłam, że rozsądek to nie najważniejsze na świecie. Jeśli uważasz, że musisz iść, żaden pajak cię nie przerazi. Na zdrowy rozum absolutnie nie powinnaś była iść. Wszystko przemawiało przeciwko temu. A jednak poszłaś.

– Gdyby nie pani, ta stonoga by mnie pożarła – odezwała się Alicja.

– Żadna sztuka walczyć z potworem, jeśli masz w ręku blaster. To każdy potrafi. Prawdziwa odwaga to ruszyć do walki tylko ze świecą w ręku. Możesz wstać?

– Mogę.

– Więc chodźmy. To niedaleko. Musimy dostać się do wnętrza statku.

Kobieta szła pierwsza. Ostrożnie podkrađła się tuż na skraj krateru i cicho przywołała Alicję. Ujrzały w dole łańcuch automatycznych wózków. Wózki z trudem przestawiały metalowe nogi, brnąc przez zwały głazów do zamaskowanego statku.

Na niektórych wózkach siedzieli strażnicy w uśmiechniętych maskach i kolorowych, wesolutkich ubraniach. Nawet automaty, które strażnicy mieli przewieszane przez ramię, były pomalowane w niezapominajki.

– Im było gorzej i głodniej – rzekła stara – tym weselej ozdabialiśmy naszą nędzę. Nawet na pogrzebach trzeba było tańczyć z radości...

Mówiła do siebie, nie patrząc na Alicję.

– Jak dostaniemy się na statek? – spytała Alicja.

– Nic się nie martw.

– Przede wszystkim muszę uwolnić moich przyjaciół – powiedziała Alicja.

– Wiem. I tak zrobimy. Będą mi potrzebni. „Dziwne, jak zmieniają się ludzie – pomyślała Alicja.

– Kto by w niej teraz rozpoznał tę apatyczną, mamroczącą staruszkę z lochu”.

Tuż nad skałami ponad potokiem wózków przemknął flajer. Między dwoma robotami siedział w nim Wieczny Młodzieniec.

– Spieszno mu – zauważyła stara. – Ale się uwija. Dobrze, że na razie odleciał.

Na niebie pojawił się świetlisty meteor. Stara śledziła go wzrokiem, póki nie zniknął.

– Chodźmy – rzekła. – Czasami lepiej zginąć, spłonąć jak meteor, niż tlić się tysiąc lat jak zbutwiałe drewno.

Szybko zeszły na dno krateru, chowając się między głazami, kiedy obok przechodził patrol robotów. Luk statku, wyglądający pozornie jak wejście do pieczary, był otwarty. Jeden za drugim zniknęły w nim wózki z łupami.

Z płaskiej torby, przewieszanej przez ramię, kobieta wyjęła dwie uśmiechnięte maski. Jedną założyła sama, drugą podała Alicji.

Maska opinała ciasno twarz, była jakby z gumy.

Na znak staruszki schowały się za wielkim głazem przy ścieżce. Minał je wózek z dwoma strażnikami.

Następny, załadowany skrzynkami, szedł bez straży.

– Wskakuj! – rozkazała kobieta.

Pierwsza wskoczyła na skrzynie i wyciągnęła rękę, pomagając Alicji.

Podczas gdy wózek w równym tempie, maszerował w stronę statku, kobieta rozsunęła skrzynie, tak że wystawały sponad nich tylko dwie uśmiechnięte maski. Strażnicy przy luku statku obojętnie prześlizgnęli się wzrokiem po maskach. Zresztą nawet gdyby się im przyjrzeni, nie rozpoznałiby, kto się pod nimi kryje, bo na planecie panował półmrok, a wszystkie maski były jednakowe.

Zaledwie wózek znalazł się w korytarzu, kobieta zeskoczyła na ziemię, a w ślad za nią Alicja.

Kobieta pewnym krokiem szła przed siebie. Doskonale orientowała się w rozkładzie całego statku.

Alicja poznała korytarz prowadzący do ich sali.

Z naprzeciwka nadchodził właśnie doktor. Dobrze znany Alicji doktor w masce. Ten sam, który prowadził ją na przesłuchanie.

Na widok Alicji i kobiety zatrzymał się. Był zaskoczony. Nawet jeśli nie znał Alicji, to jej towarzyszka, obdarta i potargana, wzbudziła w nim podejrzenia.

Powiedział coś w niezrozumiałym Alicji języku.

Kobieta odpowiedziała mu, nie zwalniając kroku.

Odpowiedź nie uspokoiła doktora. Podniósł rękę do górnej kieszeni, lecz staruszka błyskawicznie wyciągnęła blaster i zielony promień trafił doktora w serce. Upadł.

– Zabiła go pani! – krzyknęła Alicja.

– Już dawno należało to zrobić – odparła kobieta pochylając się i zrywając z twarzy doktora maskę.

Alicja mimo woli zatrzymała się i spojrzała na doktora. Była to twarz starego człowieka z małym wąsikiem nad górną wargą. Antypatyczna twarz.

– Masz na swoim sumieniu niemało zbrodni, Mezalionie – rzekła staruszka. – Poniosłeś zasłużoną

karę.

Alicja ruszyła dalej. Nie chciała patrzeć na martwego człowieka.

– No proszę, przestraszyła się – powiedziała kobieta. – A ja myślałam, że ty niczego się nie boisz.

– Boję się bardzo wielu rzeczy – odparła Alicja. – Boję się ciemności, piorunów i dużych pajaków...

– Czego? – Kobieta wybuchnęła śmiechem. – Pajaków? Dużych?

– Gdybym zobaczyła pajaka wielkości pięści, umarłabym ze strachu.

Kobieta zanosila się od śmiechu, aż drżały ściany.

– Niezły żart!

A jednak Alicja nie żartowała. Naprawdę wcale nie była taka odważna. Była całkiem zwyczajną dziewczynką. I bała się ciemności.

Na krześle przy drzwiach do sali drzemała pielęgniarka.

Alicja szeptem poprosiła:

– Niech jej pani nie zabija, błagam.

– Nie obawiaj się – odrzekła staruszka.

Na dźwięk jej głosu pielęgniarka ocknęła się.

– Ani słowa. Ręce do góry – rozkazała kobieta. – I dziękuj losowi, że Alicja prosiła, żeby cię nie zabijać.

– Ja... ja... – bełkotała pielęgniarka.

– Milczeć!

Jednym ruchem ściągnęła pielęgniarce maskę, wyrwała jej z kieszeni mikrofon i rzuciła na podłogę.

– Merke? – zdziwiła się. – Nie sądziłam, że przylecisz z nim tutaj.

– Zmusił mnie – odparła pielęgniarka.

Okazało się, że pod maską kryła się pulchna, dobroduszna twarz z maleńkimi czarnymi oczkami.

– I ty uległaś?

– Chciałam żyć. Wszyscy chcą żyć. Pani głos wydaje mi się znajomy... Ale przecież pani już nie ma na tym świecie...

– No tak – rzekła kobieta. – To oczywiste. Nie ma mnie na świecie.

Energicznym ruchem zdjęła maskę.

– Och! – wykrzyknęła pielęgniarka i rzuciła się na kolana. – Proszę o zmiłowanie, najjaśniejsza pani!

– Milczeć. Nie widziałas mnie. Wchodzimy do sali!

– Tam są niebezpieczni jeńcy. O mało nie wyważyli drzwi.

– Nie zwykłam powtarzać rozkazów.

Pielęgniarka szybko wybrała kod na pulpicie koło drzwi.

– Gotowe – wyszeptała.

– Zostań tu i nie próbuj uciekać!

– Zrobię wszystko, co pani rozkaże – odparła pielęgniarka.

– Czy mogę? – spytała Alicja, otworzyła na oścież drzwi i wpadła do środka. – Chłopaki! – krzyknęła od progu.

Chciała zawołać „Jesteśmy wolni!”, ale nie zdążyła nawet otworzyć ust, bo w tym momencie

skoczyło na nią jakieś straszne zwierzę i zważyło ją na podłogę. Padając Alicja uderzyła głową o nogę łóżka, ale nie straciła przytomności i nawet zdołała się zorientować, że to żadne zwierzę, tylko Paszka, który czatował na kogośkolwiek, kto wejdzie do pokoju. Tymczasem Arkasza i Tadeusz dali susa za drzwi i puścili się pędem przez korytarz.

Ale nie uciekli daleko. Staruszka miała świetny refleks. Cofnęła się szybko i błyskawicznym ruchem podstawiała nogę Arkaszy, który wywinął kozła i poleciał prosto w mocne objęcia pielęgniarce.

Tadeusz, który odbiegł już jakieś pięćdziesiąt kroków, zatrzymał się i popędził z powrotem – nie mógł przecież opuścić w biedzie swoich przyjaciół. W tym czasie Alicja zdążyła się podnieść, odepchnęła zbaraniałego Paszkę i zawołała do Tadeusza:

– Stój, jesteśmy swoi! Swoi, rozumiesz! To ja, Alicja!

OPOWIEŚĆ IMPERATOROWEJ

Paszka, kiedy już doszedł do siebie, powiedział nadąsany:

– Mogłabyś krzyczeć trochę ciszej.

Był niezadowolony, że jego wspaniały plan spalił na panewce i że teraz nie on, Paszka, jest główną postacią dramatu. Bo Paszka zawsze lubił grać pierwsze skrzypce.

– Słuchajcie uważnie – władczo odezwała się staruszka. – Powiem wam, co macie robić. Pan, młody człowieku – zwróciła się do Tadeusza – odnajdzie w korytarzu ciało złoczyńcy, którego ukarałam śmiercią. Niech pan weźmie jego maskę i fartuch.

– Tadeusz skinął głową i wyszedł.

– O was już słyszałam – zwróciła się kobieta do chłopców. – To wy jesteście Arkasza i Paweł, przyjaciele Alicji. Ja nazywam się pani Moud. Znam tajemnicę Wiecznego Młodzieńca. Tajemnicę, która go zgubi. W tym celu muszę zerwać mu z twarzy maskę.

Wrócił Tadeusz. Był w fartuchu i masce doktora. Nawet Irija by go nie poznała.

– Dobrze – orzekła pani Moud. – Musi pan mi pomóc dostać się w pobliże imperatora. Przebiorę się za siostrę Merke, pan – za doktora Mezaliona, a wy będziecie jeńcami.

Pani Moud zachowywała się tak, jakby nie ulegało wątpliwości, że to ona tu dowodzi. I wszyscy jej słuchali. Nawet Paszka.

– Dlaczego trzeba zdjąć z niego maskę? – spytała Alicja.

Staruszka popatrzyła uważnie na Alicję, zastanawiając się, odpowiedzieć czy nie. Wreszcie rzekła:

– Odpowiem ci, ponieważ gdyby nie ty, nie zdecydowałabym się. Twoja odwaga, Alicjo, może odmienić los naszej planety.

– A co takiego zrobiłaś? – spytał szeptem Arkasza.

– Sama nie wiem – powiedziała Alicja.

– Pewnie nic nadzwyczajnego – odezwał się Paszka, który chciał sam dokonywać wszystkich wielkich czynów.

– Nic nadzwyczajnego... – powtórzyła pani Moud. – Może, jeśli pozostanę przy życiu, ty, Alicjo, otrzymasz tytuł dziedzicznej księżniczki i będziesz miała prawo stłuc każdego głupiego chłopca, który kwestionuje słowa imperatorowej Moud.

– O, nieba! – zawołała pielęgniarka Merke. – O, groźna imperatorowo!

– Milczeć – przerwała jej pani Moud. – Posłuchajcie. Przez wiele lat rządził naszą planetą mój mąż, imperator Sidon Trzeci. Wszystkie narody żyły w pokoju. Ale nie mieliśmy dzieci. I kiedy czterdzieści lat temu przy jednym z księżyców naszej planety rozbił się nieznan statek, na którego pokładzie znaleźliśmy cudem ocalałego chłopca, uznaliśmy, że to znak niebios. Usynowiliśmy chłopca i traktowaliśmy go jak księcia, następcę tronu. Daliśmy mu na imię Zewaster. Niestety, mimo

że staraliśmy się go wychowywać w umiłowaniu dobra, z upływem czasu stawał się coraz bardziej arogancki, niemoralny, okrutny, otoczył się pochlebcami i szubrawcami i za późno zrozumieliśmy, że tego człowieka nie wolno dopuszczać do władzy. Pięć lat temu mój mąż z ciężkim sercem oznajmił księciu swoją decyzję. Zewaster wpadł w gniew i skrytobójczo zabił imperatora.

– To niemożliwe! – wykrzyknęła pielęgniarka Merke. – Nasz imperator został zabity? Więc kto nami rządzi?

– Uzurpator Zewaster – odparła pani Moud. – Mój niegodziwy przybrany syn. Żeby ukryć zbrodnię, rozkazał w imieniu zamordowanego imperatora, aby wszyscy mieszkańcy planety nosili odtąd maski z przyklepionym uśmiechem, żeby w krąg nie było ani jednej smutnej czy posępnej twarzy. Nasze narody przywykły ufać imperatorowi, więc podporządkowały się bez sprzeciwu. Wprawdzie niekiedy żartowano, że jest to jego starcze dziwactwo,

– Rzeczywiście – potwierdziła pielęgniarka Merke. – Wiele osób tak uważało.

– Byłam wtedy w podróży. Po powrocie do pałacu, dowiedziałam się o tym dziwnym zarządzeniu. Zaskoczona, od razu skierowałam kroki do sali tronowej, gdzie oczekiwał mnie imperator. Pamiętam to dziwne uczucie, gdy zamiast znajomych twarzy widziałam w pałacu tylko jednakowe głupie maski. Na całym dworze, w całym mieście byłam jedynym człowiekiem bez maski. Kiedy weszłam do sali tronowej, wystarczyło mi jedno spojrzenie, aby natychmiast pojąć: to nie mój mąż zasiada na tronie. „Kim jesteś?” – spytałam. „Prawowitym imperatorem” – odrzekł Zewaster. Wtedy po głosie rozpoznałam swojego przybranego syna. „A gdzie ojciec?” – spytałam. Roześmiał się i otaczające go maski przypocholebnie mu zawtórowały. „Imperator opuścił nas – powiedział. – Ale dobro ojczyzny wymaga, aby wszyscy myśleli inaczej”.

– O zgrozo! – wykrzyknęła Merke. – I nikt o tym nie wiedział!

– Oprócz jego popleczników do tej pory nikt o niczym nie wie – rzekła imperatorowa. – Zaproponował mi, abym grała przy nim swoją rolę – żony imperatora. Z oburzeniem oświadczyłam mu na to: „Wolę śmierć niż życie w takim fałszu!” On zaś roześmiał się i powiedział: „Wybacz, mamu, w maskach wszyscy są tacy sami. Twoją rolę może grać byle służąca. Czy ty żyjesz, czy nie – nikogo to teraz nie obchodzi. Wybieraj więc – życie albo śmierć”.

Wybrałam śmierć, ale on nie pozwolił mi nawet umrzeć. Rozkazał wtrącić mnie do więzienia. A kiedy aresztował kogoś z moich przyjaciół lub krewnych, na ostatni dzień życia zawsze umieszczał go w mojej celi. Spotykałam więc moje siostry, swoich starych przyjaciół, wielkich uczonych i słynnych książąt, znakomitych pisarzy i wybitnych muzyków. W ostatnim dniu życia wszyscy oni dowiadywali się gorzkiej prawdy. Och, jakże błagałam go, by darował im życie. Ale mój synalek był nieprzejednany. W zabijaniu znajdował przyjemność. Pod maskami wszyscy są tak samo szczęśliwi, powtarzał. A tych, którzy w to wątpią, należy likwidować. Rozkazał wymalować w kwiatki wszystkie więzienia, w wesołe wzorki twierdze i baszty. Coraz bardziej umacniał swoją władzę i coraz cięższe stawało się życie ludzi w tym szczęśliwym państwie masek. Niebawem Zewaster powziął plan podboju innych światów. Ale jak tego dokonać? Doszły go wieści, że istnieją ponoć bazy tułaczy, gdzie można znaleźć superpaliwo i superbroń. Rozesłał więc swoich szpiegów po wszystkich planetach. Naszą planetę zaś przekształcał stopniowo w obóz wojskowy. Kraj popadał w ruinę i coraz więcej ludzi zaczynało rozumieć, że dalej żyć tak niepodobna. W obawie przed rosnącym niezadowoleniem Zewaster wydawał kolejne wyroki śmierci. Strach było odezwać się na ulicy – jedno niebaczone słowo i człowiek natychmiast zostawał ujęty i osadzony w więzieniu, skąd już nikt nie wychodził żywy. Ludzie przeklinali imperatora. Przeklinali mojego zamordowanego

męża, przeklinali mnie, ponieważ na przyjęciach i uroczystościach przy boku uzurpatora siedziała odziana w moje szaty, w masce, aktoreczka, która grała moją rolę. I komu wpadłoby do głowy, że to wszystko oszustwo, że cała nasza planeta żyje w fałszu?

A ja, zamknięta w więzieniu, chciałam chwycić wszelkie pogłoski o niezadowoleniu ludności, łudząc się nadzieją, że moje poniżenie nie jest wieczne. Postanowiłam sobie – wytrzymam wszystko, byle tylko dotrzeć chwili jego upadku. Prędzej czy później zło zawsze ponosi klęskę. Choć czasem trzeba na to bardzo długo czekać. Już tylko nienawiść utrzymywała mnie przy życiu.

– O zgrozo! – wykrzyknęła pielęgniarka Merke. – Nasza biedna imperatorowa!

– Przed trzema laty – ciągnęła swą opowieść imperatorowa Moud – agenci Zewastra donieśli mi, że baza tułaczy znajduje się na tej planecie. Bezwzględnie wysłał tutaj statek z ekipą, która miała odszukać bazę i likwidować każdego, kto zbliży się do planety.

– A więc to oni napadli na mnie – wtrącił Tadeusz.

– Tak, właśnie oni. Wkrótce potem wstąpiła we mnie nadzieja: dowiedziałam się, że w stolicy wybuchło powstanie. Naród nie wytrzymał okrutnego ucisku w imperium uśmiechniętych masek. Nawet u mnie w celi słychać było, jak grzmiały armaty. Wierzyłam, że moje wyzwolenie jest już bliskie. Ale gdy wreszcie drzwi celi otworzyły się, związano mnie i wyprowadzono na zewnątrz. Była noc. Nad miastem unosiła się chmura czarnego dymu, niebo płonęło łuną pożarów, słychać było odgłosy strzelaniny. W zamkniętym samochodzie przewieziono mnie na kosmodrom, gdzie szykowano do lotu flagowy statek kosmiczny, który przedtem nazywał się „Sprawiedliwość”, a teraz otrzymał nazwę „Powszechna radość”. Mój przybrany syn czekał już w środku gotowy do ucieczki. Kipiał z wściekłości, ale był bezsilny. Zdecydował, że przyleci tutaj i nie spocznie, dopóki nie odszuka bazy tułaczy. A potrzebna mu ona, jak się domyślacie, nie dla szczęścia narodu, przeciwnie – aby wymierzyć narodowi zemstę.

– Mnie zabrano siłą – powiedziała Merke. – Są tutaj nie tylko jego sprzymierzeńcy. Niemało i takich, którzy trafili na statek wbrew swojej woli.

– Wiem – rzekła imperatorowa. – Ludzie są słabi i brak między nimi więzi. A trudno jest w pojedynkę rozpocząć walkę. Wiadomo, że pierwsi muszą zginąć. Początkowo dziwiłam się, że jeszcze pozostawia mnie przy życiu. Lecz potem zrozumiałam – ma w tym ukryty cel. Chce, żebym była świadkiem jego zwycięstwa. Chce, żebym stała przy nim i patrzyła na jego triumf, kiedy, zagarnąwszy skarby tułaczy, odzyska władzę i zatopi we krwi naszą planetę. A potem już spokojnie będzie mógł mnie zabić...

– I siedziała pani beczynnym w tym lochu? – spytała Alicja.

– To jest właśnie moja niewybaczalna wina – odparła cicho imperatorowa. – Miałam nadzieję, że nie znajdzie żadnych skarbów. Miałam nadzieję, że stanie się cud i zerwą się do buntu ci, którzy go otaczają. Miałam nadzieję, że mieszkańcy naszej planety odnajdą uzurpatora i przylecą tutaj, aby go zniszczyć. Oczekiwałam, że przyleci tu krążownik patrolowy Wspólnoty Galaktycznej i aresztują go. Żyłam nadzieją, ponieważ bałam się śmierci. Ale bać się i czekać to oznacza nieść zgubę innym ludziom. Dopiero dzisiaj ta dziewczynka, Alicja, dowiodła mi, jak bardzo się myliłam. Dlatego ruszam do walki. Być może, ostatecznie.

Alicja pochwyciła zdziwione spojrzenie Arkaszy. Oczywiście, jako człowiek powściągliwy, nie okazał swego zaskoczenia, ale przecież to zupełnie co innego lecieć w kosmos z Alicją Sielezniewą, koleżanką z klasy, a co innego – dowiedzieć się, że ta zwyczajna dziewczynka dokonała jakiegoś niezwykłego czynu, za który chcą ją mianować księżniczką. Paszka też milczał, ale on nie patrzył na

Alicję. Jasne, że ma w nosie wszystkie trony i imperia, tylko dlaczego to nie on dokonał tego czynu? Dlaczego?!

– Jak sądzę, uzurpator już wrócił i poszedł do sali tronowej – rzekła imperatorowa. Rozumiecie teraz, dlaczego muszę zerwać mu z twarzy maskę?

– Rozumiemy – w imieniu wszystkich odpowiedział Tadeusz. – Pani imperatorowa chce, aby wszyscy zobaczyli jego prawdziwe oblicze.

– Właśnie, mój przyjacielu – przytaknęła imperatorowa. – Teraz niech mężczyźni się odwrócą. Ja i Merke zamienimy się ubraniami. Księżniczko Alicjo, zezwalam, abyś pomogła mi się przebrać.

GROŻNA IRIJA

Irija przeleciała nad planetą w postaci rozżarzonego meteoru i dopiero w pobliżu skał przyhamowała. Na szczęście skafander wytrzymał gwałtowne opadanie i teraz powoli ostygła. Gaj-do przez cały czas utrzymywał łączność ze swoją panią.

– Irijo – powiedział, kiedy przelatywała nad dużym jeziorem, z którego wydobywały się i pękały w górze olbrzymie pęcherze gazu – w rejonie, dokąd lecisz, zauważyłem jakieś poruszenie. Z głębi góry przez cały czas wychodzą załadowane wózki, w wąwozie widzę ludzi. Przypuszczam, że wrogowie odnaleźli bazę tułaczy.

– Wcale mnie to nie dziwi – odparła Irija. – Należało się tego spodziewać.

– Wózki wspinają się po zboczu wąwozu, przeprawiają przez niewysokie pasmo górskie i znikają w głębi dużego krateru.

– Dziękuję – rzekła Irija. – To znaczy, że mają tam swoje stałe schronienie.

– Albo zamaskowany statek kosmiczny.

Teraz Irija leciała już bardzo ostrożnie. Wszystko się zgadza. Oto wejście do bazy. Nie opodal po wąwozie kroczy wózek załadowany kontenerami. Irija zatrzymała się tuż przy bazie, oczekując, że jeszcze ktoś stamtąd wyjdzie, ale nikt się nie pojawił.

Poleciała więc za ostatnim wózkiem. Siedziało na nim kilku bardzo jaskrawo ubranych ludzi. Nie wiadomo dlaczego wszyscy mieli na twarzach nieruchome uśmiechy.

W ten sposób, podążając za ostatnim wózkiem, Irija dotarła do wejścia na statek.

– Widzę wejście – poinformowała Gaj-do. – Słyszysz mnie dobrze?

– Znakomicie – odrzekł Gaj-do. – Ale weź pod uwagę, że kiedy znajdziesz się w środku, łączność może być gorsza.

– Wiem – odparła Irija.

W tym momencie szeroki przeładunkowy właz statku „Powszechna radość” zaczął się powoli zamykać.

Irija zrozumiała, że nie ma chwili do stracenia. Włączyła silnik skafandra na pełne obroty i jak bomba wleciała do wnętrza statku.

Dwaj strażnicy w maskach, którzy trzymali wartę przy wejściu, ledwie zdążyli odskoczyć na bok. Irija zahamowała. Żaden zwyczajny człowiek nie wytrzymałby tak gwałtownego hamowania. Ale nie na darmo Irija całe dzieciństwo spędziła na treningach. Skrzywiła się tylko z bólu i natychmiast celnym uderzeniem w słoneczny splot powaliła jednego strażnika, drugiego zaś chwyciła mocno za przegub, tak że wypuścił broń, wykręciła mu rękę do tyłu i rozkazała:

– Prowadź do szefa.

Strażnik szarpał się i bełkotał coś w nie znanym Irii języku.

– Mówię do ciebie w kosmolingwie – oznajmiła Irija. – Jeśli nie rozumiesz, to twoje chwile są

policzone.

Strażnik natychmiast pojął, czego od niego żądają, i zgarbiony powlókł się przez korytarz.

– Wyprostuj się – nakazała Irija – bo pomyślą, że prowadzę cię pod przymusem. Idziesz z własnej woli. No, wyprostuj się. I masz się uśmiechać.

– Ja zawsze się uśmiecham – warknął strażnik.

– Jesteś w masce?

– Wszyscy są w maskach.

– Posłuchaj, niedawno przywieziono tutaj jeńców z Ziemi. Gdzie oni są?

– Mnie jeńców nie pokazują – odrzekł strażnik. – Wieczny Młodzieniec trzyma ich dla siebie.

– Gdzie?

– W sali szpitalnej – odparł strażnik.

– Prowadź mnie tam.

Strażnik niepewnie ruszył naprzód, jakby zastanawiał się nad czymś.

– Pamiętaj – przezornie ostrzegła go Irija – jeśli mnie oszukasz i zaprowadzisz gdzie indziej, może zginę, ale wcześniej zginiesz ty. Jasne?

Strażnik wolał nie prowokować losu. Najkrótszą drogą poprowadził Iriję do sali. Na szczęście nikogo po drodze nie spotkali. Irija nie wiedziała, że prawie wszyscy zebrali się właśnie w sali tronowej, gdzie Wieczny Młodzieniec miał wystąpić z przemówieniem.

– To tutaj – wskazał strażnik, zatrzymując się przed drzwiami w błękitne niezapominajki.

– Sprawdź, czy drzwi są otwarte – rozkazała Irija.

– Zamknięte – rzekł strażnik. – A kluczy nie mam.

– Zobaczymy – powiedziała Irija. Mocniej wykręciła strażnikowi rękę i popchnęła go tak, że walnął głową w drzwi. Od tego uderzenia drzwi otworzyły się na oścież, a strażnik poleciał parę metrów do przodu, plasnął brzuchem na podłogę i znieruchomiał.

Irija zobaczyła jaskrawo wymalowany pokój z dwoma rzędami łóżek. Ale łóżka były puste. Tylko na krześle pośrodku pokoju siedziała kobieta w łachmanach. Na widok Irii zerwała się i przyłożyła rękę do piersi.

– Oni wszyscy poszli – rzekła obdartuska. – Nikogo nie ma.

– Dokąd?

– Do sali tronowej.

– Proszę mi wskazać drogę.

– A imperatorowej nic się nie stanie?

– Muszę uwolnić jeńców.

– Chodźmy więc – rzekła Merke i wyśliznęła się na korytarz.

Strażnik słysząc, że drzwi się zamknęły, dźwignął się i dowlókł do przycisku w ścianie. Na statku rozległ się przenikliwy ryk syreny.

– Alarm! – zawołała Merke.

– A więc spieszymy się! – krzyknęła Irija.

– Tak jest, proszę pana – rzekła Merke, podkasła spódnicę i pobiegła przez korytarz. Była pewna, że człowiek w skafandrze to jakiś dzielny mężczyzna z załogi patrolowego krążownika Centrum Galaktycznego.

ZDEMASKOWANIE ZEWASTRA

Kiedy imperatorowa Moud i Tadeusz w szpitalnych fartuchach i w maskach weszli do sali, prowadząc przed sobą trójkę pokornych jeńców, byli tam już zebrani wszyscy ludzie ze statku.

Drugim wejściem wkroczył Wieczny Młodzieniec. Był zdenerwowany, wykręcał sobie palce, potrząsał ramionami, przebierał nogami. Tuż za nim stanęło dwóch ludzi z obstawy z automatami.

– Chwała! – wykrzyknął, wskakując na tron, żeby go lepiej widziano. Jego usta szeroko się otwierały, ręce i nogi podrygiwały gorączkowo, ale uśmiech pozostawał nieruchomy, co sprawiało niesamowite wrażenie. – Chwała mi! Chwała bogom! Zdobyliśmy skarby tułaczy! Wracamy na naszą udręczoną planetę, opanowaną przez garstkę łotrów, którzy wazyli się podnieść rękę na mnie, wiecznego i nieśmiertelnego imperatora! I niechaj godzina mego triumfu stanie się godziną zguby naszych wrogów! Hura! Chwała!

– Chwała! Hura! – podchwycili strażnicy i dworacy.

Nagle wzrok imperatora spoczął na trójce jeńców.

– Kto pozwolił przyprowadzić ich tutaj? – zapytał.

– Wybacz, najjaśniejszy panie – odezwała się imperatorowa, naśladując głos Merke. – Doktor Mezalion kazał przyprowadzić jeńców, aby zobaczyli oni chwilę twojego triumfu.

I pokłoniła się imperatorowi.

– Słusznie – zgodził się imperator. – Podprowadźcie ich bliżej. Niech padną mi do nóg. Może nawet daruję im życie. Stać mnie dziś na wielkoduszność.

Ludzie wokół rozstępowali się – jednakowe uśmiechnięte, aż przerażające maski spoglądały ze wszystkich stron.

Uzurpator niecierpliwie podskakiwał na tronie. Wreszcie zeskoczył i usiadł.

– Całujcie moje stopy – rozkazał, wyciągając przed siebie wyglansowany but. – Dalej, na kolana!

Na niedostrzegalny znak pani Moud Alicja i Arkasza posłusznie opadli na kolana. Ale uparty Paszka ani myślał klękać. Stał z dumnie uniesioną głową. I o mało wszystkiego nie zepsuł.

– Uklęknij, Paszeńka – błagała go Alicja.

– Straże! – zawołał uzurpator. – Nauczcie tego nędznika, jak należy się zachowywać!

Jeden ze strażników wyciągnął zza pasa bicz. Ale nie zdążył zrobić z niego użytku. Tadeusz był szybszy, tak zręcznie pchnął Paszkę w plecy, że ten jak długi rozciągnął się na podłodze.

– Znakomicie, doktorze Mezalion – wybuchnął śmiechem uzurpator.

Paszka usiłował się podnieść, lecz Alicja i Arkasza mocno go przytrzymali. Imperator radował się z całej duszy, patrząc, jak jeńcy czołgają się u jego nóg.

I nagle zamarł. Jego ręka uniosła się. Palec wskazywał Alicję.

– Nie! – zawołał. – To niemożliwe! Przecież ona jest w lochu!

„Wszystko stracone – zdążyła pomyśleć Alicja. – Jak mogliśmy zapomnieć, że on mnie zna!

I ani ona, ani imperator nie zauważyli, że w tym momencie domniemana pielęgniarka Merke szybko weszła na podwyższenie, gdzie stał tron.

– Posłuchajcie mnie, mieszkańcy mojej planety – przemówiła niskim władczym tonem, gwałtownym ruchem zrywając z twarzy maskę.

Szmer zdumienia przebiegł po sali. Wszyscy poznali imperatorową.

– Oszukano was! – ciągnęła dalej. – To samozwaniec.

Uzurpator wpadł w taki popłoch, że podniósł dłonie ku twarzy, jakby w obawie, że zaraz zdejmą mu maskę.

– Popatrzcie! – imperatorowa siłą oderwała Zewastrowi dłonie od twarzy.

– Nie! – wrzasnął uzurpator.

Imperatorowa szarpnęła maskę tak silnie, aż się rozerwała. I oto wszyscy ujrzeli spoconą ze strachu, bladą twarz o spiczastym nosie – pospolitą, prostacką twarz Zewastra. Po sali przebiegł okrzyk przerażenia.

– Poznajecie go? – spytała imperatorowa. – To mój nikczemny syn. Nie dość, że zamordował naszego prawowitego władcę, to jeszcze mnie wtrącił do więzienia. Moi przyjaciele – imperatorowa wskazała Alicję, która tymczasem już się podniosła – pomogli mi dostać się tutaj i wyjawić prawdę. Prawda zawsze, prędzej czy później, zwycięża, ale jeśli nie przyczynimy się do tego, może zwyciężyć za późno.

Imperatorowa nie widziała, jak przestraszona twarz uzurpatora ustępuje miejsca grymasowi nienawiści.

Zewaster uskoczył na bok.

– Strzelajcie do niej! – wrzasnął do obstawy. – Zabijcie ją! To wiedźma!

– Ja jestem wiedźmą? – Imperatorowa gestem dłoni powstrzymała Tadeusza, który chciał skoczyć jej na ratunek. – Ty nędzny robaku, po wszystkich zbrodniach, jakich się dopuściłeś, ośmielasz się mnie obrażać? Nie zasługujesz nawet na litość.

Imperatorowa podniosła rękę, w której trzymała blaster.

Nie zdążyła jednak wystrzelić. Ugodziło ją kilka jednoczesnych wystrzałów. Strzelał uzurpator. Strzelała obstawa, strzelali poplecznicy Zewastra, którzy zwartą gromadą zbili się za tronem.

– Przeklinam cię! – donośnie wykrzykiwała imperatorowa i w kompletnej ciszy, jaka zapadła wśród zdjętych grozą obecnych, osunęła się na podłogę.

– Widzicie! – ryknął z wściekłością uzurpator.

– Taki los czeka każdego, kto waży się podnieść na mnie rękę. Nie wy będziecie mnie sądzić! Ja posiadam władzę i siłę. A ich rozkazuję stracić! – wskazał na Alicję i pozostałych jeńców.

Ale wszyscy, nawet ludzie z obstawy, byli tak przerażeni, że nikt nie ruszył się z miejsca.

Alicja doskoczyła do imperatorowej i uniosła jej głowę.

– Proszę nie umierać! – rozplakała się. – Błagam, niech pani nie umiera!

– Ach tak, ośmielacie się sprzeciwiać mej woli! – Imperator skierował blaster na Alicję.

Ale raptem w drzwiach rozległ się okropny hałas i rumor.

Do środka wpadli zbici w kłęb strażnicy, wszyscy obecni rozpierzchli się w popłochu.

Niczym ognista błyskawica wpadła do sali postać w kosmicznym bojowym skafandrze.

Promień blastera wbił się w sufit.

– Nie ruszać się! – zagrzmiął mocny głos.

Na widok postaci w skafandrze nerwy zawiodły uzurpatora.

– Krążownik patrolowy! – krzyknął ktoś z sali.

– Krążownik patrolowy! – wrzasnął uzurpator i rzucił się do ucieczki. Za nim pobiegło paru jego kompanów.

– Irija! – głos Tadeusza wzbił się ponad ogólną wrzawę.

Tadeusz zerwał maskę i podbiegł do żony.

– Kochanie, tak bałam się o ciebie – powiedziała Irija. – Nic ci nie jest?

Tymczasem na sali powstało straszne zamieszanie. Jedni rzucili się w pościg za uzurpatorem, inni zwartą gromadą otoczyli leżącą na podłodze imperatorową.

Imperatorowa otworzyła oczy i zobaczyła obok siebie zapłakaną Alicję.

Spróbowała się podnieść i od razu dziesiątki rąk pospieszyły jej z pomocą.

Imperatorowa Moud położyła słabnącą dłoń na głowie Alicji i rzekła:

– Opuszczając was, przekazuję całą władzę nad planetą tej dziewczynce. Ona okazała się silniejsza i dzielniejsza od nas wszystkich. I jestem dumna z tego, że los mnie z nią zetknął. Przysięgnijcie jej zatem wierność!

– Przysięgamy... – przebiegło przez salę. – Przysięgamy!

Ludzie zrywali maski i deptali je.

– Powiem wam, czego dokonała... – nagle głos imperatorowej załamał się. Głowa jej opadła.

– O, biada nam! – odezwał się czyjś głos. – Imperatorowa nie żyje!

Po sali przeszedł jęk rozpacz. Raptem statek drgnął cały od wstrząsu.

Hałas w sali natychmiast ustał. Ludzie nadśluchiwali zaniepokojeni, co się stało. Do sali wbiegł jeden z tych, którzy ścigali uzurpatora.

– Samozwaniec uciekł! – zawołał. – Na kutrze ratunkowym.

– To bardzo niedobrze – rzekł starszy człowiek, który stał pochylony nad imperatorową. – Na pokładzie kutra jest zapas paliwa i broń.

– Gaj-do – powiedziała Irija do mikrofonu. – Słyszysz mnie?

– Słyszę wszystko – odparł statek.

– Od naszego statku odłączył się właśnie kuter ratunkowy. Znajduje się w nim niebezpieczny przestępca. Rozkazuję ci – leć za nim, zachowując bezpieczną odległość. Musisz ustalić, dokąd wziął kurs. Zrozumiałeś mnie?

– Widzę kuter ratunkowy – zameldował Gaj-do.

Ale jego głos słyszała tylko Irija. Setki ludzi na sali w milczeniu patrzyło na nią. Wtedy Irija włączyła głośnik na cały regulator.

– Czy uda ci się nie stracić go z pola widzenia?

– Leci z dużym przyspieszeniem. Przypuszczam, że wykorzystuje paliwo tułaczy. W otwartym kosmosie nie doścignę go.

– Wymyśl coś, Gaj-do, mój miły, wymyśl! – powiedziała Irija.

– Podjąłem decyzję – odrzekł Gaj-do. – Idę na zbliżenie na kontrkursie.

– Czyś ty oszalał?

– Nie mam innego wyjścia – odparł Gaj-do. – Strzelają do mnie.

– Gaj-do, uważaj na siebie!

– Kieruję uderzenie w zespół silnikowy kutra – oznajmił Gaj-do. – Zamierzam unieruchomić go.

– Gaj-do, nie rób tego! – wykrzyknęła Irija. – Zginiesz!

– Żegnaj, moja kochana Irijo – powiedział Gaj-do. – Pozdrów ode mnie Alicję i jej przyjaciół.

Polubiłem ich. Jaka szkoda, że nie weźmiemy razem udziału w wyścigu!

Na sali panowała głęboka cisza. Ludzie bali się nawet oddychać.

– Włączcie ekrany! – zawołał ktoś. – Włączcie ekrany!

Pod sufitem sali tronowej zapłonęły ekrany z oglądem zewnętrznym. Na jednym ukazało się niebo, po którym mknęły zbliżając się do siebie dwie gwiazdki. Widać było, że jedna z nich naciera na drugą. Ta druga zmienia kurs starając się uniknąć zderzenia. Ale pierwsza, jak natrętna osa, znów się przybliża.

– Boisz się mnie, uzurpatorze! – rozległ się głos Gaj-do. – Chciałbyś jeszcze pożyć!

I oto druga gwiazdka – widać, Zewastra rzeczywiście zawiodły nerwy – gwałtownie zawróciła i poczęła się obniżać. Gaj-do nie odstępował uzurpatora.

W grobowej ciszy wszyscy obserwowali, jak gwiazdki stają się coraz większe, błyskawicznie zbliżając się ku planecie.

Na drugim ekranie pojawiła się kamienista równina.

Właśnie tam zlądowały oba statki. Najpierw Gaj-do, rozbijając się na kamieniach, chwilę potem, niczym zaszczuty wilk, kuter ratunkowy uzurpatora. Otworzył się luk i szybko wyskoczył z niego mężczyzna.

– Ucieknie – przebiegł przez salę szmer. – Trzeba go ścigać.

– Jest niegroźny – powiedziała Irija. – Schwytamy go.

Uzurpator biegiem oddalał się od kutra ratunkowego. W ręku trzymał blaster.

I nagle wszyscy zobaczyli, jak zza kamienia wytoczył się szary krążek.

Uzurpator zatrzymał się, pogroził krążkowi blasterem. Ale krążek nie był sam – oto już setki krążków toczyło się ze wszystkich stron, prosto na Zewastra.

Promień blastera a smagał krążki, lecz zza kamieni wytaczały się coraz to nowe. W końcu promień blastera przygasł, uzurpator odrzucił broń i zaczął uciekać.

– One go zabijają? – spytał Paszka.

– Jak mogą go zabić? – powiedział Arkasza. – Przecież to tylko krążki.

Ale krążki zdecydowanie i zawzięcie ścigały tyrana.

Dobiegł do brzegu jeziora. Krążki szarą masą pokryły brzeg.

– One się mszczą – powiedziała Alicja. – Mszczą się za Dikodyma i jego dzieci.

Uzurpator wbiegł do jeziora. Myślał już, że jest bezpieczny, ale natychmiast pierwszy szereg krążków również zanurzył się w wodzie i popłynął za nim.

Uzurpator wchodził do wody coraz głębiej i głębiej. W końcu popłynął.

Krążki zatrzymały się, jakby zrezygnowały z dalszego pościgu. I raptem wszyscy zrozumieli, dlaczego.

Przed płynącym imperatorem wytrysnął ogromny, wielometrowy gejzer. Słup wody poderwał aż pod niebo wyglądające z daleka jak miniaturowe ciało imperatora, po czym opadł z powrotem.

Tylko kręgi rozeszły się po jeziorze...

– Koniec – surowo powiedziała Irija. – Już nie będziemy musieli go ścigać.

W sali narastał zgiełk. Po raz pierwszy od wielu dni ludzie mogli patrzeć na siebie spokojnie, bez strachu. Niektórzy chowali wzrok, inni posepniali, niektórzy byli poważni, inni okazywali radość.

Nagle, mimo wrzawy, usłyszano dobiegający z daleka głos:

– Irijo... Irijo, ja żyję, Czekam na ciebie...

CO TY NAROBILAŚ!

Tego samego dnia Alicja i jej przyjaciele polecili na brzeg jeziora, w którym utonął uzurpator Zewaster. Na brzegu nie było ani śladu krążków – lękały się ludzi i nieprędko pewnie zbliżą się do nich bez obawy.

Gaj-do, rozbity podczas lądowania, leżał na brzegu. Pod wpływem uderzenia oderwała się łąta wstawiona na Ziemi.

– Uciekłem się do podstępu – cicho powiedział Gaj-do. – Był przekonany, że go staranuję. Ale ja przecież jestem tylko robotem. Nie mogę zrobić człowiekowi krzywdy, nawet jeśli jest tak podły.

– Ale on nie wiedział o tym – odezwał się Arkasza. – I przestraszył się. Inaczej byś go nie dogonił.

– Wybaczcie, przyjaciele – rzekł Gaj-do – że tak niezdarnie wylądowałem. Spieszyłem się...

– Biedny staruszek – powiedział Tadeusz. – Jedyne pociecha, że zginie jak bohater.

Irija, w obcisłym czarnym, lśniącym kombinezonie, zgrabna i energiczna, w niczym niepodobna do tej delikatnej, pięknej kobiety, którą Alicja spotkała w lesie w okolicach Wrocławia, odparła:

– Jeszcze zobaczymy.

W jej głosie dźwięczała stal. I Alicja pomyślała, że nawet Tadeusz musi czuć teraz pewne onieśmienie wobec żony – nigdy przedtem nie widział jej takiej.

– Idźcie się przejść – rzekła. – Zawołam was.

Ale nikt się nie ruszył. Stanęli z tyłu i patrzyli na Gaj-do.

Wszystkim było smutno. Ale każdemu inaczej. Alicji żal było stateczku, który tak chciał latać, tak kochał swoją panią i był daleko bardziej człowiekiem niż ten łajdak Zewaster. Paszka złościł się, że przepadł mu wyścig. A przecież był prawie pewien, że zwycięży. Arkasza czuł ogromny żal, że uległ zniszczeniu wspaniałej wynalazek – drugiego takiego nigdy już nie uda się skonstruować. Tadeusz zaś niepokoił się – a jeśli ta nagła, niepojęta przemiana ukochanej Ireczki, okaże się nieodwracalna? Czy zdoła pokochać tę obcą kobietę, która, jak się okazało, tkwiła w jego łagodnej Irii? Pod wpływem tych trwoźnych myśli, zapytał:

– Ciekawe, jak tam nasza Wandeczka?

Na co Irija zupełnie spokojnie odparła:

– Nie martw się, jest z twoją mamą.

To mówiąc, weszła do wnętrza Gaj-do.

Blisko dwie godziny Irija spędziła na pokładzie stateczku. Nikt się zbyt nie oddalał – a nuż trzeba będzie w czymś pomóc. Czasami ze środka dobiegały westchnienia – Gaj-do cierpiał strasznie, a Irija Gaj, badając jego uszkodzenia, ani trochę go nie oszczędzała.

Alicja poszła nad jezioro. Co dziesięć minut wytryskiwała z niego wysoka fontanna wody i zaraz z hukiem opadała. Mały szary krążek wysunął się spoza kamienia i ostrożnie poturlał się ku Alicji,

Alicja zamarła, bała się nawet drgnąć, żeby nie spłoszyć malca, ale zza kamieni dobiegł ostrzegawczy gwizd i krążek jak strzała potoczył się z powrotem.

Nadszedł Paszka. Usiadł obok na kamieniach.

– Gadałem tu z chłopakami – oznajmił. – Mogą nam dać kuter ratunkowy. Boję się tylko, że wielkiej szybkości nie rozwinię.

– Co to za chłopaki? – spytała Alicja.

– Z załogi „Powszechnej radości”. Zapraszali mnie do siebie na staż.

– I co, czyżbyś się nie zgodził? – spytała Alicja.

Paszka wyczuł w jej głosie ironię, więc obojętnie powiedział:

– Przecież nie będę im tłumaczył, jaką mam zacofaną matkę.

– Tak – przyznała Alicja. – Masz prawdziwego pecha. Maria Timofiejewna zupełnie nie docenia twoich zdolności.

– A ty też się udałaś – zezłościł się nagle Paszka. – Księżniczka, następczyni tronu! Jak opowiem to w klasie, pękną ze śmiechu.

– Lepiej nie opowiadaj – rzekła Alicja poważnie. – My oboje wiemy, że wszystkie te królestwa i monarchie to relikty przeszłości. Ale imperatorowa mówiła o tym poważnie, i to tuż przed śmiercią. Dla nich to nie są żarty.

– Dobra, rozumiem, nie jestem dzieckiem. Po tym uzurpatorze będą z dziesięć lat doprowadzać do ładu swoją planetę. Polecisz do nich?

– Może – odparła Alicja. – Ale dopiero wtedy, jak nastanie tam republika.

– Słusznie – zgodził się Paszka.

Umilkł, zajął się wrzucaniem kamyków do jeziora. Na przeciwległym brzegu płonęła łuna dalekiego wulkanu. Czerwone słońce szybko przemknęło wysoko nad nimi. Cienie wydłużyły się, potem zmałyły i znów się wydłużyły.

– Może jednak powiesz, czegoś ty takiego dokonała?

– Kiedy?

– Nie wykręcaj się! Przecież imperatorowa ot tak sobie nie przekazałaby ci tronu. Musiałaś coś narozrabiać.

– Nic nie narozrabiałam – odrzekła Alicja.

– Wiem, jaka jesteś skryta – powiedział Paszka. – I teraz już nigdy niczego się nie dowiemy.

– Nie skryta, tylko skromna – sprostował Arkasza, który właśnie podszedł do nich i zatrzymał się, patrząc na łunę wulkanu. – Ty byś już dawno całemu światu roztrąbił o swoim bohaterskim czynie.

– A może ty wcale niczego specjalnego nie dokonałaś? – spytał Paszka.

Wyraźnie prowokował Alicję. Zżerała go ciekawość.

Wtedy Alicja wstała i ruszyła w stronę Gaj-do. Jaki sens ma ta pusta gadanina? Przecież chłopcy nie znali imperatorowej, nie byli w lochu, nie widzieli pajaków, nie rozmawiali z perfidnym uzurpatorem. A ludzie nie są w stanie zrozumieć tego, czego sami nie przeżyli. Alicję ogarnął smutek.

Po dwóch godzinach Irija opuściła wreszcie Gaj-do i oświadczyła:

– Tutaj go nie zreperujemy.

– To znaczy, że jednak uda się zreperować? – z radością zapytał Paszka.

– Obawiam się, że już nigdy nie będzie taki, jak dawniej.

– Ale jednak można go naprawić?

– Tylko na Ziemi – odparła Irija. – Albo na planecie Wester.

– Czy to bardzo trudne? – zapytał Arkasza.

– Bardzo – odrzekła Irija. – Sami nie dacie rady.

– Jaka szkoda – powiedział z żalem Arkasza. – A pani by nam nie pomogła?

– Nie – natychmiast zareagował Tadeusz, który nie lubił siedzieć beczymnie i właśnie wrócił z pobliskiego wąwozu, gdzie zbierał okazy tutejszej flory. – Irija wraca do Wrocławia. Czeka ją tam na nas.

Irija popatrzyła na Gaj-do, potem na męża. Spojrzenie jej złagodniało i odezwała się czułym głosem:

– Tadeusz, kochanie, zrozum mnie. Bardzo skrzywdziłam mojego przyjaciela. Gdybym nie zapomniała o nim, może nic złego by się nie zdarzyło. Ogromnie Kocham cię i nasze małżeństwo. Ale zanim wrócę do domu i znów stanę się cichą, gospodarną żoną, muszę odwdziżyć się Gaj-do za wszystko, co dla nas uczynił.

Tadeusz nie zaprotestował. Był mądrym człowiekiem i zrozumiał już, że w jego żonie istnieją dwie zupełnie różne istoty. I odtąd będzie musiał żyć z tymi obiema Irijami.

– Dziękuję – wyszeptał Gaj-do.

– Irijo – odezwał się Paszka – jestem do twojej dyspozycji. Możesz żądać, żebym pracował przez okrągłą dobę, zdobywał materiały, lutował, cynował, kuł, przynosił gwoździe...

– A co to są gwoździe? – zdziwiła się Irija.

– Mówię tak w przenośni – odparł Paszka.

– Skoro w przenośni, to nie przerywaj – powiedziała Irija. Paszka od razu przygasł. Wtedy Irija leciutko się uśmiechnęła i dodała: – Oczywiście, nie odmówię waszej pomocy, moi mili, ponieważ ja również bardzo pragnę, żeby Gaj-do mógł wziąć udział w wyścigu.

PRZED WYŚCIGIEM

Po następnych trzech dniach przyleciał krążownik patrolowy. Patrol galaktyczny otrzymał najpierw sygnał alarmowy ze statku „Linia”, z którego zwariowana pasażerka porwała kuter planetarny. Kiedy krążownik był już w drodze, zaskoczył go grawigram ze statku „Powszechna radość”, gdzie pokrótce donoszono o ostatnich wydarzeniach na planecie Pięć-Cztery.

Do tego czasu Irija oraz jej pomocnicy zdołali trochę załatać Gaj-do, tak że teraz mógł przynajmniej wzbić się na orbitę. Irija i Tadeusz uprosili dowódcę krążownika, aby zgodził się zabrać Gaj-do. W ten sposób, w ładowni krążownika patrolowego, Gaj-do dostał się na Wester, skąd odbywają się regularne kursy na Ziemię.

Wszyscy pożegnali się z załogą statku „Powszechna radość”, który otrzymał już nazwę „Imperatorowa Moud”, i przyrzekli, że za rok, w czasie wakacji z całą pewnością odwiedzą nowych znajomych. Na koniec pielęgniarka Merke i starszy doradca, dowodzący teraz statkiem, odwołali Alicję na bok i wręczyli jej oficjalny dyplom, na którym złotymi literami było napisane, że zgodnie z ostatnią wolą imperatorowej Moud Alicja Sielezniewa otrzymuje honorowy tytuł księżniczki, następczyni tronu, i może w każdej chwili objąć władzę nad imperium. Alicja oczywiście zaprotestowała, ale Merke wyjaśniła, że dyplom jest tylko honorowy. „Nie wiadomo, czy mieszkańcy planety zechcą mieć nową imperatorową, choćby to była najlepsza uczennica w Moskwie. Niech Alicja zachowa sobie ten dyplom na pamiątkę. Alicja mogła go więc spokojnie przyjąć.

Na Ziemię podróżnicy trafili po dziesięciu dniach. Naturalnie, z krążownika patrolowego od razu wysłali na Ziemię grawigram. Strach pomyśleć, co działałoby się w Moskwie, gdyby zaniepokojeni rodzice udali się na Wyspy Hawajskie w poszukiwaniu swoich dzieci, których oczywiście nikt tam nie widział.

Kiedy rodzice otrzymali grawigram z krążownika patrolowego Galaktycznej Służby Ochrony, gdzie donoszono, że ich dzieci są całe i zdrowe, tylko – nie wiadomo dlaczego – znajdują się na drugim końcu Drogi Mlecznej, zareagowali na to bardzo różnie. Tata Alicji, profesor Sielezniew, rzekł do mamy Alicji, która była już bliska płaczu:

– No i widzisz, naszej córce nic się nie stało.

Matka Paszki po przeczytaniu grawigramu podarła go na drobne strzępy i oznajmiła:

– Uszy poobrywam.

Co prawda, groźba taka była w tym domu czymś zwyczajnym, a uszy Paszki jak dotąd pozostawały na swoim miejscu.

W domu Arkaszy Sapożkowa cała rodzina, od pradziadka do prawnuków, cioć, wujków i kuzynów zebrała się przy owalnym stole w jadalni i długo się naradzała, czy wyciągnąć konsekwencje w stosunku do Arkaszy, czy dać spokój. Wszyscy ogromnie hałasowali, z przejęciem dyskutując, dopóki nie odezwał się pradziadek, Ilija Borysowicz.

– Nasz chłopiec posiada żyłkę badawczą. I właśnie ta żyłka nie pozwala mu usiedzieć na miejscu. Mam głęboką nadzieję, że w naszej rodzinie znajdzie się wreszcie drugi laureat Nagrody Nobla.

Pierwszym laureatem był sam pradziadek.

Toteż kiedy podróżnicy zjawili się na Ziemi, ich rodziny już nieco ochłonęły, mogli więc bez przeszkód zająć się naprawą Gaj-do, co okazało się nie lada zadaniem.

Gdyby nie wybitny talent konstruktorski Irii Gaj i cierpliwość Tadeusza, który wziął na siebie opiekę nad córeczką, gdyby nie pracowitość Arkaszy, który całymi tygodniami nie opuszczał platformy remontowej, gdyby nie pomoc Łukjanycza i wszystkich członków szkolnego kółka technicznego, gdyby nie ofiarność Paszki, który dwukrotnie latał do Australii i raz do Szanghaju, aby zdobyć potrzebne części, wreszcie, gdyby nie troskliwość Alicji, bo tylko ona jedna potrafiła uspokoić i pocieszyć Gaj-do – gdyby nie ten wspólny tytaniczny wysiłek, Gaj-do przenigdy nie wzbiłby się w powietrze.

Cztery dni przed rozpoczęciem wyścigu Irija usiadła w fotelu pilota, włączyła pulpit sterowniczy, zapłonęły ekrany monitorów i światełka wskaźników, miarowo zahuczały silniki planetarne i wtedy Gaj-do zapytał:

– Może wyjdziemy na orbitę?

Głos mu drżał ze wzruszenia.

– Jedno okrążenie – powiedziała Irija. Członkowie załogi oraz kibice i pomocnicy zostali na Ziemi. Obserwowali próbny lot na monitorach.

Lekko, prawie niepostrzeżenie Gaj-do oderwał się od ziemi, na sekundę zawisł w powietrzu i, nabierając szybkości, ostro wzbił się do góry. Wyszedł na orbitę i wtedy Irija kazała mu wykonywać różne skomplikowane manewry. Z początku Gaj-do był do przesady ostrożny, niepewny, ale po każdym kolejnym udanym manewrze coraz śmielej zmieniał kurs, skręcał, hamował i znów przyspieszał.

– Mogę jeszcze jedno okrążenie? – poprosił Iriję uwierzywszy już w swoje siły.

– Nie – odparła. – Na pierwszy raz starczy. Dalsze próby będą robić dzieci.

– No i jak? Dobrze? Prawda, że dobrze? – spytał Paszka, podbiegając pierwszy do statku, ledwie wylądował on na szkolnym placu.

– Nie – zaprzeczyła Irija. – Cała masa braków. Statek wymaga jeszcze dużo, dużo pracy.

– Ale to niemożliwe! – wykrzyknął Paszka. – Za cztery dni wyścig!

– A więc jeszcze cztery dni trzeba pracować – podsumowała Irija. – To już wasze zadanie. Będę przylatywać tutaj co dzień i sprawdzać, co zrobiliście z programu, który wam zostawię.

– Czy mamy szansę zwyciężyć w wyścigu? – spytał Arkasza.

– Na razie nie – odparła Irija.

– Mają! – krzyknął Gaj-do.

Wszyscy się roześmiali, ale Irija rzekła poważnie:

– Szansę macie niewielką. Sądzę, że inni uczestnicy skonstruowali statki niewiele gorsze od Gaj-do. I na pewno nie były one w takich tarapatach.

– Nie martw się, Gaj-do – rzekła Alicja podchodząc do stateczku i gładząc jego rozgrzany jeszcze bok. – Postaramy się.

Odprawdzili Iriję i Tadeusza do stacji aerobusów. W drodze powrotnej Paszka oznajmił:

– Jutro nie przyjdę. Musicie poradzić sobie beze mnie.

– Coś ty znowu wymyślił? – spytała Alicja.

– Nic. Po prostu wiem, że i tak zwyciężymy.

– Paszka, mów zaraz, co kombinujesz! – zażądał Arkasza. – Intuicja mi podpowiada, że to znów jakiś twój „genialny” pomysł.

– Twoja intuicja cię zawodzi – odparł Paszka.

Co prawda, nazajutrz Paszka przyszedł na plac i do południa pracowali razem, lecz potem się ulotnił. Trzeciego dnia wstąpił tylko na pół godzinki i zaraz poleciał do Szanghaju obejrzeć statek chińskich kolegów, po czym zdążył jeszcze wskoczyć do Tbilisi. Alicja złościła się na niego, twierdząc, że Paszka bawi się w turystę. Arkasza milczał, ale także był niezadowolony.

Na dzień przed rozpoczęciem zawodów do wszystkich uczestników rozesłano wydrukowany regulamin.

Usiedli we trójkę w kajucie Gaj-do i głośno odczytali wymogi regulaminu.

– Nic nowego – stwierdził Arkasza. – Start z pustyni Gobi. Okrążenie Księżycy, powrót do wyznaczonego punktu. Silniki tylko planetarne, paliwo normalne, ciekłe. Coś taki nadęty, Paszka?

– Nadęty? – Paszka uniósł brwi. – Wcale nie, po prostu się zastanawiam. Na mnie, jako na kapitanie, spoczywa wielka odpowiedzialność.

– To prawda – zgodziła się Alicja. – Na nas wszystkich spoczywa odpowiedzialność. Dlatego proponuję pójść teraz do domu i porządnie się wyspać. Wieczorem lecimy na pustynię Gobi. Start o dziesiątej rano według czasu lokalnego.

WYŚCIG

Olbrzymia płaska kamienna równina zmieniła się tego ranka nie do poznania. Wokół doliny, skąd miały startować statki, powiewały na wietrze flagi i proporczyki. Niezliczone kioski z pamiątkami, napojami chłodzącymi, lodami cieszyły oko. Zleciało się tysiące flajerów, aerobusów, stratoliniowców. Z góry pole wyglądało, jakby było usiane biedronkami i kolorowymi motylami.

Pośrodku, na kolistej przestrzeni o średnicy trzech kilometrów stały uczestniczące w wyścigu statki.

Było ich sto sześćdziesiąt trzy.

Gaj-do, wcale nie największy, najnowszy i najładniejszy spośród nich, stał skromniutko prawie w samym środku. Irija Gaj i Tadeusz z trudnością go odszukali.

– Istny jarmark – powiedziała Irija. – To niepoważne.

Alicja, która po raz ostatni sprawdzała dysze Gaj-do, bo nieoczekiwanie zaczął narzekać, że coś go tam „swędzi”, odwróciła się na dźwięk znajomego głosu i w pierwszej chwili nie poznała dzielnej Irii.

Zobaczyła uroczą młodą kobietę w lekkiej błękitnej sukni i białej chustce, która chroniła jej głowę przed ostrym słońcem. Kobieta trzymała na rękach dziecko, które ze zdziwieniem się rozglądało, bardzo uważnie przypatrując się kosmicznym pojazdom. Z tyłu stał Tadeusz, twarz miał szczęśliwą i spokojną. O wiele bardziej odpowiadała mu właśnie taka żona.

– Oho – powiedział Paszka, który pojawił się w luku statku i zobaczył małą. – Ale się przygląda! Na pewno podejmie dzieło swojego dziadka!

– Wandeczka jest inna – wtrącił Tadeusz. – Kupiłem już jej całe mnóstwo lalek i komplet do wyszywania. Rozumiesz mnie, Pasza?

– Ja rozumiem, ale czy zrozumie to jej mama?

– Alicjo – odezwał się Gaj-do. – Sprawdź szybciej prawą dyszę indykatorem gładkości. Czuję tam jakąś chropowatość. Możemy przegrać. Skoncentruj się.

I dopiero w tym momencie Alicja zorientowała się, że stateczek nawet nie przywitał się ze swoją panią. Od samego rana był bardzo nieswój, tak obawiał się kompromitacji.

Nagle Irii załśniły fiołkowe oczy i zwróciła się do męża:

– Potrzyj małą.

Potem zdecydowanie podeszła do Alicji, wzięła od niej indyikator i zniknęła w dyszy. Tadeusz zaniepokoił się.

– Kochanie – odezwał się nieśmiało – może poradzą sobie bez ciebie?

Ale wokół panował taki łoskot, tak głośno grały orkiestry, tak donośnie nawoływali się uczestnicy wyścigu, tak potężnie ryczały poddawane ostatnim próbom silniki statków, że nikt nie usłyszał Tadeusza.

Podeszli dwaj chłopcy. Przywitali się z Paszką. Byli to jego starzy przyjaciele i rywale z Szanghaju.

– Dobry statek – powiedział Lu.

– Bardzo ładny statek – dodał Van.

Chłopcy z Chin byli bliźniakami. Bardzo podobnymi, ale nie całkiem identycznymi. Dlatego każdy mógł ich bez trudu rozróżnić. Co prawda, nikt oprócz ich mamy nie był do końca pewien, który z nich jest Lu, a który Van.

– Postaramy się was prześcignąć, Pasza.

Podbiegła koleżanka Alicji z Aten.

– Lecisz? – spytała.

– Tak.

– A mnie nie wzięli. Ciągnęliśmy w klasie losy. Wyciągnęłam pustą kartkę.

Nad olbrzymim polem rozległ się gong. Jego dźwięk jakby runął z nieba.

Zapadła cisza, ale po chwili znów się podniósł zgiełk i, z każdą chwilą się wzmagając, napełnił całe pole.

– Przygotować się do startu! – zabrzmiał głos głównego sędziego zawodów, Gustawa Verne’a, którego ciotecznym pradziadkiem był wielki autor literatury fantastycznej, Jules Verne.

Kibice i widzowie oddalali się od statków.

Irija wyskoczyła z dyszy.

– Nie skończyłam – powiedziała. – Kiedy wróćcie, dokończymy. Przecież prosiłam Paszkę, żeby sprawdził dysze. Dlaczego tego nie zrobiłeś?

Kapitan statku, który zdobył gdzieś prawdziwy mundur kapitana Dalekiego Zwiadu, za duży zresztą na niego, odwrócił wzrok i odparł obojętnie:

– Stawiam nie na to.

– Niezależnie, na co stawiasz – rzekła Irija Gaj – nic nie zwalnia cię od obowiązku wobec statku.

– Jesteś zbyt surowa dla kapitana – wtrącił Gaj-do.

Statek znał wady Paszki, ale podobnie jak inni jego przyjaciele zdolny był mu wiele przebaczyć. Tkwiła w tym jakaś zagadka. Alicja wiedziała to z własnego doświadczenia – czasami miała ochotę zabić Paszkę, a po półgodzinie już się zastanawiała, dlaczego właściwie chciała pozbawić życia tego wspaniałego chłopaka? I nie mogła sobie przypomnieć.

– Powierzyłam Gieraskinowi najdroższe, co miałam w życiu – statek Gaj-do. I nie ścierpię, żeby w ten sposób z nim postępowano! – oburzyła się Irija.

Alicję korciło, by napomknąć o ich pierwszym spotkaniu, kiedy Irija z niechęcią przypominała sobie Gaj-do, porzuconego na złomowisku. Ale po co wytykać ludziom ich słabości? Wywołuje to tylko konflikty.

Rozległ się drugi gong.

– Odprowadzający proszeni są o opuszczenie pola! – rozległ się głos Gustawa Verne’a. – Załogi zajmują miejsca w statkach.

– Paliwo sprawdziliście? – nerwowo spytała Irija.

– Jeśli chodzi o paliwo, to... – zaczął Gaj-do, ale Paszka mu przerwał:

– Z paliwem wszystko w porządku.

– Będę tu czekać – powiedziała Irija, po czym dodała: – Tak bym chciała lecieć z wami!

– Nie da rady – rzekł Paszka. – To jest wyścig uczniów.

– Przecież wiem – uśmiechnęła się Irija i w oczach błysnęły jej łzy. – Żartowałem tylko. Tadeusz, gdzie się podziałeś? Mała na pewno jest głodna.

Ale dziewczynka, którą Tadeusz trzymał na rękach, ani myślała o jedzeniu – z zachwytem wpatrywała się w Gaj-do.

– Na miejsca! – rozkazał Paszka.

– Na miejsca! – w różnych językach wołali kapitanowie z osiemdziesięciu różnych krajów.

Odprawiający i kibice opuścili już pole.

Załoga Gaj-do zajęła swoje miejsca. Paszka i Alicja w fotelach przy pulpicie sterowniczym.

Arkasza – z tyłu, w fotelu mechanika.

Po upływie pięciu minut nerwowego wyczekiwania rozległo się trzecie uderzenie gongu.

We wszystkich statkach zabrzmiał głos Gustawa Verne’a:

– Zaczynam odliczać. Start – zero! Trzydzieści... dwadzieścia dziewięć... dwadzieścia osiem...

– Jesteś gotów, Gaj-do? – spytał Paszka.

– Gotów – odparł stateczek.

– Otworzyć zawór lewego baku paliwa – rozkazał Paszka. – Dopływ działa?

– Działa – odrzekł Gaj-do.

– Siedem... sześć... pięć... cztery... trzy... dwa... jeden...

– Włączyć start – nakazał Paszka.

I sto sześćdziesiąt trzy statki jednocześnie wzbiły się w niebo nad polem kosmodromu.

ZWYCIĘSTWO I PORAŻKA

Był to wspaniały widok. Nigdy jeszcze w dziejach Ziemi nie startowało tyle statków jednocześnie.

Dziesiątki tysięcy widzów klaskało w dłonie i machało rękami.

Dziesiątki milionów telewidzów krzychało: „Hura!”

Zgodnie z regulaminem statki podczas wznoszenia się nie mogły przekraczać minimalnej szybkości, ponieważ przebiecie się tak wielkiej liczby statków przez jonosferę zagrażałoby Ziemi. Pełną prędkość można było rozwinać dopiero po wyjściu poza atmosferę ziemską.

Bardzo wiele zależało tu od umiejętności pilotów. Statki leciały do Księżyca nie w linii prostej, lecz specjalnie wytyczoną trasą, na której musiały minąć dziewięć punktów kontrolnych.

Wkrótce zwarta gromada statków zaczęła się rozpraszać. Jedni przeoczyli ten ułamek sekundy, kiedy można było włączyć silniki na pełną moc, inni nie dość precyzyjnie obliczyli moment pierwszego zakrętu...

– Wchodzimy w drugi zakręt – oznajmił Paszka.

– Weszliśmy w drugi zakręt – zameldował Gaj-do.

Stopniowo Gaj-do wysuwał się do przodu. Moskwiczenie mieli istotną przewagę – ich statek był członkiem załogi, który nie tylko wypełniał rozkazy kapitana, ale też równie gorąco pragnął zwyciężyć. Gaj-do wiedział, że Irija obserwuje z Ziemi jego lot i chciwie chłonie każde słowo komentatora. Paszka mógł się omylić, a przyrządy mogły to przeoczyć, lecz Gaj-do zawsze w razie potrzeby zdążył naprawić błąd człowieka i skorygować działanie aparatury, jeśli widział taką potrzebę.

– Pierwszy doszedł do drugiego punktu kontrolnego statek „Jangcy”, załoga z Szanghaju – usłyszeli głos komentatora, – Drugi, ze stratą trzech sekund, zbliża się grecki statek „Argo”. Ale już doganiają go dwa inne statki. Sądząc po emblematkach, jeden to statek trzeciej szkoły z Tbilisi, kapitan Rezo Cereteli, i drugi... drugi to Gaj-do. Lecą na nim moskwiczenie!

– Nieźle – orzekł Paszka. – Całkiem nieźle.

– Kapitanie – odezwał się z niepokojem Gaj-do – średnia prędkość chińskiego statku jest większa od naszej.

– Nawigatorze, słyszysz? – spytał Paszka.

– Słyszę – odparła Alicja. – Mamy szansę wyprzedzić Lu i Vana przy szóstym punkcie. Są słabsi w manewrowaniu.

– Dobrze, jeśli będą trudności, zameldujesz.

Paszka nadal zabawiał się w kosmicznego wilka. Nawet mówił basem.

– Co z paliwem? – spytał.

– Zużycie nieco powyżej normy – odparł Arkasza. – Niepokoi mnie ciśnienie w prawej dyszy.

– Irija miała rację – przypomniała Alicja. – Powinieneś być sprawdzić dyszę.

– Nie przejmuj się tym – rzekł Paszka. – Obserwuj przyrządy. Zbliżamy się do trzeciego punktu kontrolnego.

Księżyc na ekranach powiększał się i przybliżał. Widać teraz było wyraźnie liczne kratery i całe pasemko światełek księżycowych baz i fabryk.

Na trzeci punkt kontrolny Gaj-do przybył czwarty. Ale precyzyjny manewr przeprowadzony razem z Alicją pozwolił im przy czwartym punkcie, który znajdował się już niedaleko Księżyca, zdystansować gruzińską załogę. Wyprzedzali ich tylko Chińczycy i Grecy.

– A teraz najważniejsza sprawa – rzekł Paszka – wykorzystamy przyciąganie Księżyca. Pamiętasz wszystkie obliczenia, Gaj-do?

– Ja niczego nie zapominam – odparł statek.

– Możesz przyspieszyć?

– Lecimy praktycznie z maksymalną prędkością.

– Kontynuujemy lot – powiedział Paszka.

Manewr przed piątym punktem kontrolnym powiódł się znakomicie. Gaj-do zrównał się z greckim statkiem. Ale z tyłu, wyprzedziwszy gruzińską załogę, zaczęła ich doganiać czarna w żółte paski, podobna do osy, strzała z Nowej Zelandii. Tuż obok osy, niczym przywiązana do niej, mknęła czerwona tarcza drugiej czukczańskiej szkoły z internatem.

Statki leciały po cieniejszej stronie Księżyca. Tam światełka lśniły jaśniej, Ziemia zniknęła z oczu.

– Czy doganiamy „Jangcy”? – spytał kapitan Gieraskin,

– Nie – odparł Gaj-do.

– W takim razie rozkazuję: przełączyć zasilanie silnika na rezerwę.

– Po co? – zdziwił się Arkasza. – Mamy jeszcze dosyć paliwa w lewym baku.

– Nie kwestionować rozkazów! – rozzłościł się Paszka. – Przełączyć.

– Wykonuję – rzekł Arkasza.

– Wykonuję – powtórzył za nim Gaj-do.

Wszyscy zauważyli, że statek zaczął gwałtownie przyspieszać. Światełka na powierzchni Księżyca migwały coraz szybciej, załogę dosłownie wtłoczyło w oparcia foteli – wzrosło przeciążenie.

– Co się stało? – zdziwiła się Alicja.

– Tajna broń – odparł kapitan Paszka.

– Doganiamy „Argo” – oznajmiła Alicja. – Przy takiej prędkości prześcigniemy „Jangcy” za sześć minut.

– Paszka – odezwał się Arkasza – mów, co tu się dzieje?

– Nic – odparł kapitan. – Obiecałem wam, że zwyciężymy w tym wyścigu. I dotrzymam słowa.

– Żądam konkretnej odpowiedzi – powtórzył z uporem Arkasza. – Chcę zwyciężyć bez żadnych oszustw,

– Oskarżasz mnie o nieuczciwość?! – oburzył się Paszka.

– Jeszcze nie oskarżam, na razie podejrzewam.

– Nie ma tu nic niezwykłego – rzekł Paszka. – Gaj-do znalazł rezerwy prędkości.

– Niestety – rozległ się głos Gaj-do – kapitan Gieraskin niezupełnie ma rację. Ja nie posiadam żadnych rezerw. Paliwo, które zasila teraz mój silnik jest inne niż to, które zasilało go przedtem.

– Czegoś ty tam dolał? – spytał Arkasza.

– Niczego. Jakie jest, takie wykorzystujemy.

– Składu tego paliwa nie znam – powiedział Gaj-do. – Ale według wszelkich danych mogę przypuszczać, że jest to superpaliwo tułaczy.

– Paszka! – krzyknęła Alicja. – Wzięłeś paliwo z planety Pięć-Cztery?

– Tylko jeden kanister – odparł Paszka. – Na ekstranadzwyczajny przypadek. Myślałem, że wcale nie będzie potrzebne. Ale prawdziwy kapitan musi być przewidujący.

– Prawdziwy kapitan nie ma prawa być oszustem – rzekła Alicja.

– I ty też mnie oskarżasz! – obraził się Paszka.

– Zrozum, jesteśmy jakby na wojnie. Musimy zwyciężyć. Liczy na nas wielu ludzi. Pomyśl, tam, w dole, czeka Irija Gaj. Ryzykowała dla nas życie. Nie możemy jej zawieść.

– Ona ci tego nie wybaczy – rzekła Alicja.

– Ty nigdy nie narażałaś swojego życia dla innych – powiedział z gniewem Paszka. – Nie jesteś w stanie tego pojąć. Nie możesz zrozumieć, że kierowałem się uczuciem wdzięczności.

„Jak to, nie narażałam!” – już chciała krzyknąć Alicja, ale się powstrzymała. Nigdy nie opowie im o ciemnej jaskini, o pająkach i stonodze.

– Posłuchaj, kapitanie – odezwał się Arkasza.

– W regulaminie zawodów figuruje punkt: wyścig odbywa się tylko na zwykłym standardowym ciekłym paliwie. To warunek zawodów. Wszystkich obowiązują te same zasady.

– Wyprzedzamy „Jangcy” – oznajmiła Alicja.

Spojrzeli na ekran. Świetlisty punkt „Jangcy” był już z boku i z każdą sekundą pozostawał coraz bardziej w tyle. Zza skraju Księżyca ukazała się jasna Ziemia w szerokich pasmach i kłębach obłoków, zielona i niebieska.

Gaj-do pędził ku Ziemi.

Minęli piąty punkt kontrolny. Pomknęli do szóstego.

– Statek Gaj-do – rozległ się głos głównego sędziego. – Wasza prędkość przekracza wszelkie rozsądne granice. Czy na pokładzie wszystko w porządku?

Paszka nachylił się do mikrofonu w obawie, że ubiegnie go któreś z przyjaciół.

– W porządku. Włączyliśmy dodatkowe moce silnika.

– Dość tego – rzekł Arkasza wstając z fotela. – Ja, Paszka, nie gram w twoje karty. I jeśli zwyciężymy, pierwszy powiem, że zwyciężyliśmy nieuczciwie.

– Zgadzam się z Arkaszą – powiedziała Alicja.

– Co?! Bunt na pokładzie? – Paszka był dotknięty do żywego. – Staralem się dla was wszystkich!

– Głosujemy – zaproponował Arkasza.

– Głosujemy – poparła go Alicja.

Jak echo zabrzmiał głos Gaj-do:

– Głosujemy.

Nikt na Ziemi nie wiedział, co dzieje się na pokładzie Gaj-do.

Komentator ze zdziwieniem relacjonował, że statek z moskiewskiej szkoły, Gaj-do, wyprzedził po cienistej stronie Księżyca wszystkich rywali i teraz mija właśnie szósty punkt kontrolny. Drugi leci „Jangcy”. Doganiają go załogi z Grecji i Gruzji.

– Zabraniam wam głosować! – krzyknął Paszka. – Na pokładzie rozkazuje kapitan.

– Kto jest za tym, żeby bezzwłocznie przejść na normalne paliwo? – spytał Arkasza.

– Ja – powiedziała Alicja.

– Ja – powiedział Arkasza.

– Ja – powiedział Gaj-do.

– W takim razie zrzekam się funkcji kapitana – oświadczył Paszka.

Ledwie to powiedział, Gaj-do drgnął od silnego wstrząsu, zupełnie jakby wpadł na niewidzialną ścianę. Statek sam wyłączył prawy rezerwowy bak i włączył lewy. Prędkość od razu zmaląła niemal dwukrotnie, silniki musiały mieć czas, żeby przerobić otrzymaną mieszankę, która dla Gaj-do była gorsza niż zwyczajne paliwo.

– Uwaga! – mówił komentator, jego głos znakomicie słyszano na kapitańskim mostku Gaj-do. –

Coś się dzieje z moskiewską załogą. Prędkość statku gwałtownie zmaląła. Dogania go „Jangcy”.

– Gaj-do – znów rozległ się głos głównego sędziego. – Co się tam dzieje?

– Nowe wybory kapitana – wyjaśniła Alicja.

– Przypadek absolutnie bez precedensu – zdumiał się główny sędzia. – Nie można było poczekać do końca wyścigu?

– Nie – odparła Alicja. – Poza tym to nasza prywatna sprawa.

– Zgoda – rzekł Gustaw Verne. – Ale ryzykujecie utratę prowadzenia.

– Wiemy – powiedziała Alicja.

Więcej z nikim już nie rozmawiała. Obserwowała przyrządy. Zdawała sobie sprawę, że jeśli nie chcą przylecieć wśród ostatnich, wszystko teraz zależy od jej umiejętności manewrowania. Gaj-do rozumiał to równie dobrze i pomagał Alicji, jak tylko mógł.

Prędkość jego wzrosła, nie na tyle jednak, żeby utrzymać pierwszą pozycję.

Już wyprzedził ich „Jangcy”, potem gruziński statek, za którym pędziła czarno-żółta osa nowozelandzkiej załogi.

Przy siódmym punkcie kontrolnym Alicja i Gaj-do zdołali tak zręcznie przeprowadzić manewr, że dogonili Gruzinów.

Paszka siedział przy pulpicie, nieruchomym wzrokiem patrząc przed siebie, jakby w ogóle go to wszystko nie obchodziło.

Przed nimi ukazała się Ziemia. Alicja i Arkasza dokonywali cudów, żeby pokonać „Jangcy”, ale było już oczywiste, że Gaj-do nie zdoła przybyć pierwszy. Pozostawała nadzieja na drugie miejsce.

Mimo ogólnego napięcia, Arkasza nie omieszkął jednak zauważyć:

– Gdyby nie machlojki z paliwem, na pewno dogonilibyśmy „Jangcy”.

– Już to obliczyłem – odezwał się Gaj-do. – W najlepszym razie przylecielibyśmy równocześnie.

– Sami sobie jesteśmy winni – rzekła Alicja. – Wiedzieliśmy, kogo wybieramy na kapitana,

– Jaką wy macie krótką pamięć! – z goryczą powiedział nagle Paszka. – Jak szybko zapomnieliście, po co lecieliśmy na planetę Pięć-Cztery. Przecież chcieliśmy zdobyć paliwo tułaczy i wygrać wyścig. Wtedy nie mieliście nic przeciwko temu.

– Rzeczywiście – przyznała mu rację Alicja. – Lecieliśmy z takim zamiarem. Ale potem tyle się zdarzyło, że o paliwie całkiem zapomnieliśmy.

– No, nie wszyscy – zaprzeczył Paszka. – Był wśród nas ktoś, kto przez cały czas pamiętał o swoim obowiązku.

– Bzdura – powiedział Arkasza. – Wtedy jeszcze nikt nie wiedział, że będzie można lecieć tylko na zwyczajnym paliwie. A kiedy dowiedzieliśmy się o tym, paliwo tułaczy przestało nam być potrzebne. I nie odrywaj Alicji od pracy. Zaraz rozpoczyna kolejny manewr.

Przelecieli obok dziewiątego punktu kontrolnego. Teraz trzeba było zmniejszyć szybkość, żeby

wejść w atmosferę ziemską.

„Jangcy”, który leciał przed nimi, zwolnił wcześniej i odległość między nim i Gaj-do od razu zmalała.

Paszka zawołał:

– Nie zwalniam, poczekaj jeszcze! Parę chwil, oni nic nie zauważą.

– Tak nie można – powiedział Gaj-do. – To nieuczciwe.

– I ten też o uczciwości! – westchnął Paszka, po czym znów zamilkł. I milczał już, dopóki nie wylądowali.

W ostatniej chwili Gaj-do o mały włos nie stracił drugiego miejsca – czarno-żółta osa Nowozelandczyków wylądowała niemal równocześnie. Ale fotokomórka na finiszu wykazała że srebrny puchar – druga nagroda – przypadł jednak Gaj-do.

Wreszcie Gaj-do osiadł na kosmodromie, wśród statków, które jeden po drugim lądowały obok. Kiedy czekali, aż wyląduje ostatni z uczestników, Alicja zaproponowała:

– Może nie mówmy nic, że przylecieliśmy bez kapitana?

– Zgadzą się – odparł Arkasza. – W tym przypadku są pewne okoliczności łagodzące. Paszka najpierw coś robi, a potem myśli o konsekwencjach.

– Ja też się zgadzam – poparł ich Gaj-do. – Irija będzie zmartwiona, jeśli się dowie, że sprzeczyliśmy się podczas lotu.

– Paszka, wychodź pierwszy – powiedziała Alicja.

– Ani mi się śni.

– Patrzy na nas cała planeta – rzekła Alicja. – Zrób to dla Gaj-do.

– Alicja ma rację – odezwał się statek. – Może znowu będziemy głosować?

– Nie trzeba – westchnął Paszka. – Skoro tak mnie prosicie, wyświadczę wam tę grzeczność. Chociaż to wcale nie oznacza, że wam wybaczyłem. Mogliśmy być pierwsi, gdybyście mnie słuchali.

Kiedy wreszcie wylądował ostatni statek, na trybunę wszedł główny sędzia i honorowi goście.

– Wszystkich uczestników wyścigu prosimy o podejście do trybuny – usłyszeli głos Gustawa Verne’a.

Paszka wyszedł ze statku pierwszy. Za nim Arkasza.

– Nie smuć się, musimy tam iść – powiedziała Alicja. – Dziękujemy ci, Gaj-do.

– Nie będzie mi smutno – odparł Gaj-do. – Popatrzę na ekranie, jak wręczają wam nagrodę.

Alicja pobiegła za przyjaciółmi.

– Pierwsze miejsce i kryształowy puchar międzynarodowego wyścigu młodzieży przyznaje się załodze statku „Jangcy” z Szanghaju – przemówił główny sędzia, unosząc wysoko nad głowę lśniący kryształowy puchar i wręczył go Vanowi. Co prawda, wielu sądziło, że puchar odebrał Lu.

– Drugie miejsce i srebrny puchar otrzymuje załoga statku Gaj-do – rzekł Gustaw Verne. – Mimo iż uczniowie z Moskwy musieli podczas lotu pokonać szereg dodatkowych trudności, godnie wyszli z opresji.

Paszka wszedł na podium, przyjął srebrny puchar z rąk sędziego i podniósł puchar wysoko, tak aby zobaczyła go cała Ziemia.

Alicja odszukała w tłumie widzów Tadeusza z córeczką na rękach. Tadeusz radośnie się uśmiechał. Ale gdzie podziała się Irija?

I wtedy Alicja zobaczyła, jak przez opustoszałe pole, między milczącymi, nieruchomymi, jakby pogrążonymi we śnie statkami biegnie kobieca postać w białej chustce i błękitnej sukience. Kobieta

dobiegła do Gaj-do i przytuliła się do jego boku.

Zgodnie z umową, nikt nie dowiedział się o tym, co zdarzyło się na pokładzie Gaj-do. Być może Gaj-do wyznał wszystko Irii, ale ona nie zdradziła się słowem.

Po wyścigu polecieli na Gaj-do pod Wrocław. I postanowili, że Gaj-do zostanie u swojej pani. A kiedy jego nowi przyjaciele znów zechcą wybrać się w podróż, on na pewno poleci z nimi.

Spędzili trzy cudowne dni w domku pod Wrocławiem.

W lesie, ku radości Alicji, dojrzały już poziomki, Arkasza zebrał kolekcję motyli, a Paszka zrobił wielki wykop na dziedzińcu zapuszczonej starej magnackiej posiadłości, ponieważ któryś z jego nowych przyjaciół wygadał się, że jest tam ukryty skarb.

Tadeusz, który początkowo z obawą spoglądał na statek tkwiący niczym baszta opodal domu, wkrótce pogodził się z obecnością Gaj-do, ponieważ odkrył coś przedziwnego: kiedy córeczka zaczynała płakać czy trochę grymasić, niesiono ją do Gaj-do i, na widok statku kosmicznego, dziewczynka od razu się uspokajała. Potrafiła godzinami wpatrywać się w Gaj-do, a Gaj-do usłyszawszy raz, jak chłopcy śpiewali na ulicy Mazurek Dąbrowskiego, nucił go dziewczynce po polsku.

Kiedy podróżnicy wrócili do Moskwy, Alicja powiesiła nad swoim łóżkiem akt mianujący ją księżniczką, następczynią tronu. Znajomi zadawali jednak tyle pytań, że zdjęła dyplom i schowała go do szuflady biurka.

Wyjmie go, kiedy wyruszy w podróż na tę planetę, gdzie, jak wiadomo, dawno ustanowiono już republikę, ale wielu pamięta imperatorową Moud, która poświęciła życie, aby zdemaskować nikczemnego tyrana.